

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA

SZARĄ DROGĄ



WYDAWNICTWA KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA

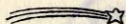
	K. h.
Adamski ks. J. St. O charakterze. 1900	1 60
Chodźkiewicz. Pamiętniki włóczęgi, 1903, 2 tomy	6 40
Dzieduszycki Woj. Historia malarstwa na Północy i w Hiszpanii. 1901.	2 —
— Rzecz o uczuciach ludzkich. 1902	2 —
Hoffmann Dr M. Zarys estetyki dla użytku szkolnego i domowego	1 80
Koźmian St. Lysistrata czyli wojna o pokój. Komedya prozą	3 60
Lemoke Dr Karol. Estetyka, przełożył i uzupełnił B. Zawadzki z 67 ry- cinami, 3-cie wydanie na welinie	12 —
— W eleganckiej oprawie	14 50
Łoś W. Hr. Odrębna istota, powieść	5 —
— Intrygantka. Powieść r. 1898	4 —
Małnecki Ant. Dr. Jul. Słowacki jego życie i dzieła w stosunku do współ- czesnej epoki, wydanie 3-cie pomnożone przez dra Bronisława Gubrynowicza. 3 tomy	13 —
Pamiętniki Chryzostoma Paska nowe wydanie krytyczne, opatrzone wstęp- em przez dra Bronisława Gubrynowicza	5 —
Pamiętnik Tow. literackiego im. Mickiewicza, Rok VI.	14 —
Paź. Nowelle	2 —
Przyborowski Walery. Księżniczka z Minsterberga Powieść historyczna z XIV wieku	3 —
— Rubin wezyrski. Powieść historyczna	3 60
Rojan K. Dusze artystyczne, powieść	3 60
— Szczęście, powieść 2 tomy 1898	5 60
Rolle M. Ateny wolińskie	8 40
Sapieha książę Paweł. Podróż na wschód Azji z ilustracyami w tekście w r. 1888, 1889. Lwów 1889, broszurowane	10 —
Sarnecki Zygmunt. Złote serce. Powieść. 3 tomy. (I. Lata dzieciństwa, II. Młodość, III. Wiek dojrzały)	9 60
Sass. Pamiętnik znaleziony. Opowiadanie historyczne	5 20
Sas Berlicz. Mozajka. Gawędy szlacheckie z lat ubiegłych. 2 tomy	7 60
Schnür-Pepłowski. Polacy i Węgrzy, opowieść z lat 1848—1849	5 60
— Obrazy z przeszłości Galicyi i Krakowa 1712—1858. 2 tomy	9 20
Sewer. Bratnie dusze. Powieść	5 20
Sędzimir. Księżniczka z gminu. Powieść z prawdziwych zdarzeń	3 60
Urbanowska Zofia. Wszechmocni, powieść w 2 tomach, 1903	7 20
Wilczyński A. Nowe fotografie społeczne, zebrane przez autora »Kło- potów starego komendanta«. 2 tomy	7 20
Zacharyasiewicz Jan. Jedna krew. Pomyłka serca. Powieści	3 60
— Teorya pana Filipa. Obrazek. 1881	4 60
Zaleski Józef B. Korespondencye, wydał dr. Zaleski, 1902, Tom III.	4 —
Zieliński Wład. August II. i Aurora Königsmark. Powieść osnuta na tle historycznem z czasów Augusta II. Sasa. 2 tomy	4 80

ERNEST ŁUNIŃSKI



SZARĄ DROGĄ

NOWELLE



SUFLER – OSTATNIA – W JARZMIE – RYBACZKA
NA ROZSTANIU – SEMEN BOJCZUK – MIĘDZY
BUCUŁAMI – NAD JEZIOREM TRAUN – CZŁOWIEK
~~~~~ DO WSZYSTKIEGO ~~~~~

~~~~~  
LWÓW – GUBRYNOWICZ I SCHMIDT – 1903



103197

KRAKÓW. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

2-52/80/114568

Reni...

Ernest Łuniński nie jest w literaturze pięknej debiutantem.

Zatem — przedmowa do jego najnowszych noweli wydawać się może zbyteczną. Nie przeczę temu. Kreślę jednak »słowo wstępne«, bo sądzę, że wszystko, co dotyczy u nas piszących, powinno być jasne, ścisłe i szczere. Więc najprzód wytłómaczyć czytelnikom należy, dlaczego utwory, ukazujące się niegdyś pod pseudonimem W. Koszyca, obecnie drukują się pod prawdziwem nazwiskiem młodego autora. Na to odpowiedź krótka: tak chcieli szanowni wydawcy, a chcieli ze względu na dobro pisarza. Pragnęli, by pewien rozgłos, którym się już cieszył pseudonim, przypadł nareszcie w udziale rzeczywistemu nazwisku. Wszakże pisma, podznaczone pierwszym, oceniał pochlebnie uczony krytyk i dziejopis piśmiennictwa polskiego, Piotr Chmielowski! Wszakże wyrażał się o nich z gorącym uznaniem znakomity poeta, Wiktor Gomulicki! Po opiniach i sądach, wygłoszonych wcześniej przez wymienionych, wszystko, co mógłbym powiedzieć

w tym względzie, wyglądać będzie na powtórzenie... Nie. Poprzednicy moi pominęli najindywidualniejsze piętno, odbijające się na opowiadaniach Łunińskiego. Postaram się je uwydatnić w jak najkrótszych wyrazach.

Ernest Łuniński, po za beletrystyczną działalnością, pracował i pracuje dotąd nader sumiennie na niwie dziejowej. Czytając jego monografie historyczne, dostrzega się w nich łatwo pilne wczytanie się w dokumenty, z wątku których (jak na przykład w »essayu« o Morsztynie) wysnuwa psychologiczne badanie ludzkiego charakteru. Interesuje go człowiek. Wypadki zaś i zdarzenia, w których bohaterowie jego szkiców i zarysów wzięli udział, albo je wywołali, służą mu jedynie za tło. Na niem uwypukla on postacie portretowanych osób, omówionych jak najszczegółowiej. Tej manieri, czy metody trzyma się utalentowany nowelista i w pracach swoich literackich.

Tylko — szuka do ostatnich treści nie w bibliotekach, archiwach i aktach, lecz w życiu. Poruszając się w pewnem środowisku społecznem, kielza przede wszystkim wszelki polot swojej wyobraźni, starając się upatrzyć w otaczającym go szarym tłumie, typ — także szary — ale ciekawy. Następnie obserwuje go uważnie. Każdy rys, choćby drobny, chwilowy i karykaturalny, chwyta szybko migawkowym aparatem fotograficznym, by czemprędzej i skrzętnie zanotować go w pamięci. Stu-

duje nie tylko słowa i gesta osobnika, lecz zarazem powody i przyczyny je wywołujące. Zagłębia narzędzie swojej obserwacji, jak skalpel chirurgiczny, w mózg i serca. Czeką niecierpliwie na objawy odruchów, nastrojów i przeobrażeń, dokonywających się w duszy modelu pod wpływem: uczuć, wrażeń, namiętności i losu. Z zebranych danych, jak z materyałów historycznych, lepi na sposób rzeźbiarski grubo naszkicowaną *maquette*, którą następnie wykończa impresyjną robotą techniczną. Dla tego też prawie wszystkie nowele Ernesta Łunińskiego, łzawe czy śmieszne, są przeważnie wizerunkami z natury; dla tego dyszą życiem i noszą na sobie znamiona prawdy.

To stanowi ich cechę szczególną i główną zaletę.

Zygmunt Sarnecki.

SUFLEK.



Pomimo jesiennego słotnego października, szedł Marceli Czekajski w przetartej, cienkiej zarzutce i cieńszym jeszcze letniem ubraniu, w stronę przedmieścia. Skrzywione jego kamaszki zachowały wprowadzić ślady zgrabnej formy, przepuszczały jednak przez szpary podzelewań krople wody. Zatrzymał się przed parterowym domkiem, poczerpionym godłami kręgielni, bilardu, różnymi napisami i rzewnie przez chwilę spoglądał na garść ludzi, rozmodlonych naprzeciw, przy framudze kościelnej, wyobrażającej świętą Magdalенę, klęczącą u rozkrwawionych stóp Chrystusa. Ofiarne świece chwiały się na kamiennej balustradzie, krople dżdżu skośnie padały, ale lud śpiewał i śpiewał, choć mu wiatr głos porywał, zanim przetworzył się w melodyę. Czekajski z wahaniem nacisnął klamkę szynkowni.

— Pięćdziesiąt reńskich na tablicy, szkoda próbować...

Trzech ludzi siedzących przy ceratowym stole,

między odrapaną ścianą a żółto pokostowaną ladą, krzyknęło równocześnie:

— Panu dyrektorowi!...

Przetarł zamglone szkła «cwikiera» i zwrócił się do kobiety, opartej o kasę.

— Chodźże pan do pracy! wołał jeden z grających w mundurze listonosza, z przepaską na rozbitym oku.

Ale Marceli Czekajski nie dał się nakłonić.

— Nie mogę dziś, mam próbę, za momentem zniknę.

Potem półgłosem prosił kobietę:

— Paniunciu za ośm centów kiełbasy z kapuszą i kawałkiem chleba. Specyfik ta kapusta, jak najlepsza konfiturka.

Zjadł prędko, pożądliwie, poczem ośródkę zawinął w chustkę i znowu przystanął przed ladą:

— Paniunciu, dzisiejsze po raz ostatni na tablicę. Czybym nie mógł także skredytować kiełbasy za dziesięć centów dla kotka, prześlicznego, białego kotka?...

Podeszła milcząco do wieszadła nad szynkwąsem, odcięła pręt mięsa, pokryła go ćwiartką stómianego papieru i doręczyła Czekajskiemu.

— Dziękuję, stokrotnie dziękuję, — szepnął prawie ze łzami w oczach i wysunął się na ulicę.

Kobieta zaś zbliżyła się do tablicy i zaczęła poprawiać pozycję dłużnika. Za lekkim pociągnięciem gąbki i nakreśleniem przedziałki sumują-

cej, dawna cyfra zamiast się zwiększyć zmalała o kilka dziesiątaków.

Z poza stołu grających wyskoczyła z kartami wzniesionymi nad łysą, rudawą głową, postać gospodarza, której twarz ułożona w grymas złości, groziła wybuchem.

— Znowu dobrał! Ja się go postaram pozbyć takiego gościa! Ustanie to, ustanie, niesłychana rzecz, co się u mnie dzieje! Ty go karmisz...

Ona zawstydzona, z niewzruszonym spokojem odparła:

— Dał na rachunek guldena i dzisiejsze spłacił...

Tymczasem wdrapał się Czekajski po kojcowatej, zakrętniej klatce schodowej na drugie piętro oficyny i uchylił drzwi izby oświetlonej małą lampką. Pisk dziecięcy i kwilenie niemowlęcia powitały go u progu.

— Tatus! tatus! zostaniesz z nami malutki, tam ziuziu, brrr!

Kawałek kiełbasy rozdzielił na pięć równych części między dzieciarnię. Popatrzał na kobietę, tulącą w powijakach niemowlę do piersi.

— Paulinko, brakło mleka do karmu?

— Nie, jest aż nadto.

Na kuchni spostrzegł duży dzban, napęczniony po brzegi białym płynem.

— A to skąd?

— Od Mroczkowskich... Sami odprowadzili Jasia i Helenkę i zaopatrzyli nam spiżarkę. Powie-

dzieli, że na pewne jutro rozstrzygnie się nasza sprawa, koło czwartej.

— Tak papuś, — dowodziła Helenka, — jakie oni mają tam ciastka, jakie cukry! Chlebuś z masłem, nie jak u nas suchy. I szynka była i kłoty duże z ciencieliny... Dlaczego mamuś nie robisz takich samych? Jaś aż po kryjomu chował w kieszeń karmelki...

Ciemny szkarłat okrył gromniczno żółtą twarz Czekajskiego.

— Jakże, jakże, — potwierdzał Jaś — tam wszystkiego dotąd. Dlaczego tatuś u nich tyle, u nas nie?...

Czekajski wpadł do alkowy, zapalił łożówkę i do płomyka przyłożył stary numer gazety.

— Żebzanina i kradzież..., kradzież i żebzanina... W piątek był dwunasty, dziś ośmnasty, jutro dziewiętnasty. Dziewiętnastka składa się z ósemki i jedyńki, niezdradliwych cyfr. Co też ta najbliższa doba przyniesie?

Palcem zdusił knot i zwrócił się ku wyjściu.

— I odpuść nam nasze winy...

Dzieci odmawiały pacierz przed figurką Matki Boskiej, umieszczonej pod olejną lampką na jesionowej podstawie.

— I odpuść nam nasze winy... Jakie nasze? — szepnęła Czekajski.

Przesunął się koło klęczących dzieci i rzekł do żony:

— Wychodzę na ulicę, wrócę przed bramą, do widzenia Paulinko.

— O zdrowie mamy, taty, cię błagamy...

Zbiegł przed próg kamienicy i zaczął wiercić bezmyślnie skówką laski w płycie, pokrytej wkleśłymi półkolami, przeznaczonemi niegdyś do gąszenia główki. Ktoś trącił go poufale.

— Kochany pan stale na świeżem powietrzu, nie ma nic nad artystyczny żywot. Dobranoc kochanemu panu, dobranoc!...

Skrobał ciągle skówką i gniewał się, że twarda powłoka piaskowca nie rozpada się pod naciskiem uderzeń nerwowych. Słyszał znowu głos, czuł szarpnięcie dłoni i koniecznie wyobrażał sobie, że kłania się i składał jakieś zapewnienia.

— Spróbuję mu może powierzyć... W starym teatrze miał rękopis już numer biblioteczny i ołówkiem wyznaczone role. Jak mi się nie powiedzie na gładkiej drodze, pchnę przez wyższe wpływy. Pan to rozumie?... Francuz prawi, że co kobieta chce, Bóg chce... Zamawiam pomoc pańską do dobrego grupowania. Ale, ale czy to pan będzie suflować, bo ciekawe płyną kaczki... Sługa uniżony...

Czy ten sam, czy ktoś inny kordyalnie ścisnął go, chwycił za guzik od surduta:

— Zrobi kłapę, aż reduta spadnie. Dawną gwardyą ten mamin synek wygania, a spędza baletników i baletniczki. Słuchajno Marcel, masz olej

w głowie i nie trap się. Jestem dekoratorem i poradzę sobie, a jemu i tak reduta spadnie. Czego ty się do czego innego nie weźmiesz?

— Czego ty się do czego innego nie weźmiesz? — powtórzył już przytomnie Czekański. — Dlaczego? dlaczego?

Zbierał w pamięci minione dzieje i zastanawiał się, czy jest dlań gdzieindziej deska ratunku. Niechętnie szeregował daty i z szarej, zamroczonej mgłą upłynionych chwil przeszłości wydobywał niby z pordzewiałego arsenału oderwane wspomnienia. Snuły się one wiotką nicią pajęczą, czarną, szarpaną dłonią nieubłaganego losu.

Stała mu przed oczami przytulona do pagórków wioszczyna nad Sanem, kryjąca grób rodziców i garść szczegółów, które przygląwszy do umysłu dziecka, towarzyszą potem mężczyźnie do mogiły. Najżywiej tkwił mu w umyśle moment, gdy stryj i opiekun zarazem, przyjechał do Sącza, wezwał go do izdebki hotelowej i wzruszonego gargał do piersi.

— Marcel, tyś już wielkie chłopczysko.

— W piątej klasie stryju.

— To i lepiej. A co byś Marcel powiedział, gdybyś stracił guldena, niby zgubił...

— Zbierałbym drugiego.

— A gdyby dwa, trzy, cztery...

— Nie wiem stryju...

— A gdyby ci Marcel wydarto kawał ziemi,

wody trochę szemrzającej w rzece i dworek rodziców, co byś uczynił?

— Martwiłbym się bardzo i płakał...

Stryj położył drżące ręce na pochyloną głowę chłopca i wpił w nią wargi pobladłe. Wnet poczuł Marcel we włosach wilgoć i łzy z nich spadające na jego skronie. Udzieliło mu się stryjowskie rozrzewnienie i niepokój.

— Dlaczego tulisz mię stryju? czy co niedobrego zawisło nad nami?

— Czekańska od tygodnia poszła na subhastę. Poczem tłómaczył mu stryj, co to jest subhastą, jak Aron Grajower przez wyzysk i spekulację zagrabił jego ojcowiznę i jak mu nic nie zostało prócz żalu za dworkiem, do którego nie wróci.

Odtąd zaczęła się tułaczka ze stancyi na stancją, z poddasza do suterenu, praca nocą i pogoń za lekcyami. Mimo to górował pilnością, inteligencją nad innymi uczniami, a czytanie w rzeczach literatury i historii posiadał tak znaczne, że profesorzy mawiali między sobą:

— Ten pójdzie na literata...

Raz przed godziną języka polskiego odmówił pacierz w imieniu klasy. Zaledwie «amen» przebrzmiało, oznajmił nauczyciel uroczystie:

— Czekańskiego dramacik będzie przedstawiony na wieczorku Mickiewicza.

W izbie panowało milczenie i trzydzieści par

oczu, napętnionych podziwem, ciekawością, zazdrością, zawisło na bladej, zmizerowanej, ale dziwnie promiennej twarzy chłopca, który oszołomiony niespodzianą wieścią podchwytywał ostatnie, jeszcze w powietrzu drgające szepty modlitwy:

— Amen, amen...

Tak wzrosło jego poważanie między towarzyszami szkolnymi, a wraz z niem zyskiwał pewien rodzaj hegemonii w pozagimnazjalnych sprawach młodzieży.

Dopiero noc dawała mu wytchnienie.

Wówczas przestrzeń ciemno-szafirowa, zacięśniona budynkami miasteczka rozpałała młodą jego głowę tysiącem nadziei i unosiła poetyczną naturę w sfery, gdzie wolna od kłopotów codziennych, rozpostartem jak żagiel skrzydłem bujała po świecie wytworzonych fantazji i uważała ich ściągnięcie na ziemię za bawidełko łatwe do spełnienia. Śnił o pojęciu nieokreślonym, które istotę jego zachwytem i dreszczami rozkosznymi przejmowało.

Śnił o niej, o sławie...

I sięgał jak do gwiazd złotych, do tych orlich marzeń i zdawało mu się, że jak gwiazdy po promieniach, ściągnie te ideały po tkance własnego uczucia, zbierze i urzeczywistni.

W szóstej klasie, z początkiem wiosny została mu jedna, jedyna lekcja.

Wstydził się nie zapłacić za skrytkę swoją miesięcznej drobnostki stolarzowi, u którego mie-

szkał i trwożył się o upadek sił, podtrzymywanych bułką moczona w wodzie i garnuszkami mleka.

Po przybyciu ze szkoły poszedł do majstra Bułata.

— Panie Bułat, podobno potrzebny terminator do lakierowania?

Zapytany skinął głową.

— Ja się też nadam do tego, tylko nie zaprzeczaj...

— Pan Marceli, fi, fi, zapozwoleniem, jakby się kura miała pisania. Każdy niech chodzi wedle swego fachu. Fach jest zaś podobnusięńki do buta. Ten w nim dobrze drepce, kto ma nogę zdatną i jest przyuczony. Inteligent chce warsztatu? Fi, fi. Te inteligenty wszędzie wachają i sieją biedę...

— Kiedy nikogo nie zbuntuję i zabiorę robotę do siebie.

Stolarz się wahał i liczył.

— A jak pan Marceli popsuje?

— Spróbuję...

— A no niech będzie! Bo majster skrobiący trumny pożyteczniejszy jest od stawiającego domy. Trumna idzie do ziemi na wieki! — Wziąłem właśnie miarę z kilku nieboszczyków na jutro. Mateusz! metr sześćdziesiąt sześć...

Chłopak przyniósł białe, dębowe wieko i położył u nóg majstra.

— Dębowa z fugowanymi kantami i wygię-

ciami. Trzeba wytrzeć drzewo gładkim papierem i pociągnąć szelakiem. Za trzy godziny zobaczę, czy może iść na paradę.

I wnoszono do klateczki Czekajskiego trumny świeżo ostrugane, wyheblowane, rozpościerające zapach surowicy dęba. Wiosną i latem płynęły przez otwarte okienko po przestrzeni złote promienie gwiazd do izdebki i rzucały pęk światła na skuloną nad trumną figurkę chłopaka, chwytającego kiedyniekiedy lichtarzyk dla skontrolowania linii polityury. Gdy krzyż przytwardzał gwoździakami na wieku i patrzył w puste, czekające na zwłoki wnętrze, ogarniało go zobojętnienie i pożądanie tego snu martwego, kładącego na królewskiej i chłopskiej zarazem twarzy niemość bez granic i spokój bez końca. Cisza nocy rozkołysanej szmerami drzew, zamyślenie zawieszone w powietrzu i wonie oddychających kwiatów odrywały go od farb i trumien i przenosiły w niebiańską światłość, pozbawioną męki i goryczy. Wówczas wybiegało mu z piersi westchnienie duszy młodej, a przecież biednej i samotnej:

— Chryste! weź mię do matki do ojca!...

Ale mu się wnet włos jeżył i ognie wielkie buchały z serca. Nie, nie, owszem czuł fibry życia i wyciągał ramiona przed siebie, w dal przyśłości.

— Boże, bodaj jednego jeszcze doczekać wieczorku Mickiewicza!

Pewnego wieczora zastał go przy lakierowaniu kolega szkolny. Młodzik się cofnął i zdziwony wybelkotał:

— Ty, Czekajski, przy trumnie!...

Przezwanego go karawaniarzem, a chłopaki przez wstręt do nieboszczyków zaczęli go unikać i obchodzić. Gdy który suknie otarł o jego odzież obwąchiwał je natychmiast, czy nie poczuje trupiego odoru i wyrzucał z poza zaciśniętych złością warg:

— Karawaniarz!...

On zaś cierpiał, dręczył się i wypłakiwał oczy po nocach i Bóg wie kiedy kres bólu jego nadszedłby, gdyby nie wypadek, który całe miasto zainteresował.

Afisz rozlepione po rogach ulic oznajmiły przybycie teatru z prowincyi.

Czekajski zaniedbywał szkołę, natomiast kręcił się gorliwie koło prowizorycznego przybytku Melpomeny, przepisywał role aktorom i patrzył na ich grę jak na dzieła olimpijskich bogów. Dramat, sztuka, zajmowały go oddawna w książce, — teraz widział to wszystko na scenie. Czarowała go nadewszystko urokiem gry pierwsza tragiczka personelu, panna Paulina. Czekajski widział ciągle postać ładnej dziewczyny, płynącą z cieniów letniej nocy, jak mgła i ginącą gdzieś za bożym światem.

— To ona, niezawodnie ona...

Im zaś bardziej burza go nurtowała, tem więcej chmurniał i milczał i pozornie stronił od przedmiotu swego ubóstwienia. I doświadczył tego na sobie, czego wiele młodych, żywiołową siłą pierwszego uczucia kochających serc doświadcza, że to kochanie wkłada w usta nieśmiałość i milczenie. umiejące za sobą mówić tylko rumieńcem twarzy i zwilgotnieniem żreń.

Czekajski odniósł rolę Paulince.

Stała na środku pokoju zaróżowiona, wesoła, a z jej oczu biło zadowolenie. Opowiedziała mu o otrzymaniu posady w teatrze krakowskim na skromnych wprawdzie i ledwie na życie starczących warunkach, lecz cóż znaczy ograniczenie się nawet do ostateczności wobec występów na porządnej scenie i zarzucenia koczowiska od miasteczka do miasteczka. Wystłuchał spokojnie, pozornie obojętnie i rzekł:

— Pewnie i ja tam pojadę, bo mi tu źle.

— Panu tu źle?..

Nie mogła skończyć, albowiem chłopak wybiegł, raczej uciekł rozdrażniony. Co mu się stać mogło?

Czekajskiego zaś martwiło i rozstanie i skarga, jaka mu się nieopatrnie z ust wysliznęła. Co prawda, nie miał się z kim żalem swoim podzielić i im więcej niepowodzenie go przytłaczało, tem bardziej był zamknięty. Ale jakim prawem narzekał, że mu źle? Czyż nieszczęścia mają rozmiary

i granice? Czyż wobec każdego bólu niema potężniejszego morza goryczy i rozpacz? Gdzieś w wypisach na siódmą klasę czytał, jak świetny monarcha lamentował nad zerwaniem sejmu: wielkie bóle milczą, małe tylko krzyczą... On też krzyczał przed nią..., jego troski są drobne... Prawda, są drobne, tylko to karawaniarstwo i omijanie go jak zarażonego jest nieznośnie dokuczliwem. Zaszarpała nim zgryzota gwałtownie i zatargała wszystkie struny duszy. W uszach miał szum, a z chaosu tonów wydobywał się zgrzyt, przygłuszający wszystko:

— Karawaniarz!...

Wicher wahań i wątpliwości przewalił się po jego myślach.

— Jakto? będąc blizkim kresu, miałby nie dotrwać? A co potem na uniwersytecie?

Potem będzie łatwiej i śmielej spojrzeć ideałom swoim w oczy. Kto wie? kto wie? I znowu przesładowało go przezwisko:

— Karawaniarz!...

Stał na progu swej celki. Usunął wieko trumny, zagradzające na poprzek drogę, i ucałował Chrystusa, przeznaczonego do przybicia na wierzch. Był pogodny i pełen niewzruszonego postanowienia. Do walizki zgarnął trochę marnej przyodziewy, kilka książeczek, zeszytów i sięgnął po skrzypce, zawieszane na ścianie. Wnet rozkwilił się instrument, jak pieszczony dzieciak, a grajek to podno-

sił się na palcach stopy, to kurczył i całe natchnienie więził w strunach. Skradający się zmrok majowy zabierał na powietrznej fali akord pieśni serdecznej i niósł ją między wonie pachnących akacyj i czeremch. Kiedy przerwał, drgało jeszcze muzyką powietrze i zdawało się rozbrzmiewać refrenem pocieszenia:

— Idziesz od trumien, karawaniarzu, do nowego życia, do nowych dróg...

Nowe życie zaczęło się w większym mieście od troski o chleb. Miał ochotę kończyć gimnazjum, ale nie było sposobu. Okrążał znowu teatr i zarabiał nędznie na przepisywaniu ról. Nie zwracał się do nikogo, wszyscy go jednak lubili siłą zdawkowego przyzwyczajenia, obiecywali nim się zająć, lecz na razie zniechęcali do konkretnego zawodu.

Był sam na ziemi i nie miał nikogo, ktoby naprawdę mógł, umiał i chciał go poprzeć na tym wielkim rynku gorączkowych zabiegów o byt i przelicytować innych spółzawodników. Oł, nędzarz zwyczajny.

Raz w czasie jesienno-dżdżystego popołudnia udał się do miasta. Spotkał wlokący się pomału pogrzeb i mimowoli rzucił okiem na duże koła karawanu. Jakies myśli i uczucia dotychczas nieznanne poplątały mu mózg i dotkliwie przejęły cierpieniem. Dręczyć poczęła go rozpacz za utratą czegoś, z czego nie mógł na razie sprawy sobie

dać, ani resztką przytomności uchwycić. Nagle rozwidniło się, odzyskał trzeźwość i wyłoniła się myśl nowonarodzona, myśl pierwiosnka zwątpienia:

— Czyż życie nie wygląda, jak to koło?.. To czy się i toczy, rzuca ludzką istotą z jednej sprzeczności na drugą, aż ginie zmiażdżona na gościńcu czasu i tam w środek ją kładą i wiozą na ostatnie odpoczywanie.

Żachnął się i błędnie przeprowadził wzrokiem kondukt.

— Boże! Boże! jak to przykro gubić po drodze woniejące kwiaty młodości...

Jak zwykle, kiedy był bardzo zgnębionym, pobiegnął do Pauliny, mieszkającej wraz z matką niedaleko teatru. Kobiety zaraz na wstępie z niezwykłym powitały go ożywieniem:

— Panie, teraz właśnie musi być pogrzeb suflera naszego, starajże się o opróżnione miejsce.

Wzdrygnął się na wspomnienie pogrzebu, ale przyrzekł robić zabiegi, dlatego, że Paulina tak sobie życzyła i bieda nie pozostawiała mu wyboru.

Po kilku dniach zainstalował się już w budce. Za pierwszego guldenu kupił zwój róz i zaniósł go Paulince. Podziękowała z uśmiechem.

— Proszę więcej tego nie robić, bardzo proszę.

— A dlaczego?

Zacięła się i nic nie odpowiedziała, lecz Czekajski zrozumiał, że mu pragnęła zaoszczędzić wy-



datków. On zaś miał ustawicznie jeden brask przed oczami i jedno pożądanie, aby się złączyć z tą kochaną istotą i pojąć ją niepodzielnie na zawsze.

Po upływie trzech lat poprowadził ją do ołtarza.

Uśmiechnęło się wprawdzie doń słonko, miał własny dom i kobietę upragnioną, ale nie mógł pokonać zniechęcenia kielkującego na dobre w nim samym. Ciągłe sufłowanie zużyło go, wstrętem napawało i kładło cień melancholii na czoło. Zamienił się na niewolnika metrowej budy i jak pies był do niej przykuty łańcuchem egzystencji. Nie mógł się nacieszyć nawet tą żoną, bo ledwie tyżkę od ust odłożył, biegł na stanowisko podpowiadać... Przytem tkwiło w nim wiele ogólnego przesądu do sufłowania, uważał je za coś z społeczną przyzwoitością niezgodnego, a wskutek tego już nietylko jego umysł, ale i duma cierpiały.

Pewnego dnia doręczył Paulince dyrektor rolę do opracowania.

— Dobra znajoma, nieprawdaż? — pytał.

— Nigdy nie miałam jej w ręku...

— Jakto, więc mąż pisał w sekrecie?...

Rozpromieniona wróciła do domu i filuternie pogroziła mu paluszkami. Potem owinęła mu szyję ramionami i tuliła go do siebie.

— Niewdzięcznik, chytra, skryta dusza...

Pozostał sztywnym, kamiennym, aż ona dłonie po sukni opuszczała.

— Marcel, co tobie drogieńki?...

— Nic, nic... to wzruszenie...

Cóż z tego, że ujrzy poetyczną tkankę swego natchnienia w teatrze, jak o tem marzył dzieckiem? W czasie tworzenia przekonał się, że jak nurek na spodzie morza perły, tak on z duszy wybierał i skupiał z największym trudem resztkę mknących natchnień, resztkę poetycznych drgnień, niewypłoszonych jeszcze i nie spieczonych na zadżumionym piasku życia. Tak, to był jego pierwszy i łabędzi śpiew zarazem... Chwytał z szczególną lubością te umykające na zawsze promienie, niby oddech konający i wreszcie skończył, ale się wyczerpał, pustkę gniotącą poczuł. Czem jest obecnie? Próżnem bez dźwięku naczyniem... Jego dążenia, a gruda życia — to dwa wielkie wrogi, z których drugi przywalił pierwszego na wieki...

Czekajski wchodził i wychodził przez ćwierć wieku pilnie ze swej skrytki, jak woskowa, na sprężynie przesuwana figura. Nigdy się nie spóźniał i prawie nigdy nie chorował. Był nadzwyczaj cichym, małomównym, unikającym ludzi i zgiełku. Na twarzy nosił spokój ze wszystkim pogodzony, tylko w kąty jego ust wplótł się wyraz goryczy, ostatni świadek szamotań. Prędko krucze włosy krótkiej brody sprószyła siwizna, a każde świeże pasemko srebrzyła nowa troska.

A miał ich coraz więcej.

Prawie rok po roku kwilenie zapełniało jego mieszkanko, od czasu zaś do czasu trumienkę zeń wynoszono. Drobiazg rósł, kosztował, a w dodatku nieszczęście uszczupliło dochody. Paulinka pośliźnęła się i utykała od tej chwili. Pożegnała się z teatrem i wyzyskiwała wolne chwile na obszwanie malarstwa. Czekajski zaś pracował, jak murzyn, zagnany na plantacye i pracą szczupłe nagradzaną ledwie od głodu chronił rodzinę. Gdy trzeba było sprawić spencerki lub opłacić aptekę, musiał się pokłonić lichwiarzowi, Hirschowi Lande, teatralnemu dobroczyńcy, który, ubezpieczwszy się na pensyi, drogo swą grzeczność sprzedawał. Nie mógł też miejsca dla siebie znaleźć w dusznem mieszkanku, przepełnionem naiwnem szczerbiotaniem natenczas, gdy po jego duszy przepływały fale mąk bez liku. Kiedy już miał mało powietrza do oddechu, zwracał się do ściany dla uniknięcia wzroku żony i szeptał w desperacyi.

— Spokoju, na mgnienie spokoju!

Poszukał go w podrzędniejszym handelku, gdzie przy szklance piwa spędzał godziny w odosobnionym gabinecie. Dziesięć lat odwiedzał go równie systematycznie, jak budkę na scenie. Najchętniej gawędził z żoną właściciela handelku, kobietą jeszcze ładną, choć zmizerowaną i przygnębianą. Odczuwała ona położenie Czekajskiego i ledwie się od łez wstrzymywała, gdy prosił niższym głosem:

— Paniuńciu, za cztery centy kiełbasy dla kotka, mam ślicznego białego kotka...

Wiedziała dla kogo podarunek i ile ust nań czeka. Zwykle co tydzień, w przededniu niedzieli lub świąt, zwracała się do odchodzącego:

— Niechże pan dzieciaczki do moich wypraw.

Bawiło się u niej bractwo do wieczora, potem wesoło witało mamę Paulinę.

— Ho! ho! co ciastek, migdałów, szynki. Dla mamusi słoik konfitur, dla tatusia ser duży... La, la, la...

Czekajski studyował w gabinecie zeszyt, na którego marginesach robił skreślenia. Kobieta zbliżała się doń i pytała:

— Znowu poprawki...

Zastanawiał się nieco i żałośnie potakiwał:

— Kto sam dla siebie nie umie, musi umieć dla drugich...

Tajemnicą było różnych literatów, ile Czekajski w ich dzieła własnej przeniósł rutyny, przez lata praktycznie nabytej. Po premierach zjawiały się zwykle w jego mieszkanku cenne, lecz nieużyteczne prezenty autorskie, jak świecidełka na etażerki, biuściki, srebrne kałamarze. Brał takie cacko w rękę i ironicznie cedził przez zęby:

— Ileżby dni żyć można za cenę filigranu?... Nakarmisz dzieci moje?

Potem szła drobnostka do lombardu... Ale za nic w świecie nie brał remuneracyi za ciężką czę-

sto pracę, a gdy mu ją ofiarowano, cofał rękę nerwowo i płońskił się wstydlawie.

— Nie mam żadnej pretensyi...

Czasem opuszczał gabinecik, aby w głównej izbie szynkowni zagrać w taroka ze starym listonoszem, dyetaryuszem magistratu i gospodarzem. Gdy bał się stracić parę centów lub nie miał ich w kieszeni, wymawiał się próbą albo chorobą w domu, a wówczas partnerzy spoglądali na siebie znaczącym uśmiechem:

— Płótno ma w portmonetce...

Mimo ubóstwa, szanowano go jednak wszędzie dla słodyczy, umiarkowania i niezmiernej delikatności towarzyskiej.

— Jaka to inteligencya wrodzona, jaki dowcip subtelny! — mawiano w kołach aktorskich.

I tak doczekał Czekajski benefisowego przedstawienia z okazji dwudziestu pięciu lat twardej służby. Artyści mimo protestu uczcili go uczta, dzienniki i tygodniki podniosły zasługi jubilata na polu rozwoju sztuki. Czytano wzmianki, kiwano głowami i wykrzykiwano:

— No, no, Czekajski na próbach grupuje, Czekajskiego radzi się dyrektor, reżyser...

Tarokiści także się głośnie dziwili.

— Patrzcie, niezwykle człowiek, uczony i sławny...

— Wielka rzecz, sufler i kwita, — zagadał drugi, tasując talia.

Wszystko przy dawnem zostało, nawet się znacznie pogorszyło.

Od jesieni teatr przenosił się do nowego budynku, pod nowy zarząd, a stara dyrekcyja wypowiedziała kontrakty personelowi.

Znaleźli się wszyscy rozpędzeni, rozprószeni, niepewni dnia dzisiejszego, niepewni jutra. O uprze i cezarykańskich zachciankach przyszłego przedsiębiorcy krążyły różne wieści, a ugody już zawarte, zwolnienie zasłużonych i zgranych aktorów, książęce pensye dla całego szeregu nieużytków potęgowały obawy. Czekajski trwożył się o losy swojej rodziny, nad przepaścią już się znajdującej. Tak, po ćwierćwieczu wyrosła jak z pod ziemi ta czarna zmora, towarzyska chłopiectwa: nędza... Wyrosła z cieniów trumien majstra Bułata, wzmożona, silniejsza i zaświeciła mu próchnem obrzydłych ślepi tu w tej czarnej nocy.

— Nędza, nędza...

Golgota życia przewinęła mu się w pamięci: za sobą widział tylko ogromny tuman nieszczęść, pełzających jak żmija jadowita. A na końcu tego węża stał on, żebrak, najbiedniejszy między łazarzami i pyta:

— Za co?... Za jakie winy? kto zawinił?...

— Społeczeństwo może?...

— Co to społeczeństwo? Tłum, dbający o siebie, wiecznie chciwy i w chciwości nienasycony...

— Kto zatem?

— On sam!

— Ależ on pragnął jak orzeł wzbić się nad poziomy, chodził w jarzmie, gdy inni życie niszczyli... On się nie zmarnował, więc kto go zmarnował?...

— Przeznaczenie...

— Przeznaczenie, to wiara niewidomych...

— Nie, przenigdy...

Popatrzał na Chrystusa, umieszczonego nad bramą przeciwnego domu, oświeconego blaskiem czerwonej latarki. Ukrzyżowany zatopiony był czerwienią światła, jakby strugą krwi zalany.

— Kto winien? — Matka-przyroda kładzie w człowieka dary bogate, pozwala mu bujnym wzrastać kłosem, cóż, kiedy wiatr życia wydmuchuje z niego ziarna...

Podniósł powieki i szeroko rozwarte oczy utkwiał w Chrystusie.

— Kto winien?

— Tam Syn Boży...

Chwycił za długi drut dzwonka i wpół złamany gwałt się kolanami ku brukowi, trzymając się rękojeści.

— Przebacz Boże wieczny, nieśmiertelny...

Klucz zgrzytnął w zamku i stróż bramy uchylił. Czekajski się ocknął i przytomnie zagadnął:

— Czego chcecie, Macieju?

— Toli pan dzwonił...

— Ja?...

Pędem poleciał ku Rynkowi i zginął w bocznej uliczce. Wpadł do pierwszego napotkanego sklepu i zażądał wódki. Z boku szarpano go i hałaśliwie wołano:

— Kolego Czekajski, panie Czekajski, zapisać w kominie... Z nami dobrodziej, niech żyje *se-quens!*...

Kieliszki wypróżniały się szybko, gwar opilczy przechodził po izbie.

— Ululaliśmy Czekajskiego, ha, ha!

Podniósł się po północy i zachwiał na nogach. Głowa spadła mu na piersi, był strasznie niemy, kamienny i wcale niezabawny z rozlanem w kątach ust rozgoryczeniem i ziemistością na zbiedzzonej twarzy. Dwóch ludzi podgarnęło go pod ramiona i poprowadziło do domu. Maciej się zląkł i przeżegnał:

— Jezus, Marya, Józef!

Delikatnie, uważnie ujął go w pasie i przeniósł przez schody. Wtoczył się do izby i resztką instynktu namacał lichtarz. Spalił bez miary zapalek i żarzące się patyczki rzucał nieostrożnie na podłogę, niedaleko pościółki dzieci.

— Marcel, co ty robisz? — spytała z przerażeniem Paulina.

Milczenie głębokie było odpowiedzią.

Wyskoczyła w koszuli z łóżka, potarła siarnik o ścianę i nikłym snopem światła rozwidniła twarz męża.

On z pasyą ujął za świecznik i nic nie mówiąc, pragnął go wyrzucić Paulinie.

— Marcel, nie dam świecy, nie dam za nic w świecie!...

Spojrzała na niego przenikliwie i upuściła lichtarz.

— Marcel, mój Marcel, ty... ty...

Płacząc, przyłożyła dłonie do spiekłych policzków i końce palców zagmatwała między zwoje włosów. Niemowlę zakwiliło, a reszta dzieci chóralnie zapłakało.

— Mamuś, gdzie mamuś?

Wzięta niemowlę do piersi i ponownie światło roznieciła. Czekański stał osłupiały na tem samem miejscu, wciąż z zapadniętą na piersi głową. Paulina ułożyła dziecię w kołysce, naciskała jedną nogą biegun, drugą wolną postąpiła ku mężowi, rozebrała go i na chwilę wyswobodziwszy nogę, poprowadziła go do kanapy, na której nocę spędzał. Potem wtuliła rozpaloną głowę w poduszki i do świtu płakała.

Nazajutrz Czekański ze wstydu zamierzał się chyłkiem z domu wykraść, aby nie patrzeć żonie w oczy i w nich pogardy dla siebie nie czytać. Kiedy na palcach zbliżał się ku drzwiom, usłyszał głos łagodny, dobry:

— Marcelku, bez śniadania przecież nie wyjdiesz!...

Unikał jej żrenic i na oślep podniósł dłoń

żony do ust. Ona pocałowała go w czoło i rzekła zachęcająco:

— Dziś, Marcelku, wesoly nastąpi dla nas dzień!...

Obustronnie starano się nie wspominać o ubiegłej nocy.

Czekański kilkakroć schodził na ulicę, wracał i niecierpliwym krokiem mierzył izbę. Dokuczał mu kaszel natrętny i kłócie w płucach. Przypominał sobie, że podeszwy rozluźnione przepuściły wczoraj dużo dżdżu pod stopę. Ot, zwykle, niewarte uwagi zaziębienie... Co chwila błakał się w okolicy ściennego zegara, sam jednak nań nie spozdzał.

— Paulinko, dużo do czwartej? — pytał ciągle.

— Dużo jeszcze, Marcel, dużo, połóż się, bo cię zakrztusi.

Przygotowała wodę z cukrem i podchodząc do męża, obcierała jego spocone czoło.

Przed czwartą zeszedł Czekański na dół. Obok mieszkanka stróża na podwórzu usłyszał ożywioną rozmowę.

— Jakiż to? — badał Maciej — czy taki niby pojedynczy, czy podwójny?

— Ma żonę i dzieci, nizki, czarny...

— Rychtyk, to ten z tyjratru. Trzecie piętro, oficyna, lumer dziesiąty.

Czekański postąpił do przybysza, ubranego w mundur woźnego teatralnego.

— Do mnie, do Czekajskiego?

— Tak, pismo pana dyrektora.

Rozdarł kopertę, przebiegł oczami arkusik, wpadł do izdebki i wręczył Paulinie blankiet.

— Co to, Marcel? — zagadnęła.

— Suflerka...

Ust nie otworzył i siedział apatyczny. Paulinka zaś niebawem klasnęła w dłonie.

— Bóg się nad nami zlitował. Podwyższono ci Marcel znacznie pensję i mnie oddano garderobę artystek. Szlachetny dyrektor.

— Szlachetny..., — szeptał za nią odruchowo.

— Przytem podnosi zasługi twoje, prosi o pomoc...

— Prosi... — powtarzał jak echo.

— Marcel, czemuś jakby z krzyża zdjęty? Dzieci, ucałujcie tatę w ręce i buzię...

Gromadka się zbliżała, ale nie ochoczo, z nieufnością spoglądając na posępnego ojca. On zaś dał się ścisnąć i całować, sam jednak sztywnie siedział, jak kłoda. Nagle oruchomiła mu twarz i żrenice zamigotały:

— Paula, zwróć Mroczkowskiemu w dwójnasób, nie chcę podarków...

Objęła go za szyję i pieszczotliwie błagała:

— Zwróć, a jakże zwróć... Rozwesel się tylko, Marcel, złe już minęło i ogrzewające słońko świeci nad naszym mieszkankiem. Bieda podobna jest do pajęczyny. Przędzie się i przedzie, snuje czarną

nicją, aż i skończy się wic, nie mając przestrzeni. Będzie u nas jak dawniej, gdyśmy wspólnie pracowali. Wróci to niebo najlepszych chwil...

Ale niemota i zobojętnienie nie opuszczały Czekajskiego.

— Ty, ty, Paula, słyszysz jak stół trzeszczy? Wiesz, co to znaczy?...

— Cóżby miało znaczyć?

— Śmierć!...

Zakłóło go w piersiach i kaszel przeciągły rzucił się przez gardło.

— Pójdiesz Marcel do łóżka, tyś słaby.

Pozwolił się rozebrać potulnie, bez oporu. Paulina położyła mu dłoń na czoło i cofnęła się:

— Marcel, w tobie gorze!

Przywołany doktor kręcił głową i nazajutrz przyrzekł dokładną dać dyagnozę. Kiedy się pojawił w południe, ogromne pogorszenie było nadto widoczne. Wziął na bok Paulinę.

— Płuca płomieniem objęte, niebezpieczne zapalenie.

Nad wieczorem gorączka się zwiększyła i przyłączyła się duszność. Nad głową Czekajskiego, wgłębioną w poduszki, rozplýwał się nimb poddania się i bezgranicznej cierpliwości, Uczynił wysiłek wielki i poruszył wargami.

— Paulinko, niech mię przewiozą do Łazarza, koniecznie do Łazarza.

Zatopiona cała we łzach zdobyła się na protest stanowczy:

— Przenigdy!...

Stała wysmukła, energiczna, z ręką wzniesioną w powietrzu jakby przysięgać zamierzała:

— Przenigdy! przenigdy!

Czekajski nalegał, a ona obawiając się go drażnić, obiecała zapytać lekarza. Kiedy eskulap się zjawił, Czekajski, korzystając z chwilowej nieobecności żony, rzekł:

— Panie konsyliarzu, pozwól mnie przenieść do szpitala, bo nie chcę umierać w tej ciasnej łupinie, abym dzieci nie straszył. Jeżeli nie dacie, wstanę i ucieknę...

Lekarz tłumaczył niebezpieczeństwo transportu, ale chory nie dał się przekonać, owszem szamotał się i targał. Widząc to, zwrócił się doktor do nadchodzącej Paulinki:

— Na ciężką próbę panią wystawiam, ale nie ma innej drogi wyjścia. Izba jest duszna, a nam trzeba powietrza. Dziś noc ciepła, księżycowa. Sprowadzimy chorego do Łazarza...

Wysłuchała pokornie i odparła:

— Bóg tak chce, dla dobra mego męża.

Koło dziesiątej w nocy wnieśli tragarze ze strażnicy pożarnej lektykę, powleczoneą zielonem płótnem, wysłaną wewnątrz wygodnie, miękko. Szelest się zrobił i zamięszanie, jakby żałobnicy przyszli po zwłoki. Dzieci klęczały przed Matką

Boską i modliły się z przejęciem. Kiedy dostrzegły budkę i obcych, jęknęły:

— Tatuś nasz tatuś!

Czekajski ucałował wszystkie kolejno i prędko odwrócił głowę. Potem znalazł się w lektyce, przepuszczającej zaledwie błady blask z zewnątrz. Czuł, że go niosą na zawsze z domu i zdawało mu się, że żywy jeszcze zamknięty został w trumnie, dźwiganej przez najemników. Nikt nie idzie za nią i nikt się nie ogląda. Wszystko zostanie jak było... chociaż dusza jego gaśnie. A Paulinka, a dzieci ukochane?

Na te wspomnienia przytomność mu się przyćmiła, jak konający płomień w lampie. Wyobrażał sobie, że wisi przed nim mglista bania powietrzna, z której żona i dzieci wyciągają ręce. Mkną gdzieś w dalekie szlaki, radby z nimi lecieć i lecieć, lecz nie może, bo ciężka zmora usiadła mu na pierśsiach, szarpie je i kłóje. A jakież tam niebo? To nie niebo, tylko kir czarny, zahaftowany jakiemiś złowrogimi ślepiami, z których każde spogląda nań okiem hyeny. Jezus! Marya! spada w przepaść, oto właśnie otrząsł się, już leży...

Lektykę zatrzymano przed piętrowym budynkiem. Odźwierny wyszedł na spotkanie i zagroził drogę kobiecie, wdzierającej się do sieni.

— Nie wolno obcym!... Tylko doktorom wolno każdej chwili.

Zamknął bramę i cisza zaległa naokół. Noc

ładna zlewała smugi światła z jasnego nieba w kasztany przydrożne i uśmiech księżycy zostawiła na ziemi. Trochę tego uśmiechu padło na postać kobiety skulonej, konwulsyjnie drżącej, zwiniętej w kłębek, z głową włożoną między naczółki kolan. Nagle kłębek rozwinął się i jak widmo stanął przed murem szpitalnym. Ręka tego widma sztywna skierowała się ku wchodowi i sterczała nieporuszona w zamroczonej przestrzeni.

— Jezus, Marya! za tą bramą, za tą bramą...

I wnet było głucho i księżyc osierotałe przez kobietę miejsce okrył świetlną plamą.

Kiedy Czekajski się zbudził, nie mógł już swobodnie podnieść głowy, ani władać rękami. Przy nim była siostra miłosierdzia i z pod śnieżnego kornetu z współczuciem obejmowała wzrokiem jego twarz bolesną.

— Gdzie, mateczko, żona?

— Jutro, w dniu wizyt przyjdzie.

— Gdzie, mateczko, dzieci?

— Także jutro przyjdą.

— Do kogo należy, mateczko, jutro? Nie do wszystkich...

— Do miłosierdzia Boga i przezeń do ludzi.

Chciała go podnieść na poduszce i dać odrobinę rosołu. Zaciśnął zęby i zgrzytnął. Czoło zaczęło mu się pokrywać podejrzaną, woskową barwą, która jak plama wsuwała się w policzki. Przymknął powieki i majaczył:

— Widzę cię, straszna towarzyszek moja, od zarania do grobu ze mną idąca. Nędzo! precz nędzo!

Podniósł rzęsy i przytomnie przemówił:

— Mateczko, dobrze mi, zupełnie dobrze. Przepowiadaj modlitwy za konających...

— Pójdę po księdza...

— Jeszcze nie trzeba. Przepowiadaj...

— ...Jako i my odpuszczamy. Amen.

— Amen, amen.

Oczy obrócił w słup aż w czoło się wcisnęły, mglista żółcizna przewaliła się do szyi, usta wyzionęły oddech ciężki, ostatni i trup rozpościerał się na białej pościeli szpitalnej, a obok niego kłęczała zamodlona zakonnica.

Dyżurny doktor stwierdził śmierć i zawyrokował, że chory się przeziębził i chodził z zapaleniem. Zaraz telefonował urzędnik zakładu do biura kasy chorych.

— Umarł sufler Czekajski, ciało w kostnicy.

Po godzinie nadeszła odpowiedź.

Na żądanie zarządu teatralnego, zwłoki suflera Czekajskiego przeniesione zostaną do krypty XX. Pijarów i pochowane kosztem dyrekcji.

Przed fasadą kościółka przy ulicy świętego Jana zgromadziła się liczna publiczność, przeważnie artyści, literaci, dziennikarze. Wchodzono do ponurego podziemia, w środku którego pod kamienną balustradą, mieszczącą ołtarzyk, stała na

prostym, niskim katafalku drewniana trumna, skąpo zielenią otoczona. Leżał w niej trup człowieka o dobrej, pogodnej twarzy, strasznie zbiedzonej, gromniczno-żółtej, z skrzepłym w kątach ust bolem. Żwawo i ruchliwie roіło się na zewnątrz. Kilku pauprów ulicznych zoczywszy służbę pogrzebową zawołało:

— Łapidusze idą, idą łapidusze!

Wsunięto trumnę na karawan, obwieszono go kilkoma wieńcami i wśród odgłosu dzwonka wieżowego ruszono na cmentarz. A za tym czarnym wozem szła kobieta z gromadką dzieci, z jedynymi dziedzicami nędzy nieboszczyka.

OSTATNIA.

Nad Dobrowacem gaśło wrześnie słońce. Płowe zmierzchy pełzały z poza załomów wyrudzia-
łych pagórków, zalewały szare smugi przestrzeni,
dopadały i odpadały od rozmokłej ziemi, pochła-
niając resztki blasków, rozprószonych z posępnego
nieba. Wiatr, pełen dżdżu i świstu dął od Sunii,
uderzał o fale rozglinionej Łopoty i nasiąknąwszy
wilgocią strumienia, pędził suchemi polami, zawa-
dzając po drodze o wyboje przerzedzonych lasów
i słomiane lub gontowe dachy kroackich przysioł-
ków. Pustka i zamyślenie wisiały w przestworzu,
na drzewach. Tylko w chacie Mary Milincicowej
migotało światelko, znikało i znów lśniło, jak błę-
dny ogień na mrokach trzęsawiska. Staruszka
ujęła w garście łopatkę i lampę i ostrożnie stą-
pała ku zakamarkowi, obrzuconemu różnobarwnym
nieużytkiem. Odgarnęła wióry, szmaty, z powier-
chni dużej paki i nastawiła płomyk do wnętrza.
Z pod pergaminowych bruzd jej twarzy wykradło
się zadowolenie, blask spłynął z zamglonej wiekiem
żrenicy. Pomrukiwała, zapuszczała ramię głęboko,

przezornie macała spód skrzyni, poczem przykłękała, ginęła połową ciała pod kopcem łachmanów, a kiedy się już dosyć nacieszyła, układała śmiecie dopóty, póki paczka nie zginęła pod pstrokatą powłoką. Że się to mimo spóźnionej pory i niezdrowego powietrza kilkakroć powtarzało, — staruszka kaszlała i ledwie się wlokła do skromniutkiej izdebki. Miała wejść właśnie do łóżka, gdy kiść jarzębin zadzwoniła o szyby, a ona, złęknioma w zgrzebnej koszu linie, poomacku biegła do zakamarka, rękę wpuściła w gęstwę i szeptała:

— Śpi, nie odnajdą jej, pókim żywa, nie odnajdą «koszutki!» Matka Boża z Czaglic nie dopuści...

Drżąc z chłodu i strachu, wtuliła się w pościel, ale sen nie kleił jej powiek. Zamęczała się troską o Sawę, jedyną towarzyszkę pustkowia. Jak to? Miałaby się z nią rozstać, oddać drogie stworzenie pod nóż oprawców? Przynieśli wprawdzie z «pogłavarstva» pisanie, cóż ją to jednak obchodzi? Prawda, straszna zaraza dziesiątkowała owce od tygodnia, wciskała się do każdej obórki, tak, że zaledwie ciepłą zakopano padlinę, już bieluchnego biedactwa sterty czekały na pogrzebanie, a pomór szedł i szedł bez litości i zatrzymania, zostawiając za sobą zubożenie i łyzy chłopskie.

Przed oczyma Mary zabierano do ubicia stadka Markowičom, Kisičom, Luce Wukowičowi, Dragutinowi Staji, aby zapobiedz szerzeniu się moru, ona wszakże nie odda jedynaczki, chyba krew jej

splami wymuskaną wełnę Sawy. Nigdy, przenigdy! Czego ci zbóje chcą od nędznej, steranej kobiety? Powie, czym Sawa jest dla niej, obejmie nogi pana naczelnika i opisze swoje sieroctwo. Przecież Sawę, jak dziecię chowała, karmiła z dłoni, kładła jej pościółkę obok siebie i przepasywała czerwoną wstążką. Gdy się wlokła o kiju, miała Sawę u boku, a gdy wędrowny kobzarz zawodził pieśń o Marku królewiczu, śpieszyła z Sawą do «gostiony», wspierała się o ścianę i chwytiała przytępionym słuchem tony, rozbrzmiewające chwałą narodowego bohatera. «Oj, Marku, Marku, my wszyscy Marka potomkowie!» — wołano zewsząd, a Sawa lizała zwiędłe ręce Mary, jakby w podzięce za przygrywkę. Ho! ho! jakże ma się wyrzec Sawy! Jej staremu na wojence pod grafem Jelacičem ucięli nogi, on zaś męczył się i męczył z dziesięć lat, potem zwłókł się z miasta na chorwacki ugór, aby położyć głowę nad Łopotą aby mu świślał wiatr z nad Drawy i po cząbrach grobowych szum przechodził dobrowackich lasów. Ona z Sawą odprowadziła nieboszczyka hen, na piaski, spadające z górzystej roztoczy, i tam odwiedzała go często, póki nogi nie zaczęły się ciężko wlec po ziemi. Jakże ma dać Sawę?.. Chodzi z nią wspólnie, w wolnej od paszy chwili, do piędzi ogródka, otrząsnąć gąsiennice z liści wiśni, gruszy i wygrzewać się pod żarem letnim. Potem razem patrzą, jak niebo, oblane blaskiem purpury,

śle w powietrze ogniste oddechy i spycha słonko rozszerzone, ogromne, na sine krańce chorwackiej krainy, Bóg wie gdzie... Tam może drogi Karlo wojował, tam może został kaleką, dolę swą zmarnował, w ubożuchnem opuszczając ją wdowieństwie... Juźci, to słonko nie dalej zapada, niż za chorwackim kresem... Albo to są jakie inne jeszcze?... Gdzie się do wsi ruszyła, czy do Milovaca, czy Darowaru, czy Rokity, wszędzie i wszędzie rozmówiła się po chorwacku, toż widoźnie niema nad chorwacką ziemię, a słońce ją wyłącznie kapie w blaskach, dalej wdowę po Karlu, i Sawę, i przytulisko cmentarne, i Łopotę mrużącą, i wiśnie, grusze, i te sadyby z domkami garbatymi, niby białe plamy, rzucone na zielone smugi, opasujące rozczochrane dobrowackie podnóża. Precz od niej, od Sawy! Za pasem zima mroźna, gorsza stokroć od wrześnieowej szarugi. Niech tylko zawieja spadnie od mogił i czarnych jarów bośniackich, to brodzić tylko w śniegach i gubić oczy na szronach. Wówczas inni cieszą się dziećmi, kumami, gwarzą przy kominku, przędą tkaniny na wzorzyste, sztywne spódnice i rańtuchy, a ona głaszcze kędziory Sawy. — Sawa zaś mruży i wznosi w górę piwne źrenice z zapytaniem: «Matko Maro, matko Maro, nie tęskno wam za gruszami, wiśnią i Łopotą?» — Ano tęskno po nich, ale teraz na nich białe śniegi leżą. Ty jedna, jasna Sawo, i Karla dusza mi towarzyszyce,

i Jezusek, co chodzi od progu do progu ze zmiłowaniem. Hej! hej! Sawo, luba Sawo!... Toż w latko za to idziesz ze stadkiem na błonia, markotną zostawiając staruszkę, czekającą, aż zabeczysz pod wejściem: «Matko Maro, puść, to ja, Sawa!...» Sawy chcecie pod nóż?... Niedoczekanie!...

Mara Milincicowa zasnęła wprawdzie, ale miała sen ciężki, urywany, przepełniony widmami. Rankiem zajrzała do zakamarka, uspokoiła się nieco i krzątała po izdebce. Wtem stopniowo zbliżały się głosy piosenki i miarowe stąpanie:

Na vojsku, na vojsku, vitezi valjani,
Koga god majka, hrvatska odhrani!...

Mara z lęku zsuwała się ku podłodze. Lekkie pukanie do drzwi wyprostowało jej nogi.

— Hej, matko Maro! otwórzcie...

— A kto tam?

— To rhy, z poglavarstva, Antun i Stanko, puśćcie, Maro...

Dwóch pandurów weszło do środka.

— Pomóż Boże, matko Maro!...

— Dzień dobry!

— Dzień dobry, Antun i Stanko. A co wy do mnie?...

— Oddajcie owcę, według przykazu...

— Dobrze junaki, Antun i Stanko, też moja Sawa poszła i gdzieś zdechła, temu tydzień... Oj,

biadaż mnie, biadaż... A była taką hożą i lekką, jak ptak, co się na gałęzi kołysze...

— Matko Maro, nie żartujcie.

— Gdzieżbym, synaczki, nieszczęsna żartowała! Gwiazdka ma obok siebie gwiazdkę, kamień drugi kamień, wy, Antun i Stanko, żony, dzieci, a ja te palce u ręki. Nawet Sawa mię opuściła...

— Ej, matko Maro, nie szanujecie przykazu poglavarstva, — odparł Antun. — Ja i Stanko zwyczajne pandury i myśmy nijakich praw nie wynaleźli. Dawajcie owcę...

— Bierzcie, szukajcie, miłe junaki, ale niema Sawy u matki Mary, niema...

— A przecież jej święty Jerzy nie uniósł...

— Nie uniósł ci święty, nie, ale złe zabrało.

— Nie opierajcie się władzy, matko Maro, bo ona nami rządzi. Tak nademną i Stankiem jest pan pisarz, nad nim rajca, nad panem rajcą naczelnik, nad nim żupan, nad panem żupanem ktoś jeszcze, jeszcze, potem Pan Bóg. A kiedy nie słuchacie Antuna i Stanki, nie słuchacie pana pisarza, ni pana rajcy, ni naczelnika, ni żupana, ni tamtych innych, a przez to Boga... Skoro nie dacie dobroci, poszukamy złością...

— Szukajcie, synaczki, chobre junaki, Antun i Stanko, ale u mnie niema Sawy...

Pandury przetrzęśli izbę obejrżeli zakamarek, z pogardą minęli kopiec szmat i wyszli, odgrając się niechętnie:

— Poczekajcie, zadarliście z gminą, w ciemnicy wyśpiewacie...

Kobieta zasunęła rygiel, wbiegła do zakamarka, rozrzucała kopiec i za nogi wyciągnęła Sawę. Ona się strzepotała, nastroszyła uszy i długo lizała dłoń staruszki. Mara zaś, prawie w kabłąk zgięta, przesuwiała policzki po wełnie owcy, nastawiała usta do jej nozdrzy i gawędziła:

— A ty jedna!... A ty mileńka!... Chcieli cię zarznąć i cisnąć do dołu... Twoja wełna czysta, jak puszek, twoje oczęta, jak woda Łopoty w słońcu, twoje uszka, jak gałeczki mleczu, ległyby w grudzie dobrowackiej. A ktoby szedł ze mną na grusze, wisienki, kto marzył o Karlu przy kominku, kto słuchał dumy o Królewiczu Marku, Sawo, moja Sawo? Tybyś siała zarazę? W tobie, moja pie-szczocho, życie, zdrowie, schludność, nie mór! Chucham na ciebie, jak słonko na chorwackie góry, a oni się boją, szaleni... Pan Jezusek nad nami czuwa i krzywdy uczynić nie pozwoli. Zabeczże ty psotnico, zabecz mamie Marze, meee...e, meee...e, to jakby najpiękniejszy skowronek lub słowik ćwirkał. Nie powiesz meee...e, niewdzięcznico?...

Bawiła się z Sawą, a Sawa z nią długo, potem dla przezorności ułożyła owcę w skrytce, przyniosła trochę pokarmu i łupę mleka. Nad wieczorem zjawił się Antun.

— Pomóż wam Boże! Dobry wieczór, matko Maro.

— Dobry wieczór, a czego, miły Antun?

— Rozkaz zamknąć was do klatki, póki nie wskażecie owcy.

— Wola Pana Jezuska, ale nie mam Sawy, nie mam...

Umieścili ją w ciemnej celce pod ziemią, której okienko, pokryte drucianą siatką i drążkami na krzyż złożonymi, wprowadzało słabe odbłyśki dnia, ginące w mrokach kazamaty. Ze ścian lała się wilgoć obfitymi wybojami, zalewała mokrą ziemię, nasycając powietrze stęchliwą i trującym odorem. Mara zawiesiła oczy na okratowaniu i rozpościerającej się za niem szosie wiejskiej, wijącej się i pod jej chatą, pod zakamarkiem Sawy...

Czyż ją tu żywcem zamierzają pochować?

Może oddać Sawę za wolność? Nie, raczej jej, spleśniałej i niedołężnej, śmierć, niż Sawie... Przecież ją wypuszczą, — a Sawa ma na dwa dni pokarm... Nie zginie...

Staruszka się zatrapiała, zagryzała i nie wiedziała, co z sobą począć. W nocy zrobiło jej się bardziej dokuczliwie, cierpko i strasznie nieswojo. Zdawało jej się, że na drodze widzi potworne, różnokształtne kłęby, zbiegające się i rozchwytywające nad górską roztoczą, trzepoczące kruczemi skrzydłami, następnie falujące w strasznie prędkim wirze i zrywające do szalonego tańca dobrowacką kotlinkę. Dwadzieścia lat temu ludzie we wsi, jak muchy, padali i takąż wiedźmę widzieli... To nie-

zawodnie pomór nieubłagany... Jezu, Jezu, on wielki, on straszny bez końca, taki, jak wieża kościelna... nie, dwa razy tyli, sześć razy... nie, dziesięć razy, i idzie, idzie trapić, dusić...

Starowina zwlokła się na tapczan.

Pandur Stanko zastał ją rano chorą; nie mogła się ruszać, miała lewą rękę i lewą nogę dotkniętą paralizem.

— Rany Boskie! matko Maro, próbujcie trochę, — zachęcał pandur. — Napytaliście sobie biedy na stare lata przez takie bydlę...

Przywołał pisarza, naczelnika, a ci, zatykając usta chustami i kiwając obojętnie głową, kazali przenieść chorą do chałupy.

— Zawsze z tą hołotą kłopot i kłopot!...

Przez trzy miesiące obłożnej niemocy zmieniali się przy łóżku staruszki Milinczicowej sąsiedzi i złorzeczyli zawzięcie:

— Oni w tej dziurze niejednego zabili, szczeniaki!

Gdy Marze lepiej było, spytała o Sawę.

— A jest, jest zdrowienka, jak żdzibelko żyłka. Ta cholera zgasała i ocalała. Cud szczery...

— A szczery, bo szczery — powtarzano chórem. — Pan Jezusek ma was w szczególnej opiece...

Sawa markotna, nieruchoma, leżała przy łóżku, z pyszczkiem wsuniętym między łapy. Mara rzuciła na nią spojrzenie pełne tryumfu.

— Sawo mileńka, ty jedna...
Potem słabym zagadnęła głosem:
— Jakżeście ją przyhołubili?
— Ano tam, pod kupą, aż już nie trza było.
Na przekór tym ścierwom pandurom... Znaliśmy
waszą skrytkę...

Władzy już nie odzyskała. To też latem, siedząc na zydelku, przez okienko patrzała na wiśnie, grusze i cmentarne piachy, kryjące prochy Karla. Obsługiwała ją Agnes, mała przybłęda i własność wsi całej, a Sawa do wiosny grzała jej stopy. Z majem miała Sawa wyjść na paszę. Wszystkie jednak owce skosiła zaraza i ona we wsi została ze swego rodu jedyna, ostatnia... Całe wesołe stadko, z którym płaśała po nadpołockiej runi, było zadżumione, z kimże się bawić zatem będzie? Popędzili ją na paszę w trzodzie dużych, różnych kóz. W stadku były poważne capy brodacze, z zasępieniem spojrzeniem i butnem wzniesieniem łbów. Gdy zorze gasły, posuwała się trzódka wolno gościńcem, pobrzękując dzwonkami, przed nią zaś kroczył duży kundys z drążkiem u obroży, za nią trzech pastuszków w guniach i odsłoniionych, na wylotach koronką obszytych, pantalonach chorwackich. Za nimi wiał wietrzyk nadłopocki i pachniała koniczyna dobrowacka, a pozdrowiało ich po drodze ujadanie psów i słowa powitania: «Pochwalony! dobry wieczór!...» Sawa szła z boku, na kraju,

odosobniona, zamyślona, nie zbliżając się do swych towarzyszków.

Była ogromnie smutną, przygnębioną — ta ostatnia...

Minęli już kapliczkę, pod którą dziewczki, ująwszy się za ręce z parobkami, tańczyli «koło» niedzielne, płaśając do taktu tamburyny, minęli rząd powózek, wiozących wesele, gdy Sawa zaczęła się zataczać niedaleko chatki. Pastuch zawołał pod okienkiem:

— Matko Maro, wasza kiepska...

Sawa dowlokła się do izby i padła u nóg starszki. Odtąd nasłuchiwała codzień Mara głosu dzwonek i ze łzą w oku powtarzała:

— Ta moja mileńka, ostatnia...

W JARZMIE.

Ciemną, posepną nocą jechałem na... stałą posadę. Kazałem sercu milczeć, strząsałem z siebie wszelkie pożądania i porywy,—dla jarzma... Wi-cher wielki szedł po mej duszy, lękałem się przyszłości. Dręczące rozmyślenia pierzchły dopiero nazajutrz, przed ogromnym piaskowo-szarym domem, przy jednej z głównych ulic wiedeńskich. Na frontonie widniał olbrzymi napis: «Ces. król. uprzywilejowane Towarzystwo ubezpieczeń «Iller»». Mierząc obszar budynku, przyznałem w duszy:

— Silna instytucja!

W bramie wisiała złota tabliczka z czarną grawiurą: «Emil Jerzy Turein, królewski duński konsul». Rozwinąłem dekret nominacyjny i przebiegłem go szybko oczami. Tak, niewątpliwie, generalny dyrektor «Illeru» był zarazem dyplomatyczno-handlowym agentem ojczyzny Hamleta.

— Przepraszam, — zagadnąłem portyera — czy pan generalny dyrektor...

— W sprawach konsularnych od czwartej do piątej po południu.

Zrobiło mi się mdło, cierpko. Z dyrektorami stykałem się w życiu, z konsułami jeszcze nigdy. Chcąc stłumić uczucie trwogi i zdenerwowania, pędziłem przez schody do biura osobistego.

— Zastałem pana sekretarza Frauenberga?

— Naturalnie, — odparł służący w granatowym mundurze.

— Oto, moja karta.

Czekałem.

Wpatrywałem się w dekret i po raz dwudziesty może powtarzałem jego treść. Przydzielono mi do czwartego biura statystycznego i kazano się stawić punktualnie pierwszego o ósmej. Niestety był już trzeci — i godzina jedenasta.

— Pan sekretarz prosi, — oświadczył granatowy uniform.

Nacisnąłem klamkę.

— Dzień dobry, dzień dobry! oczekiwaliśmy, zaraz zaraportuję generalnemu inspektorowi.

Oczekiwaliśmy...

Ogarnęło mnie uczucie ulgi i pewności. Więc mię potrzebowali...

Przyłożył słuchawki telefoniczne do uszu i czekał na sygnał. Dzwonek zadzwieczał.

— Numer 3482, nominacya z 15 sierpnia. Zgłosił się do służby... Hola! co począć? Dobrze, zaraz.

Odwrócił się.

— Proszę za mną.

Prowadził mię o piętro wyżej, do generalnego inspektora. Z poza biurka podniósł się błady mężczyzna z wpuszczonemi w kieszenie dłońmi.

— Spóźnił się pan o dwa dni i trzy godziny, U nas pierwszym przykazaniem punktualność! Odrobi to pan w dwie najbliższe niedziele. Na początek przeznaczylimy pana do statystycznego oddziału... Trzeba iść przedstawić się dyrektorowi Tureinowi. Do widzenia!..

Mówił tonem stanowczym, szorstkim, ściał mię z nóg, onieśmielił. Kazałem się zaanonsować dyrektorowi. Wpuszczono mnie do dużego, szablono-
nowo umeblowanego pokoju. Z głębokiego wy-
ścielanego fotelu wynurzyła się ludzka postać o ko-
ścistej, siwej głowie, krzaczastych brwiach i nie-
dbałym wąsie, zachodzącym między wargi. Emil
Jerzy Turein ruszał automatycznie, bez przerwy
ustami, jakby przeżuwał.

— Siadaj pan.

Usiadłem przy biurku.

— Wysoka osobistość bardzo mi dobrze pana zaleciła. Podobno pan wykształcony, literat?

Przesuwał pierścień po palcu i obojętnie pa-
trzał na mnie.

— Umie pan cztery działania: dodawanie, mno-
żenie, dzielenie...

Zaczerwieniłem się z podrażnienia, a on spo-
strzegłszy moje zdziwienie, rzekł:

— Dobrze dodawać lub dzielić, to sztuka, pra-

wdziwa sztuka... Wy uczeni nie macie o tem pojęcia. Czy pan zdrow, co? — bo zawezwę lekarza...

— Nie potrzeba, dziękuję. Jestem zupełnie zdrowym i mimo pozornie nikłego organizmu ważę przeszło siedmdziesiąt kilogramów. Mam zresztą tylko skazę na piersi, owalną myszkę, panie konsulu.

Emil Jerzy Turein uśmiechnął się z zadowolenia, zmrużył powieki i żywiej przebiegał ustami.

— Skąd pan wiesz, że jestem konsulem?

— Wszyscy wiedzą przecie....

— W istocie, w istocie!... Nie wstępuje pan przypadkiem do nas, aby się żenić?

— Nie, panie konsulu, pozostanę kawalerem, na pewno kawalerem.

— Oj, wy młodzi! jak się starzejecie, — to byście wiedźmę do ołtarza zaprowadzili! Pan ma ośmset czterdzieści reńskich pensyi, a u nas niżej tysiąca pięciuset nie wolno małżeństw zawierać, inaczej stosunek z instytucją zerwany.

— Zapewniam uroczyście...

— Ależ wierzę, wierzę! Czy pan pisać umie, to jest, czy kaligraficznie pan pisze?

— W szkole uchodziłem za kaligrafa...

— A czyby pan w każdym razie tu przyjechał, — choćbyś nie znalazł u nas zatrudnienia?

— W każdym razie, panie konsulu, takie miałem niezachwiane postanowienie.

— Czasem nam umykają po poduczeniu się, rozumie pan?

— Całe życie zamierzam w «Illerze» spędzić, dlaczego nie?

— To dobrze, bardzo dobrze! Świetną dostał pan na początek gaź! Siedmdziesiąt reńskich miesięcznie, to nie prędko się zdarza! Ludzie czekają latami! Jeżeli pan zamierza awansować, należy się uczyć instrukcyi, być pilnym i chętnym. Moje uszanowanie, do widzenia!

Posłuchanie skończyło się.

Pobiegłem o piętro wyżej przedstawić się szefowi statystycznego biura.

Pan Moryc Topfer skinął od niechcenia głową.

— Kugler! — zawołał do drugiego pokoju, — nowy pomocniczy urzędnik do instrukcyi.

Kugler oprowadzał mię po trzech pokojach i przedstawiał kolejno.

Padaly coraz nowe nazwiska: Panna Koppe, Krause, Lurc, panowie Dorfinger, Wandalowicz, Kluke...

Kłaniałem się dystyngowanie, mechanicznie, lecz nic i nikogo nie widziałem. Przed oczami memi snuła się smuga obłoczastej, zamroczonej mgły. Naokół szły ciche szepty, nieokreślone tony głosowe. Wytyczyłem żrenice w stronę jednego punktu i starałem się odzyskać przytomność. Mgła zrzedła, stopniała, odsłoniła główkę drobną, okrytą jasnym, rozwichrzonym włosem, przewiazaną białą

chustką, z poza której wyglądał zwój waty. Fluksya, widocznie fluksya! Znikła wata, została szarość tremy. Kłaniałem się znowu paniom i panom.

— Tu pańskie miejsce! — rzekł Kugler.

Wskazał krzesło przy stoliku, przysuniętym do dwóch zestawionych kantorków, zajętych przez Dorfingera i Klukę.

Uśmiechnąłem się uprzejmie do sąsiadów i czekałem na dyspozycje. Wnet zjawił się Kugler z dwoma fascykulami i rozpoczął wykład.

— Z kart czyli arkuszy miejscowych trzeba przenieść pozycje do formularzy i obliczyć procent szkód, które płaci nasze towarzystwo i wynagrodzenie, jakie za uiszczone karastrofy elementarne otrzymuje na podstawie układu wzajemności od innych asekuracyj... Idzie się porządkiem...

Przepisał jeden blankiet i zapytał:

— Rozumie pan?

— Doskonale! ogromnie łatwa drobnostka...

Mój mistrz i światłodawca oddalił się.

Pogrążyłem się w zadumie. Straszna, melancholijna historia stanęła żywo w mej pamięci. W domu ciotki, na drodze janowskiej we Lwowie, mieszkała w małej, przewiewnej izbinie na podstrysze, nędzna kobieta, sama jedna. Cerowała biedaczka pończochy od świtu do zmroku bo światła palić nie chciała. I zawsze nosiła wyszarżalą, wystrzępioną spódniczykę i podarte buciki i zzieleniałą od starości czarną chustkę i garnuszek na mleko.—

A jak ciotka pytała: «Pani Marecka, mogę przesłać pieczeń? dziś wyjątkowa» — rumieniła się nieśmiało: «Dziękuję pani gospodyni, jestem niedzrowa». — Marecka zawsze niedomagała, ile razy chciano jej coś zaofiarować. Prędko, jak cień przesuwała się po schodach, szła do straganiarki, kupowała trochę nabiału, kilka bułek i wracała. W południe zaś otwierała zapyłone okienko i nawoływała gołębie: tuś-tuś-tuś... Zlatywało ptactwo gromadą, kroczyło ruchliwie po blaszanym okapie i zjadało rozsypane okruchy bułczane. Napuszony samiec wrzeszczał: gul-gul-gul..., rozpychał się i w pogoni za żerem spędział gołębicę.

— Hultaju, hultaju! — strofowała go Marecka i groziła mu palcem. On rozdymał zawzięcie gardło, podrzucał szyjkę i gruchał: gul-gul-gul...

Od czasu do czasu przychodziła Marecka do domu po dziewiątej w nocy. Zastępowała jej zwykłe drogę rozciekawiona stróżka Wojciechowa, niby z powitaniem.

— Pewnie pani od syna z kasarni?

Marecka mruczała niezrozumiale pod nosem i pięła się szybko na podstrysze.

— Patrzcie! — wykrzykiwała Wojciechowa — wielka marmozela!...

Raz wpadła ciotka błada, zdyszana do pokoju.

— Okropność! okropność! — jęknęła.

Poszła do Mareckiej z robotą na górę. Z powodu zmroku przystanęła przed oszklonemi do

połowy drzwiami, szukając klamki. Wtem zadrżała, cofnęła się nieco. Na piecyku dogasała łojówka i rzucała konające światło na skuloną postać Mareckiej, która z dłoni sypała okruszki na podłogę. Ze szpar, z kątów wychodziły myszy, małeńkie szare myszy i dobijały się o drobiny bułki. A Marecka siedziała skamieniała, martwa, aby ich nie płoszyć, nie trwożyć.

— Okropność! okropność! — jęknęła znowu ciotka.

Na drugi dzień poprosiła Marecką do siebie i powiedziała stanowczo:

— Pani zanieczyszcza mi chowaniem myszy cały dom, musimy się rozstać od pierwszego.

Łzy zakręciły się w oczach Mareckiej.

— Samotno mi, pani gospodyni...

Odwróciła się i poszła.

O, Marecka! Marecka! Jak widmo plątała się przedemną smutna, opuszczona karmicielka myszy. Za nią pędziło rojowisko drobnych stworzonek o długich, cienkich ogonach, węglowych, mądrych żenicach, szczebiocząc składnymi pyszczkami: kwi-i, kwi-i...

Z pokoju szefa rozlegało się energiczne wołanie:

— Panno Koppe! Panno Koppe!

— Panno Koppe! — powtórzyło kilka głosów — szef wzywa, do szefa!...

Powstał mały zamęt, chrzęst, tupot. Ktoś trą-

cił moje krzesło, pchnął mię łokciem i pędził dalej.

— Przepraszam! przepraszam!

Oglądałem się. Owinięta w białą watę zdążyła fluksya do Moryca Topfera. Niebieskie, świe-drujące oczka spoczęły w przelocie na Dorfingrze. Mój sąsiad uśmiechnął się wdzięcznie, wydobyl z kamizelki małe lustro i zagłębił w niem rozlane, wągrowate, mdłe oblicze. — Zręcznie, lekko układał palcami sztywne, odstające, do szczeciny podobne włosy i przyciskał sam czubek do skóry.

Krzesło moje znowu się zachwiało, plecy odskoczyły od poręczy.

— Przepraszam! przepraszam!

Fluksya przeleciała z plikiem papierów do kopiowania. Zaledwie zniknęła, odczułem nowe wstrząśnienie i nadeptanie na nogę. Syknąłem z bólu i zakląłem:

— Niech was...

Niesłusznie kłąłem, gdyż oni byli grzeczni i serdeczni. Wandalowicz milutko, choć nadzwyczaj cicho wycedził:

— Pardon!...

Usadowili mię na przejściu i bombardowali obrzydliwie co chwilę. Przysunąłem krzesło do kantorka, wcisnąłem nogi pod stół, zwinąłem się cały w kabłąk, — tylko moja głowa sterczała nad pulsem. Trzymałem pióro mechanicznie w dłoni

i błdziłem oczami po papierze. Papier wydawał mi się szczególnie białym. Długim był jak całun, jak zasłane grudniowym śniegiem błonie. Skakały po niem kruki, czarne, nieprzyjemne kruki, — żywe plamy na jasnym, jednostajnym tle. Atramentowe cyfry, nic więcej!... Wspomnienie Mareckiej dręczyło mię ciągle i wciąż mi brzmiało w uszach jej usprawiedliwienie:

— Samotno mi, pani gospodyni...

— Przecież temat rzadki, wzruszający temat!

Widziałem ją po zejściu z ciotką jeszcze raz, — potem skończyło się wszystko. Janowskim traktem zdążyły na cmentarz wojskowe pogrzeby. Muzyka zatrzymywała się przed kościołem, naprzeciw domu ciotki, asysta prezentowała broń, ksiądz trumnę kropił i szeptał modlitwę. Następnie rozległ się akompaniament wesołego marsza, wojsko wracało do koszar, a ciało opuszczone odwożono na wieczne odpoczywanie. Marecka otwierała zimą i latem okienko na poddaszu, przyklękała i patrząc w niebo, wzdychała:

— Panie Jezusie, ochroń Jasia od złego, zachowaj go zdrowym i czerstwym...

Spoglądała na dół, na trumnę i dodawała:

— A zmarłemu racz dać wieczne odpoczywanie. Amen.

Tak się modliła Marecka za wszystkich wojaków przez miłość dla Jasia. Właśnie domknęła okienko i usiadła na pryczy. Od kilku dni przy-

nosiła jej Wojciechowa bułki z mlekiem. Marecka niedomagała, kaszlała, kłóto ją w bokach. Gryzła ją i martwiło strasznie, że nie mogła iść do Jasia, do koszar. Aż oto nadeszły nowiny. Stróżowa prowadziła na podstrysze żołnierza w paradzie. Stał w postawie uroczystej, służbowej i recytował:

— Szukaliśmy was daremnie... Syn wasz, Jan Marecki, zachłystnął się na egzycyrce, — a jak go przywieźli do marodecymru pomarł zaraz. Pan kapitan kazali mi zameldować, co był dziś pogrzeb.

Stróżowa załamała ręce.

— O rety, pani Marecka! Bóg dał, Bóg wziął...

Jęła ją pocieszać, ale Marecka siedziała osłupiała, niema.

— Suka! — pomyślała Wojciechowa — nic jej nie obchodzi. I aby utwierdzić się w przekonaniu, szarpnęła Marecką za ramię.

— Katoliczka jesteście, pomódlcie się przynajmniej.

Marecka nie chciała się jednak modlić, tylko wstała dziwnie groźna, aż błyski gniewu szły od niej:

— Idźcie stąd! — krzyknęła. — Idźcie!...

Potem nikt jej już nie widział. Ślusarz musiał zamek wytrychem otworzyć. W izbie było pusto, głucho, jedynie na podłodze leżała garść niedojdzonych przez myszy okruh.

— No, jakżeż panu idzie? — zapytał niespodziewanie Kugler.

Zakryłem szybko kartę rękawem.

— Doskonale! ogromnie łatwa drobnostka...

— Tęgi z pana będzie fachowiec! — zauważył Kugler i poszedł.

Odetchnąłem, ale co dalej?

— Ach, panie Dorfinger, — przemówiłem serdecznie, — wzajemne ubezpieczenia interesują mnie nadzwyczaj. To się tak robi...

Przysunąłem do kolegi egzemplarz formularza.

— Nie tak, — zaprzeczył — zupełnie mylnie.

— Więc pan zna inną kombinację?

Podniósł na mnie zdziwione oczy. Wypełnił następnie pozycję dla przykładu i zapytał z naciskiem:

— Rozumie pan?

— Doskonale! ogromnie łatwa drobnostka.

Przysłuchiwałem się wywodom Dorfingera, lecz całą uwagę skupiłem właściwie na jego włosach. Rozdział na środku czaszki jego dziwnie był białym, do organiny podobnym. Tu i ówdzie sterczały zrudziałe, sztywne włosy, martwo bujając w powietrzu. Nachyliłem się bardziej, a Dorfinger mimo woli odrzucił głowę w tył. Tupet! tupet! — o mało nie zawołałem na głos, ucieszony odkryciem. Biedaczka Koppe nie przeczuwała podstępu. Czemże były wzajemne ubezpieczenia w porównaniu z tupetem Dorfingera? Obserwowałem, zapo-

minając o świecie. Warstwa sztucznych kosmyków wplatała się najwyraźniej w wieniec własnych włosów Dorfingera, pozostawiając za sobą wybitnie odrzynające się linie. Peruczasta głowa unosiła się wszędzie przedemną w atmosferze, jakby odcięta od kadłuba w czarnoksiężsko-magicznym teatrze.

— Dwie pozycje przeniosłem, chyba wystarczy.

— Wystarczy, dziękuję, serdecznie dziękuję...

Starąłem się dalsze wypełnić rubryki, co się częściowo powiodło. Gdy przyszło do obliczenia wzajemnego udziału w pokryciu szkód, skamieniałem; nie umiałem dzielić ułamka przez liczbę całą i odwrotnie. Kwadrans po kwadransie mijał, trzy godziny już upłynęły, a ja nie ukończyłem ani jednego arkusza miejscowego. Przypomniało mi się rozsądne pytanie duńskiego konsula: «Umie pan cztery działania: dodawanie, mnożenie, dzielenie»... «Nie umiem, niestety, nie umiem», westchnąłem.

— Panie Dorfinger — rzekłem do mego towarzysza, — jak wy fachowo, praktycznie dzielcie ułamki przez liczby całe?

Pokazał i wysłuchał nabożnie uwagi:

— Bo my po akademicku i szkolarsku trochę dłuższą urządzamy manipulację...

Odbiła nareszcie trzecia. Ocknął mię ruch krzesła, zamykanie ksiąg i wysuwanie szuflad. Mężczyźni przewdziewali surduty, dziewczęta odpinały sztucznie naciągnięte rękawy, — wszystko spieszyło do umywalni w korytarzu.

Wstałem.

— Panie, — oświadczył Dorfinger, — blankiety trzeba odnieść na półkę, tak zostać nie mogą.

Złożyłem papiery na wskazanym miejscu.

— Atrament stoi na wierzchu, u nas nic nie śmie przez noc być na wierzchu...

Schowałem kałamarz.

— A z piórem co będzie?

Rzuciłem nerwowo pióro do szuflady.

— Jeszcze linijka, linijka! Trzeba ją schować.

Wdźniałem zarzutkę i pocałem się zegnać.

— U nas, — zauważył życzliwie Kluge, — wychodzi naprzód szef przed nim nikt. Niech się pan nie naraża.

Potrząsnąłem przyjaźnie jego dłonią.

— Nic nie wiedziałem o tym zwyczaju.

Przesunęła się postać Moryca Topfera, podobna do sztywnych, żółtych figur woskowych w panoptykach, ubrana w tani, tandetny garnitur.

— Moje uszanowanie! Polecam się, — towarzyszyło mu do drzwi.

Po dwudniowej pracy w biurze wezwano mnie do Moryca Topfera. Rozległ się głos podniesiony, szorstki, grubiański:

— Pan mało, pan nic nie robi! W jednym dniu trzeba najmniej wypracować sto pięćdziesiąt pozycji! Arkusze miejscowe roją się od błędów dodawania i dzielenia. U nas musi być wszystko

ściśle, sumiennie wykonanem! Proszę pamiętać, inaczej nie moglibyśmy użyć podobnej siły roboczej...

Pomyślałem w duszy: sekują mnie, dręczą, widocznie chcą się mnie pozbyć, aby tańszego wziąć człowieka. Ale dlaczego on wrzeszczał, dlaczego mnie kompromitował?... Siła robocza!... Buchnęły z mego czoła ognie, zbuntowałem się... za późno.

— Ee, bydlę!... — szepnąłem. Panie Kluge, po dwu dniach zajęcia biurowego żąda już Topfer stu pięćdziesięciu pozycji!...

— A niech żąda, a pan nie rób i kwita! Oniby żyły chcieli wypruć z człowieka!

— Proszę zanieść kopię na półkę!

Dorfinger podał mi bibulasty papier. Zawrzało we mnie.

— Panie Dorfinger! — zgrzytnąłem zębami.

On mnie objął łagodnym, spokojnym spojrzeniem.

— Już położyłem...

— To i ten fascykuł pod inicjały C do E.

Spełniłem po raz ostatni życzenie, postanowiłem jednak przy najbliższej sposobności wywołać awanturę i powiedzieć mu:

— Idź sobie pan sam, jesteś do tego stworzony, ale nie ja.

Ach, zresztą nie przyszło do starcia, bo mnie wyrwali z pod komendy Topfera. Na moim sto-

liku znalazłem niebawem kopertę. Rozdarłem ją i rozwinąłem arkusz.

«Podobało nam się przenieść pana do służby przy generalnej naszej agencji z dniem doręczenia niniejszego reskryptu. Zawiadamiając pana o tem naszym postanowieniu, nakazujemy mu zgłosić się bezzwłocznie do generalnego agenta, pana Jana Meyera».

Dane 6 września 1896.

Turein, m. p.

Turein był naprawdę konsulem, wielkim konsulem! Żegnałem wszystkich, dziękowałem za koleżeńskość, a Morycowi Topferowi za to, że raczył być moim szefem.

Zeszedłem na pierwsze piętro. Wręczyłem słującemu wizytową kartę.

Czekałem.

Na szklanych, zmatowanych drzwiach złocił się napis: wejście dla personalu. Prowadziły one wprost przed oblicze Jana Meyera... Przedpokój, w którym się znajdowałem, pokrywały od góry do dołu fascykuły z kopiami polic. Co chwila wpadał z innego biura rozpędzony urzędnik, porywał tom i pędził dalej.

Rozległy się dźwięki piosnki, nuconej półtonem.

Błada, alabastrowa dziewczyna, rzuciła duży, przeładowany kosz słomiany na stół, roztworzyła

drzwi od biur i przymlająco wypowiedziała pozdrowienie:

— Dzień dobry! grajslerka przyszła! dzień dobry!...

Rojowisko otoczyło kosz. Szczypano dziewczynę w policzki, gładzono ją po puszystych, fałistych kędziorach.

— Rejsi! — dajesz końskie kiełbaski, zaczniemy cię bojkotować...

— Trochę chrzanu za darmo, słyszysz Rejsi.

— Daj sera szwajcarskiego za szóstkę i rendez-vous na niedzielę!...

Rejsi broniła się jedną ręką, a drugą brała pieniądze lub rozdawała towary. — Zjawił się granatowy mundur.

— Pan generalny agent prosi.

Kilkanaście oczu spoczęło na mnie rozciekawionych, badawczych.

— Protekcyjne popychadło z drugiego piętra! — mruczano.

Pan Jan Meyer stał na środku dużego pokoju z rękami spartemi na biodrach. Istny, spełzły, zwiedły słonecznik o połamanej łodydze... Cera twarzy Meyera podobną była do zblakłej bibuły, oczy do kólek tłuszczu na zamaconym rosole. Ostatki ryżych, gładko zaczesanych włosów plątało się po jego spłaszczonej, wytysiałej czaszce. Nie ruszał się ze swej pozycji, uśmiechał się boleśnie, jak ludzie chorzy na wątrobę.

— Zapozna się pan u nas szczegółowo z manipulacją asekuracyjną, tylko proszę o punktualność. Raczej więcej, niż mniej pracować.

Nacisnął dzwonek. Wszedł niski, zasuszony mężczyzna.

— Oddaję panu do dyspozycji nowego urzędnika.

Zwrócił się do mnie.

— Dla pana, mój zastępca, pan Eugeniusz Meyer, będzie bezpośrednim przełożonym.

Nim zdołałem się zorientować w nowem położeniu, przesunięto mię jak pakę przez trzy pokoje. W ostatnim zatrzymał się vice-szef.

— Pozostanie pan tutaj...

Siedziało ich pięcioro.

Najbliższy sąsiad Riegler zbliżył się nieśmiało.

— Pan ze statystyki?...

— Tak.

— Tam mają złote, próżniacze życie, — zauważył młody, jasny mężczyzna.

— Kossut chciałby się zawsze objąć! — wtrąciła z przekąsem starzejąca się panna Anna.

Kossut ruszył pogardliwie ramionami.

— U nas każdy świeżo przychodzący musi płacić litr wina, proszę nie zapomnieć.

— Owszem, zapłacę, — odparłem zniechęcony.

— No i cygara! dobre cygara! — wykrzykiwał przechryply bas.

— Masz rację Lamel, — potakiwał dobrodusznie Kossut, — nie zawadzi i zakąska.

Nagle uciszyło się.

Vice-szef niósł grubą, w czarne płótno oprawioną księgę i blankiet fioletowo zadrukowany.

— Wypełni pan — rzekł do mnie — wolne miejsca w blankiecie według kopii policy. Nie ma co pokazywać, każdy człowiek winien sobie sam radzić...

Poszedł.

— Panie Riegler, — zwróciłem się do sąsiada, — przepiszę wzór przy panu.

— Proszę, chętnie pomogę, służę. Przepraszam bardzo, czy pan czytał «Quo vadis?»

— Naturalnie, czytałem.

— To piękne, to kolosalne, to piramidalne!...

— Mamy mnóstwo wspaniałych książek...

— Prawda, święta prawda, tak mi Boże dopomóż! — odezwał się za mną uroczysty, namaszczony głos. — Służący biurowy Meznik, Czech zaciętrzewiony, skrzyżował dłonie na piersiach.

— O panie drogi, — mówił z rozrzewnieniem, — nasza Elizka Krasnohorska tłumaczyła «Pana Tadeusza». Zaraz, ja wiele umiem na pamięć: «O wiosno! Kto cię widział wtenczas w naszym kraju»... Co za zboża, co za rzeki, jak Wełtawa nasza. Naród, panie, fajny, nie jak dzisiaj. Polska literatura pierwsza, po niej idzie czeska, a potem już... nic.

— Głupstwa bajesz Meznik! Głupstwa straszne Wenzel!...

Meznik podskoczył do Lamla, otarł się o jego piersi i objął go namiętmem spojrzeniem.

— Żadne głupstwa! A zabroniłem panu przeżywać mnie Wenzlem, — bo mi na imię Wacław. Czechem jestem, nie żadnym...

Wpadłem między nich, przeczuwając burzę i zacząłem literacki wykład. Cisza zapanowała bezwzględnie, tylko stary Philip wydobył zegarek, wyciągnął z szuflady kawał kiełbasy, zawinięty w gazetę i spożywał ją spokojnie, miarowo.

— Pół do dziesiątej, Philip napycha się, — drwił Kossut, — przysłuchaj się pan... Objaśniałem, zapalałem się, opowiadałem o Słowackim, Mickiewiczu i innych wielkich romantykach.

Meznik uderzał tryumfalnie w dłoń.

— Widzicie! widzicie!

— Jakżeż wygląda? jakżeż wygląda? — rozległ się za nami skrzeczący głos.

Pierzchli wszyscy trwożliwie i zabrali się do roboty.

Eugeniusz Meyer stał na środku pokoju z rozchylonemi ustami, z podniesionemi w górę rękami.

— Wypraszam sobie narad i posiedzeń!

Przystąpił do mnie.

— U nas trzeba z całych sił oddać się zawodowi, niech pan pamięta! Sporządzony odpis policy?

— Jeszcze nie, ale zaraz będzie...

— Przecież każda minuta kosztuje dużo. Pan płatny po królewsku...

Pobiegł do innych biur, rzucając wszędzie pytanie:

— Jakżeż wygląda? jakżeż wygląda?

Wyglądało nie źle... Zmarnowałem sześć blankietów, — bez skutku. Schowałem je prędko do kieszeni, aby zataić niedołęstwo i nie ściągać nowej nagany. Nareszcie siódmy, — siódmy się udał. Zaniósłem go tryumfalnie do Meyera?

— Jakżeż wygląda?

— Odpis sporządzony, panie szefie.

— Ach! co pan najlepszego uczynił! W miejsce premii, wstawiłeś pan zabezpieczoną sumę, nadto nie poprowadziłeś linii w wolnych miejscach. — U nas pociąga się ładne, staranne linie.

Zabrałem się znowu do odpisu, — po raz ósmy. Wstyd i uczucie lęku zdwajały moją gorliwość. Sucha, zmięta panna Anna przeszkadzała ustawicznie, doprowadzając mię do ostatecznej denerwacji.

— Zamknij pan swój dziób zuchwały! — ofuknęła właśnie Lamla.

— Nie zamknę, proszę mi kupić skarpetki...

— Bezczelność! Lamłowska gburowatość!..

— Oho, jedenasta! Philip wyłazi na korytarz! — zawołał Kossut.

Rzeczywiście podniósł się Philip leniwie z krze-

sła i zdążyć w stronę drzwi. Rzuciłem pełen gniewu wzrok na Annę. Oczy nasze spotkały się. Bezmyślność, znużenie, pozioma filisterya wyglądała z jej przyćmionych, rybich źrenic.

— Ot, dama policowa! Wcielenie asekuracyjnej policy! — pomyślałem.

Zapałem papierosa.

— Zlituj się pan i zgaś, — błagał Riegler, u nas nie wolno palić. Niech stary zobaczy, albo zwaćha, robi piekło.

— A co u was dozwolonem! — krzyknąłem podrażniony.

— Zapłacić litr wina... — śmiał się Kossut. — Oho, pięć minut po jedenastej. Philip wraca...

Struchlałem.

Mój ósmy, w pocie czoła w całości przepisany blankiet zmarniał, jak zadżumiony na puszczy ósmy syn Araba. Duża plama atramentowa czerniła się w jego narożniku, prawdziwie Baltazarowa skaza. Zaklałem, zgryzłem wargi. W wyobraźni słyszałem suchy, skrzeczący głos:

— Jakżeż wygląda? jakżeż wygląda?

Źle wyglądało, bardzo źle wyglądało... Na blance królowała plama, nienawistna plama.

— Złoty panie Riegler, co począć? Trzy godziny ślęczę i nie mogę dojść do ładu... Pech, czywisty pech. To szkaradziejstwo dorżnęło mnie...

— Ależ głupstwo, drogi panie! Panna Anna ma wodę do czyszczenia, znakomity Labarraque...

— Tak jest, — potakiwał Lamel, — ona jest kapitalną praczką, zmywa wszelkie brudy...

— Zamknij pan swój zuchwały dziób! — fuknęła Anna. — Proszę podać, wywabię...

Droga dama policowa! Wydawała mi się anielsko-słodką i pocziwą. Zamaczała zwinięty w cienki pręcik papier w flaszce, napętnionej białą cieczą i zakorkowała ją prędko. Plama zniknęła istotnie.

— Trochę musi obeschnąć! — objaśniła.

— A niech schnie nawet w nieskończoność!

.....

Czwarty tydzień urzędowałem już w generalnej agencji. O zmierzchu wychodziłem z domu i o zmierzchu wracałem. Życie wydawało mi się nędznem i szarem, — jak mgła na ulicy. Maszyna robocza wdzierała się w mą duszę i chwytła ją w rozpędowe koło, miażdżyła, zabijała. Tyk-tak, tyk-tak, dziś, jutro, pojutrze to samo. Przed udaniem się na spoczynek liczyłem ilość godzin, oddzielających mnie od jarzma. Siedm! Za siedm godzin miałem się znów zginać nad stołem w towarzystwie Kossuta, Anny, Lamla... szczęśliwych, uśmiechniętych, i zadowolonych. Nic się nie zmieniło w tym bursztynowym ustroju. Philip jadł regularnie o pół do dziesiątej, a o jedenastej wychodził, Anna nakazywała co chwila zamykać Lamlowi «zuchwały dziób», Kossut domagał się nowego wina, Lamel świeżych cygar. Codziennie po-

stanawiałem uciec, — nie mogłem, odkładałem. Odczuwałem wywietrzenie myśli, — wywietrzenie serca. Pustka szła za mną i szła przedemną, zabójcza pustka... Sprzedałem za marny grosz wolność, — sprzedałem siebie samego. Pióro moje było szelestem motoru, — głos Meyera komendą maszynisty. Sięgnąłem do kieszeni. Płatało się po niej pięć srebrnych, — ostatnich pięć reńskich. Zerwałem się i pobiegłem na korytarz, do telefonu. Zamówiłem bilet w operze za całą kwotę... Za kilka godzin siedzieć będę w wspaniałej świątyni i popłynę po rozhukanem morzu tonów. Powietrze, światło, oddech, rozbrzmiewały pieśnią, niemilkącą pieśnią.

Wezwano mnie do vice-szefa. Pan Eugeniusz Meyer stroszył się, marszczył.

— U nas nie wolno spacerować po korytarzach i samowolnie telefonować.

— Przepraszam, nie wiedziałem.

— Niech pan wie... Proszę iść wytłumaczyć się generalnemu agentowi.

Doniesiono mu...

Zapukałem do drzwi Jana Meyera.

— Tak być nie może! Telefon mamy dla interesów, nie romansów. Schadzki można listownie naznaczać. Niech pan idzie usprawiedliwić się przed nadinspektorem, on wie...

— Dobrze...

— Panu trudno idzie robota! Widoczny brak

zamiłowania... Trzeba duszę włożyć w te różne kawałki... Pańskie pismo brzydkie... Czy pan będzie kiedy tak ładnie, tak okrągło, tak czysto pisał?

Wydobył z biurka koncept.

— Widzi pan...

— A pan, panie generalny agencie, nauczysz się kiedy tak kaligraflować? — syknąłem oburzony. — Chłopak w służbie mego wuja podobne miał pismo.

— Unosisz się pan, wpadasz w gorączkę. Proszę nie zapomnieć o nadinspektora. Żegnam...

Wszedłem do wąskiej, półciemnej izby.

— Nie znając przepisów... — zacząłem.

— Co przepisów! U nas trzeba pracować, nie włączyć się! Zrozumiano? — wrzasnął nadinspektor.

— Milcz pan! Musiałeś się w lesie chować...

Fioletowe kolory wystąpiły na czerwonej, nalanej twarzy nadinspektorskiej. Bełkotał niewyraźnie, chwycił za poręcz krzesła.

— Spróbuj pan! — odezwałem się spokojnie.

Dłoń mu się osunęła, opadła.

— Trzeba iść do inspektora z oświadczeniem, że pan nie znał przepisów...

— Nie pójde! Róbcie, co chcecie!

Trzasnąłem drzwiami i podążyłem na moje miejsce. Drżałem na całym ciele, straciłem równo-

wagę umysłową. Oczekiwałem zwolnienia ze służby i czułem ulgę, że pod przymusem uczynię krok, na który dobrowolnie zdobyć się nie umiałem.

Chwila odbiła.

Zbliżył się starszy urzędnik z arkuszem w dłoni. Dymisya! Dymisya!

Papier leżał przedemną.

— Trzeba wypełnić i podpisać.

Siedziałem apatycznie, nie spojrzałem na zło-wrogi dokument. Wstałem, aby przystąpić do ce-remonii pożegnania.

— Łajdaki! — mruczał Riegler — wzywają nas do poświęćania się w wolnym czasie agenturom i napędzaniu im klientów... Wolny czas!... Przyrzeka-ją awans wyłącznie zawierającym interesa... Niech pan nie podpisuje tego ubliżającego szkaradziej-stwa...

Zwróciłem blankiet urzędnikowi.

— Nie najałem się na agenta. Proszę szczęścia spróbować u innych.

Czekałem katastrofy.

Przyszła! Na biurku znalazłem żółtą kopertę dyrekcyjną. Nie rozbierałem się, nie wypuszczałem kapelusza z dłoni.

«Podobało nam się przydzielić pana do służby w buchalteryi naszej agencji generalnej z dniem doręczenia reskryptu. Zawiadamiając pana o tem naszym postanowieniu, nakazujemy

mu przedstawić się bezzwłocznie naczelnemu buchalterowi, panu Kernegowi».

Turein m. p.

W czasie pobytu w generalnej agencji spisy-wałem dość dokładny pamiętnik.

Dnia 18 października.

Naprzeciw mnie zgina się nad olbrzymią bu-chalterską książką od przeszło lat dwudziestu czter-dziesiętiodwuletni mężczyzna, Antoni Bunzel. Od dwu lat dziesiątków siedzi na tem samem krześle, pi-sze te same rzeczy, spogląda przez to samo okno na Boży świat... Jego chude, mizerne ciało, okrywa czekoladowy spencerek, z którego rękawów wy-krada się niesfornie rozstrzępiona jegerówka. Twarz Bunzla blado-żółta, bezkrwista, wyciśnięta jak cy-tryna z soków życia. Płowy wąs zwiesza się nad sinemi jego wargami, które bezustannie wyrzucają szeregi cyfr. Bunzel zaplata nogi naokół zydelka, przygważdża pierś do kantorka, zagłębia się w du-żych kartach i włóczy po nich przez ośm godzin bez przerwy osłabione, zamaćcone źrenice. Z ude-rzeniem dziesiątej, zrywa się, pędzi na korytarz, kupuje parę kiełbasek, jedną dłonią podtrzymuje żywność, drugą wciąga pozycye w rubryki. Mówi prędko, rzuca nerwowo rękami, przeciera oczy chustką. Czy słońce, czy pioruny, czy maje, czy grudnie, Bunzel siedzi zawsze na zydelku i mruczy.

Życie szumi na ulicy, życie szaleje na polach, na wodach, na górach, — życie unosi ludzkie dusze, — Bunzla nic jednak nie obchodzi ulica, nic pola, nic wody, nic góry, nic dusze, on nie ma pożądań, ani porywów. Wszystko mu wywiał, wydarł Kerneg przez lat dwadzieścia, — Bunzel jest bez woli, jest sobą bez siebie. Głos Kernega go budzi, powołuje do zewnętrznego ruchu jego funkcyje i pograża znowu w apatii. Bunzel znowu rachuje i rachuje... Po odrobieniu pańszczyzny ubiera Bunzel spłowiełe palto, nakłada na głowę zzieleniały kapeluszyk i idzie do wielkiego handlu galanteryjnego przeprowadzić bilans dochodów dziennych. Doraabia w ten sposób dodatkowo, aby żona i dzieci w nędzy nie marniały. Potem zmęczony, wyczerpany, odbywa pieszo pół mili do domu. Tłum ludzki go nic nie obchodzi, ani on tłum. W izbie otaczają go Greta, Liza i Frycek, przeszukują kieszenie i każde dla siebie coś wyszukuje. Antoniego Bunzla cieszy niezmiernie dziecięca igraszka, śmieje się naiwnie i woła:

— O, wy rozbójniki!

Żąda następnie jedzenia, bo głodny jest, strasznie głodny. Zaraz po kolacyi maleją mu żrenice, powoli się same domykają i Antoni Bunzel rozbiera się w pół-śnie.

Spokojny jest, — punktualny jest, — dobry urzędnik...

Dnia 21 października.

Kerneg wywołuje wrażenie inteligentnego, sympatycznego człowieka. Wymowę ma nadzwyczaj miłą, głos czysty, metaliczny, pełen łagodnych, melodyjnych akcentów. Jest zawsze ugrzeczniony, uśmiechnięty, tkliwy. Głowa jego przypomina trochę buldoga, — ale to nic. Okulary zakłada ciekawie, — bo od tyłu przywiązuje druciki sznurkami. Serdecznie się ucieszyłem, — że tak dystygnowaną osobę spotkałem w asekuracyi.

Dnia 22 października.

Jaki ten Kerneg taktowny, słodki, — pełen nonszalancyi. Spóźniłem się o ośm minut, a on nic, tylko spojrzał na budzik umieszczony na półce, następnie na swój remontoar i westchnął ciężko. Zapewne ma astmę i lżej wdychać nie może. Zabrałem się natychmiast do bardzo interesującego i urozmaiconego zajęcia. Przepisywałem z ksiąg głównych do formularzy bieżące rachunki dla agentów, obfitujące w rytmiczną prawie jednostajność. Każdy nowy ustęp rozpoczyna się: «saldo, premie, kwity», — niby powtarzające się dla spotęgowania wrażenia wiersze na końcu strof. Wahadło zegara nie ma piękniejszego tonu, muzykalniejszego dźwięku: «saldo, premie, kwity!» Mój Boże! Kto nie umie, nie znajdzie poezyi nawet na Helikonie, kto umie, odszuka ją i na śmietniku... Tyk-tak, tyk-tak, saldo, premie, kwity i długi ogon cyfr... I czymże są halne maje, czym fletnie pastusze, czym

skowroncze pieśni?... Strumień górski huczy, jakby się waliło na siebie sto głazów, wicher szumi na leśnych czubach, jakby korę darto z smereków, — a tu wszyściutko równo, gładko, harmonijnie: «saldo, premie, kwity!» Pegaz asekuracyjny unosi mię w arkadyjskie kraje, na senne ogrody róż i wiecznie kwitnących aloesów. Trudniej oderwać się od biura rozmarzonemu, niż Odyssejowi od czarujących syrenich hymnów. Odrywam się jednak, aby zaspokoić pragnienie. Kerneg przeprowadza mię rzewnem, ojcowskiem spojrzeniem. Wracam, a on widocznie stęskniony powiada: «już pan drugi raz wychodzi, a nam się spieszy z powodu zamknięcia rachunków». Wygłasza to tak melodyjnie i słodko, że mu wdzięczny jestem i żal mam do siebie za niepowsiągliwość. Nie potrafi się biedak obejść bezemnie, zostałem jego prawą ręką.

Dnia 27 października.

Sąsiad mój, Lampke, bardzo elegancki młody człowiek śmieje się pod wąsem, gdy chwale Kernega. Pytam dlaczego, — ale on mię zbywa tajemniczem podrzucaniem ramion. Cudak! Chce mię zaintrygować i robi komedję. Milczenie częściej jest okrywką nieświadomości i głupoty, niż rozsądku. Proszę pana, — mówię do Lampkego, — wolę najwięcej wymagającą i najsurowszą delikatność, jak gburowatość, tolerującą wszystko...

Dnia 1 listopada.

Przyszedłem znowu pięć minut po ósmej. Ker-

neg miał oczywiście jakieś przejście, jakąś irytację, gdy rzekł: «na punktualność trzeba koniecznie uważać». Przeprosiłem go i sprawa została załatwioną. On zaś czując, że mi przykreść wyrządził, zdobył się na zaszczytny komplement: «pan mi do prawdy szczerze sympatyczny».

Dnia 2 listopada.

Kerneg spóźnił się o cały kwadrans. Byliśmy już przy pracy i pozdrowiliśmy go głośnem «dzień dobry». Taki szef zasługuje nie na jeden, ale na milion: «dzień dobrych». On odpowiedział dystyngowanem ugrzecznieniem na powitanie, podszedł milcząco do półek, ujął budzik w dłoń i cofnął wskazówkę o piętnaście minut. «Źle idzie, — zauważył — dopiero ósma, co do sekundy ósma»... Lampke uśmiechnął się zgryźliwie i spojrzał na Bunzla, który mu się odwzajemnił ostrożnym uśmiechem. Na miny Lampkego niepodobna było zważać, — albowiem on był typem zjadliwego żółciowca. Gdy się Kerneg do przyległego pokoju wydalil z papierami, szepnął Lampke do Bunzla: «posuń o kwadrans naprzód, bo jezuita ze wstydu szachrajstwo urządził». Bunzel się rozglądnał, głowa mu automatycznie drżała, jak Chińczykowi na składzie herbaty, kocim ruchem porwał budzik, przekręcił guzik od tyłu i znowu postawił zegar na półce. A niech sobie robią, co im się podoba!...

Dnia 3 listopada.

Jestem ogromnie zgnębiony i melancholijny.

Cierpię!... Nie pożądam niczego i choruję na czczość istnienia. Słońce w mych oczach tak samo wygląda, jak szara patyna kamienicznych fasad. Straciłem możliwość rozpoznawania kolorów życia i światła. Męka zwątpienia i druga: omdlenia umysłowego, toczą mnie, jak najmarniejszego robaka. Do stałem obuchem w głowę, nie mam sił...

Dnia 4 listopada.

Kerneg mnie sekuję, ale i innych nie oszczędza. Ludzi uważa widocznie za tramwajowe konie. Musi się koniecznie odjeżdżać ośm godzin z minutowymi przerwami. Za każdym potknięciem się, ustaniem, bierze się smaganie biczem.

Dnia 5 listopada.

Piłem po brzegi z kielicha goryczy... Jadłem kielbaski, które mi przyniósł Bunzel od Rejzi z korytarza. Zwróciłem się na chwilę ku oknu i zagapiłem na ruch uliczny, na spokojne seledynowe niebo.

— Proszę pana, — zagadnął Kerneg, — lepiej nie konsumować przy oknie, bo może przypadkiem przechodzić generalny dyrektor i powiedzieć potem, że nie pracujemy...

Ach, on ma logikę, która śmierć umiałaby ośłodzić. On kradnąc, wykazałby okradzionemu, że mu łaskę wyświadcza... Zapakowałem demonstracyjnie niedojedzoną resztę i usiadłem nad robotą.

Dnia 8 listopada.

Burza się zbiera w powietrzu. Opuszcza mnie martwota, przejmuję namiętność i mściwość. Śleżałem nad pulsem bez oddechu, bez moralnej i fizycznej swobody przez pięć godzin, z napięcia przyćmiła mi mgła zmęczone źrenice, a ręce ścierpły od pióra. Wyrzuciłem oczy mechanicznie ku pułapowi, aby odpocząć i bezcelowo wodziłem nimi naokół. Widzę białą gruntowaną powalę, rozetę ze sztukateryi i mosiężne przewody lamp gazowych.

— Panie drogi! — rzekł Kerneg — pali nam się pod nogami, nie możemy przerywać ani na chwilę.

Wszystka krew zbiegła mi do skroni.

— Panie buchalterze! — syknąłem — nie jestem uczniakiem i pańskich uwag nie potrzebuję. Wypraszam sobie strofowań, inaczej wiem, co pocznę.

Zapatrzyłem się na przeciwległą ścianę i obgryzałem rozmyślnie rączkę. Kerneg strawił odwet i zbył mnie milczeniem. Po godzinie jednak odezwał się bez żadnego powodu:

— Pan mi nadzwyczaj sympatyczny, szkoda takiej inteligencji do naszego charowania...

Nie odpowiedziałem ani słowem. On rozwiązywał właśnie sznurki od drucików okularów, złożył w porządku swoje papiery i oznajmił:

— Wychodzę za interesami na godzinę...

Zaledwie drzwi zamknął, zapanowała odświeżająca atmosfera. Lampke zaczął układać wasy w lusterku, a Bunzel wśród żalosnych westchnień powtarzał raz po raz:

— Tak, tak...

— Kanalia! — zakląłem głośno.

Była to gwałtowna iskra elektryczna; Lampke zawołał tryumfalnie:

— Aha! pański słodki dżentelmen! Świętoszek! Jezuita!

— Ma pan najzupełniejszą rację, — potakiwałem. — Zawiodłem się i przynaję.

— Ten drab w oczy bakę świeci, a za plecami dołki kopie. Mnie dwa razy przeszkadzał w awansie, a gdy wniosłem podanie o przeniesienie do innego biura, nie dopuścił, aby mnie dalej męczyć. Nasz oddział nazywają kryminalną celą. — Jemu nikt nic nie robi, temu dyrekcyjnemu faworytowi. Duńska gospodarka Tureina!

Bunzel otwierał i zamykał usta, jakby przez nie zamierzał ciężki z piersi wydobyć kamień. Obejrzał się za siebie, obserwował bacznie siedzącego w kącie starego Sewelę, skreślił następnie ku nam głowę i wyrzucał jakieś nieokreślone, nieartykułowane dźwięki. Nagle zapaliły mu się żrenice, i na ich zamgloną oponę zeszyły blaski potężne. Zwrócił się do mnie:

— Ogłupił mnie, zamienił w stężale drzewo, z którego codziennie od lat dwudziestu drzazgi

łupie, aż je zniszczy do reszty. Okradł mnie z woli, z rozumu, z uczuć, z pragnień. A ja się dałem okradać dla żony, dla dzieci... Zostawił mi tylko wadę serca...

Zaszkliła mu się łza w oku i zawisła na rzęsach...

— Oho! dwadzieścia lat niewoli na tym samym zydłu! Mam rodzinę i nie mam, mam Gretę, Lizę i Frycka i nie mam. Żywymi nie wolno mi się nacieszyć, muszę papierowymi!... Jestem ojcem i wychowawcą papierowych dzieci!...

Wydobył z szuflady szklany przycisk, na który nalepioną była grupa, przedstawiająca troje małców. Bunzel pocałował szkło, przyłożył do piersi i schował w szufladę.

— Już sto razy śmierć zadałbym sobie, ale oni z głodu umierać nie mogą.

Obtarł pot z czoła i z rozchyłonymi do połowy ustami patrzył na nas nieprzytomnie. Wkrótce zerwał się z zydła, wyciągnął gwałtownie przed siebie ramiona, jakby miał naprzód runąć i z pasyą zgrzytnął zębami:

— Hyeny! ażeby choć za niewolę płacili! My jesteśmy murzyńskim narzędziem! Wyssali ze mnie wampiry krew, wyssali duszę i wyrobili wadę serca. Ot, w tych papierach całe moje nerwy, całe człowieczeństwo!...

— Bunzel, Bunzel! — co się tobie stało? — pytał rozrzuwiony Lampke.

Bunzel zląkł się niezmiernie, oczy białkiem wywrócił, wyglądał jak śmierć. Zatrząsł się, spojrzął na Sewalę i chwiejnym krokiem przystąpił do mnie.

— Ale pan nie powtórzy?...

Uściśnałem mu dłoń i starłem padającą na twarz łzę. On mię konwulsyjnie chwycił za ramię i garnął do swych piersi tak, że czułem ciepło jego ust.

— Bo nie miałem młodości, a widzę młodych,— bo nie miałem radości, a widzę rozradowanych,— bo nie miałem wolności, a widzę wolnych... Jeszcze dwadzieścia lat muszę dźwigać ten krzyż, jeżeli mię śmierć wcześniej nie zbawi.

Łękliwie, nerwowo, wrócił na swoje miejsce.

Chwila, — nad kantorkiem śleczął Bunzel — maszyna.

Dnia 11 listopada.

Codziennie postanawiam uciec i codziennie zostaję. Próbowałem przefasonować się na motor, — daremnie... Praktycznie stwierdzam w biurze słowa stoickiego syna Albionu: całe życie jest zapinaniem i rozpinaniem guzików. Tak, zapinaniem i rozpinaniem z antraktami na picie, jedzenie i mechaniczną orkę. Nić sympatii związała mię z Antonim Bunzlem. Nazywam go poufale Bunzelkiem i rzucam mu zwinięte świstki papieru z miłosną korespondencją, jak za szkolnych czasów. Kerneg nas jeszcze nie wyłapał, ale po wyłapaniu zasadzi

z pewnością do karceru. Zresztą za krnąbrne zachowanie mam już domową karę. Podkreślałem w księdze buchalterskiej pewne i skontrolowane pozycje. Kerneg patrzył z ukosa i skrzywił się nieznacznie.

— Haczyki są bardzo brzydkie. Musi się pan ćwiczyć w domu, dwa tysiące sztuk codziennie przerobić, a zmieni się pociągnięcie ręki. Radzę kupić sobie zeszyt szkolny...

Roześmiałem mu się w oczy. On skonfundowany mruknął półgłosem:

— Niema się z czego śmiać. Sądowi handlowemu nie mogę przedkładać zeszeconych ksiąg...

Dnia 11 listopada.

Awansowałem na chłopaka do posyłek. Kerneg wyprawia mię to do kasy, to z papierami, to do ekspedytu.

— Dobrej siły roboczej nie mogę marnować na mało użyteczne gonienie, — docina mi ustawicznie.

Zadowolony jestem z nowego stanowiska, gdyż na chwilę przynajmniej wydalam się z zabójczego otoczenia.

Dnia 13 listopada.

— Fatalny piątek! fatalna trzynastka!... Ot, nie-szczęśne spóźnienie o sześć minut. Kerneg rzuca się i miota.

— Instytucja płaci regularnie i żąda regularnego wypełniania obowiązków!

— A jak pan o kwadrans lub więcej się spóźnisz, cofasz wskazówkę! — odpowiedziałem natychmiast.

Kernega do żywego poruszyła ta złośliwość.

— Milcz pan, jestem pańskim przełożonym!...

— I oprawcą, oraz mizernym człowiekiem! Nie myślę pana słuchać nadal, możesz wnieść skargę do dyrekcyi...

Oślupiał Bunzel, oślupiał Lampke, oślupiał sam Kerneg, — ale nie reagował.

— Znalazłem nareszcie drogę do zdobycia tu szacunku, — pomyślałem w duszy.

Zaczem przybijałem dalej stampile na rachunkach bieżących.

Wtem wpada zziajany Kossut, w pośpiechu nie domyka drzwi za sobą i staje w groźnej przedemną postawie.

— Bez pozwolenia wzięłeś pan moją szklankę z okna, — wrzeszczy — piłeś wodę i postawiłeś tak, że na stole moim odcisnęło się wilgotne kółko. Ja mam szklankę dla siebie, ja nie potrzebuję zanieczyszczać moich conceptowych papierów.

— Jesteś pan niesłychanym gburem! — odparłem spokojnie. — Nie życzę sobie z panem więcej mówić.

Wyniósł się, ale we mnie wrzało, kipiało, zanościło się na wybuch.

Istotnie wybuchło.

Zgłosił się do mnie po raz drugi po odpisy

dokumentów do podania mego o posadę urzędnik osobistego bióra, Kowacz. Przepraszam go najsołenniej za zapomnienie i przyrzekam jutro dostarczyć pożądaných kopij.

— Dobrze, panie — odpowiada Kowacz — ale u nas trzeba się do ładu, punktualności i posłuszeństwa wzorowego przyzwyczaić.

Formułę swoją cedzi tonem wyzywającym, aroganckim, cynicznym.

Ja porywam foliał papierów i rzucam mu go w piersi wśród grózb:

— Wynoś się, albo za papierami pójdzie kałamarz!

On zupełnie struchlał, zbladł, przybrał wojskową postawę byłego podoficera, odwrócił się i miarowym krokiem zdążał ku drzwiom.

— Zaraportuję w dyrekcyi! Zaraportuję! — odgrażał się po drodze.

Kerneg kiwał głową, a Lampke zacierał dłonie z radości. Opuściłem biuro zmęczony, rozbity, ale tryumfujący. Słyszałem naokół szepty: «Ten nie daje się!» — Towarzyszyły mi wdzięczne, czułe spojrzenia...

Dnia 16 listopada.

Zbierają składki na zakupienie daru, celem uczczenia dwudziestopięciolecia służby Nadowicza. — Dałem za przykładem innych całego guldena, choćby dlatego, że Nadowicza, zatrudnionego w innym biurze, wcale nie znałem.

Dnia 2 grudnia.

Widziałem tragedję, której nigdy w życiu nie zapomnę. Bunzel prosił Kernega o pozwolenie udania się do dyżurnego lekarza, ordynującego na drugim piętrze. Skarżył się na klucie w sercu, młodości i osłabienie.

— Musisz pan iść zapytać się pana Jana Meyera, ja na własną rękę nie mogę uwalniać! — oświadczył Kerneg.

Śmieszek plątał się po ustach świętoszka, udającego wiecznie Piłata, myjącego ręce. Ależ gdzież Bunzel pójdzie do Meyera! Generalny agent jest potężną, nimbem otoczoną figurą, trzymającą w dłoniach losy podwładnych. Jego jedno słowo może Bunzla awansować lub zostawić na wiecznie jednostajnej mizyeri, chroniącej zaledwie od śmierci głodowej. Bunzlowi zresztą brak odwagi, aby przedstawić życzenie... Mogą to rozmaicie tłómaczyć i uważać za zaniedbywanie obowiązków. Stoi tedy Bunzel za pulsem, przebiera szybko palcami książki buchalteryjnych kart, lewą rękę kładzie na sercu. Dobry kwadrans słychać szelest poruszanego papieru, — potem wszystko milknie i głucho.

Spoglądam naprzeciw.

Bunzel siedzi na zydelku ogromnie blady, ogromnie błędny i przechyla się lewym bokiem ku ziemi. Usta otwiera szeroko, widocznie chce chwycić trochę powietrza, bo walczy o jego wciągnię-

cie całą siłą płuc. Z gardła Bunzla wychodzą tony podobne do świstów wiatru na szczerem polu.

— Święty Boże! — wołam i doskakuję do niego.

Lampke lał wodę na stygnącą twarz biedaka, — a Sewela pobiegł po lekarza. Ja tymczasem praktycznie starałem się zastosować sztuczne oddechanie. Chwyciłem obie ręce Bunzla w okolicy pulsów i podnosiłem je, tudzież puszczałem w szybkim tempie, aby rozszerzyć klatkę piersiową. Słychać było jeszcze rżenie i szepty, coś jakby niedopowiedziane: Frycek, Liza, Greta... Nagle się przegiął, zeszywniał i wydał ostatnie ziemskie tchnienie. Antoni Bunzel zakończył życie, po krótkiej przedśmiertnej, — po długiej życiowej męce.

Dnia 4 grudnia.

Wróciliśmy z pogrzebu. Popołudnie było ponure, martwe, mgliste. Na niebie rozwiesiła się jednostajna, ołowiana, zimna opona i rzucała na ziemię półmroki. Krople rozwilżonego śniegu wypełniały atmosferę wilgocią i zgnilizną. Drewnianą trumnę ułożono na karawanie i wszyscy ruszyliśmy do parafialnego kościółka. Tam żegnały dočasne szczątki Bunzla i modły i gromnice i rzewnie rozbrzmiewające organy. Po nabożeństwie wsiadła zaledwie gaść żałobnych gości w dorożki i omnibusy, które ich cwałem odwiozły na miejsce odpoczynku wiecznego. Gdy ciało spuszczano do grobu, gdy liny ocierały się o trumnę, kwiliły

dzieci nieboszczyka głucho, — jakby im piersiątko zastygły. Ale gdy pierwsze grudy padły na wieko tatusia, zamieniło się kwilenie w rozdzierający jęk, w rozpętana, dziką rozpacz.

— Nasz tatuś! nasz tatuś!

Buchalter Kerneg obcierał chustką kąty ocz, podnosząc aż na czoło przymocowane sznurkami okulary. Urzędnicy poszturchiwali się i odwracali od niego z obrzydzeniem głowy. Tymczasem mogiła urosła. Antoni Bunzel spoczął pod białą brzozą, w kwaterze czterdziestej trzeciej, w alei dla ubogich.

Dnia 16 grudnia.

Król umarł, niech żyje król! Na zydelku Bunzla siedzi młody, bardzo młody chłopak. Nic mnie nie ochodzi, nie interesuję się nim. Lampke mi opowiadał, że w dniu katastrofy, w chwili gdy mię posłano do ekspedytu, dokuczył Kerneg nieboszczykowi. Oł, mniej więcej powiedział: «nie jesteś pan zadowolony ze mnie, skarżysz się i burzysz, dobrze wiedzieć». W kwadrans potem zasłabł biedaczysko i zginął. Sewela widocznie podsłuchiwał i zaniósł raport. Zresztą wszyscy tu szpiegują dla zaskarżenia sobie łaski przełożonych. Donosy mają im pokryć suchy chleb cienką warstwą masła.

Dnia 20 grudnia.

Brzydzę się sobą. Oddecham wspólnem z mordercą powietrzem. Sprawiedliwość go nie dosięgnie, bo zabijał na raty... Przypomniaty mi się

słowa świętego pisma: «kto szkodzi, niech jeszcze szkodzi, a kto jest w plugastwie, niech jeszcze plugawieje». Nie chcę jednak plugawieć i zaplugaować drugich... Widzę cię Bunzla, widzę bezustannie. Siedzi nad buchalteryjną księgą, mechanicznie porusza wargami i mruczy. Nagle zrywa się, chwytając za skronie i lamentuje: «nie miałem młodości, a widzę młodych, nie miałem radości, a widzę rozradowanych, nie miałem wolności, a widzę wolnych». Stawiam pionowo arkusz papieru, zasłanian się i na świstkach piszę artykuł: «duch biurokracji». Chcę zapomnieć, oszołomić się, odczepić od rzeczywistości. Zaczynam walkę z społeczeństwem, ciskając kamień o gigantyczną skałę. Skała pozostanie skałą, a kamień stoczy się na ubocze, dopóki go w ziemię nie wkopią.

— Przecież to zuchwalstwo! — woła stojący nademną Kerneg.

Zakrywam odruchowo rękawem rękopis i spoglądam mu spokojnie w oczy.

— Za to pan bierze pieniądze, przez pana upada całe biuro, zostają restancje!

— Jesteś pan bandytą! — krzyczę — obabrzę pana po wszystkich dziennikach!...

Wstaję i wychodzę ku zdumieniu Kernega do pokoju Jana Meyera. Skarżę się na postępowanie Kernega i grożę skandalem.

— Uf, uf! — gdera zwiedły słonecznik — każdy buchalter jest nerwowy, a i pan potrzebowalbyś

kubła zimnej wody. Nie należy być wrażliwym i przeczulonym...

Ten pocziwy Meyer ma wraz z całą aseku-racją krokodylą skórę! Chamstwo jest ich nieuleczalną chorobą...

Dnia 27 grudnia.

Jubileusz Nadowicza. Ofiarują mu w szkatułce losy za ośmdziesiąt reńskich i wiecheć z kilku róż i gwoździaków. Kerneg przyszedł pięć minut przed ósmą w anglezje z czasów drugiego cesarstwa, wydobyl z szuflady kasetę i po kryjomu zaniósł ją do biura Nadowicza. Wrócił niebawem, zasiadł na swoim miejscu, jakby nic nie zaszło. Wpada Eugeniusz Meyer, rozkrzyżowuje ręce i wrzeszczy skrzeczącym głosem:

— Jakżeż wygląda? Podobnego postępowania nie widziałem w życiu. Rządziłeś się pan, jakbyś za swoje pieniądze sprawiał podarunek. Pragnęliśmy powinszować gromadnie koledze, teraz dziękujemy za solidarność!

Kerneg słodko odpowiedział:

— Przecież wszyscy wiedzieli, że dziś jubileusz, mogli iść ze mną.

Meyer trzasnął drzwiami, aż lampy zabrzęczały.

Philip nie jadł o wpół do dziesiątej, nie wyszedł o jedenastą, tylko mierzył biuro posuwistymi krokami i kłął:

— Takie szubrawstwo! Takie kolosalne szubrawstwo!

Wtórował mu dzielnie Riegler, dolewając oliwy do ognia:

— Bał się, że urzędnicy kilka chwil swobody zyskają!

Z zadowoleniem nadśluchiwałem głosów ludu i wyczekiwałem końca. Niestety namiętności się wyburzyły, — wracała równowaga. Staram się tedy utrzymać niezadowolenie, a nawet rozniecić pożar. Pomaga mi Kerneg, wysyłając mię ustawicznie z różnemi zleceniami. Wszędzie syją się interpe-lacje, prośby o dokładne szczegóły. Pienią się naokół, grozą zemstą, demonstracją. Główny kasyer ironizuje:

— Wyuczył się papuga na pamięć mowy i prędko pobiegł, aby nie zapomnieć...

Wrażenie rośnie. Inspektor Hamerschmit wymy-sła i spluwa z pogardą na podłogę. O czwartej, jak zwykle, wyszedł Kerneg do domu, a ja w ślad za nim. Na korytarzu spotyka głównego kasyera i inspektora Hamerschmita. Będzie awantura! Niestety! Ściskają sobie serdecznie dłonie, śmieją się i idą razem w braterskiej zgodzie...

W kawiarni centralnej ogromny ruch wieczorny. Między bilardami błąkał się smagławy, krępy mężczyzna w wyszarżalnym palcie, w przyniesczonym letnim kapeluszu.

— Antek! krzyknąłem.

Antek już mię wyściskał i wycałował.

— Co za przypadek! co za przypadek! — szeptał ze wzruszeniem.

Powracał właśnie z Capri, dokąd odwiózł obłożnie chorego przyjaciela. W Wiedniu się zatrzymał, aby wykończyć poemat dramatyczny i napisać studium o nowoczesnej literaturze niemieckiej.

— Znajdę tu źródła? — pytał. — Muszę prędko machać, bo bryndza w kabzie.

— Masz doskonałą bibliotekę. A gdzie mieszkaś?

— W hotelu.

— Jutro przenoś do mnie lary i penaty. Po dawnych lokatorach zostało rezerwowe łóżko.

Opowiedziałem mu własne dzieje w najczarniejszych barwach. — On się serdecznie rozśmiał:

— Pycha! do noweli...

— Chyba do tragedyi...

— Stary karawaniarzu! Najlepszym tragikiem ten, kto drwi, nie płacze.

Antek przyniósł z hotelu malutki tobołek, ściśnięty rzemykami.

— To wszystkie twoje meble?

— Wszyściutkie! Marynarka do pracy i krawatka. Kołnierze i bieliznę po zbrudzeniu zrzucam i świeże kupuję. Po angielsku, bracie!...

Gospodyni moja, pani Franciszka, potrząsała głową i z niechęcią patrzała na przybysza. —

Antek odczuł snadź instynktownie niechęć, bo odezwał się:

— Tylko na kilka dni, czcigodna pani, aż wyszukam apartamentu.

Ofuknąłem go za usprawiedliwianie się i przymknąłem drzwi.

— Czarownica trzyma mię w klatce. Fatalne mieszkanie. — Trzeba przełazić przez jej izbę.

— Zdrowa taka kontrola, zdrowa, — śmiał się Antek.

Gwarzyliśmy do późnej nocy i snuli różne plany. O godzinie siódmej nad ranem zbudziła mię pani Franciszka:

— Czas do biura!

Czas nie czas, ale czułem, że mi ciepło, że dzień się pięknie zapowiadał, że Antek spał snem sprawiedliwych. Namyslałem się, walczyłem chwilę i wreszcie zakonkludowałem:

— Chory jestem, zostaję w domu.

Pani Franciszka roztwarza szeroko oczy.

— Nie będzie można posprzątać, co za nie-szczęście...

Popatrzyła na chodnik rozciągnięty wzdłuż izby.

— Tyle plam, tyle plam, skąd się biorą te plamy?

— Stamtąd! — wskazałem na niebo.

— W imię Ojca i Ducha! Stamtąd leje się światłość....

— Wszystko pani z nieba, wszyściutko!

— Ee! pan socyalista...

Zacząłem się tak śmiać, że zbudziłem Antka. Podźwignął głowę z pomiętoszonej poduszki:

— Jak tam na świecie? Ty jeszcze w domu?

— Mała niedyspozycja, początki tyfusu...

Antek wstał, ubrał się, wylał przy myciu się mnóstwo wody na podłogę i zarzucił na siebie mój stary potargany hawelok podróżny.

— Lubię pracować w todze, myśli lepiej się porządkują i głódziej idą pod pióro.

Położył poduszkę na stołku i zasiadł do pisanja.

Pani Franciszka przyniosła mleko. Czujne jej oko skierowało się w stronę umywalni.

— Boże! Boże! staw w pokoju, staw...

— Potanieją ryby! — perswaduje Antek. Niech się czcigodna pani uspokoi, lepsze to od męczącego szorowania...

Pióro Antka skrzypiało, a ja ciągle leżałem w łóżku. Widziałem jego rozognione oczy, marszczące się czoło i drgające muszkuły twarzy. Pierśią moją szarpnęła zazdrość, pragnienie swobody i tęsknota za literaturą.

— Katorga! Katorga! — jęknąłem.

— Co tobie? — badał Antek.

— Nic, mój drogi...

On nalegał, wypytywał, — daremnie. Spostrzegł zdenerwowanie moje i chorobliwą afektację.

— Drugiego trzeba będzie odwozić na Capri, — mruknął.

Przez cztery dni bojkotowałem bióro. Wsta wałem równocześnie z Antkiem, lecz gdy on pracował, tłukłem się niespokojnie po izbie, — jak przysłowiowy Marek po piekle.

— Dosyć już próżniactwa, — oświadczyłem wreszcie, — muszę skleić feleton, zostanę dziś jeszcze.

Stół okazał się za małym dla dwóch, komoda za wysoką, nie wiedzieliśmy co czynić. Antek jednak niespodziewanie otwarł drzwi i zawołał:

— *Bon jour!* czcigodna pani! O mleczko prosimy.

Rozglądnął się bacznie po izbie.

— O, cudowna pani, śliczny stoliczek, jakby dla mnie stworzony! Może pani pożyczy na godzinkę...

— Ani na chwilę, mam na nim bieliznę do szycia.

— Furda, słodka osobo, bieliznę przeniesiemy na łóżko...

— Co?... pierwaj mi włosy na dłoni wyrosną! Kapa zmiełaby się, jutro nowej nie kupię.

— Dam pani od godziny pięć groszy, — tłómaczył nieustraszony Antek.

— Dziękuję, nie chcę na starość robić majątków.

— Jakżeż pani do mej nieboszczki matki podobna... Ten nos, te usta! pocałuję panią w rękę.

Ona się broniła, a on udawał łkanie.

— Proszę wziąć ten stolik za trzy grosze od godziny...

Wnieśliśmy nowy mebel i usadowili go przy oknie.

— Słuchajno, — rzekł Antek — ciemna buda, nie ma światła, możemy zapalić lampę i spuścić rolety.

Pracowaliśmy przy zasłoniętych oknach i nic się do siebie nie odzywaliśmy według zawartej umowy.

Przerwała nam pani Franciszka.

— Och! och! — westchnęła na progu drzwi.

— Co się stało? — zapytaliśmy równocześnie.

— We dnie przy lampie! przy zapuszczonych storach!

Wybiegła do swego pokoju i wezwała mię za sobą.

— Pański kolega nie meldowany, a ja się boję. Już raz odemnie zabrali fałszerza monet... Także wysiadywał przy zapuszczonych oknach.

— Antek fałszerz monet! Antek fałszerz monet! — krzyczałem.

Przyleciał Antek zdziwiony, przestraszony.

— Czy ci klepka wypadła z garnituru?

Powtórzyłem mu słowa pani Franciszki. On wstrzymywał śmiech i wodził boleśnie oczami po ścianach.

— A tam co? — zapytał nagle.

Nad łóżkiem gospodyni wisało «błogosławieństwo domowe» w formie owalu, oprawionego w połączone ramki. Na białej kanwie wyszyta była paciorkami sentencja: «Gdzie wiara, tam miłość; gdzie miłość, tam pokój; gdzie pokój, tam błogosławieństwo; gdzie błogosławieństwo, tam Bóg; gdzie Bóg, niema biedy».

Antek wpatrywał się i potrzasał głową.

— Bezbożność! haniebna bezbożność! Sodoma, Gomora! Dom bez wiary, bez świętości!

Pani Franciszka przeżegnała się raz i drugi.

— Dla Boga! co pan wydziwiał!

— Ano nic, tylko tyle, że pani na równi z heretykami nie szanuje religii. Takich rzeczy w niebie nie zapominają.

— Ależ zlituj się pan...

— Nie, litować się nie potrzebuje... Na tym hacie wysztychowano, że Pan Bóg tylko tam jest, gdzie panuje wiara, miłość, pokój i błogosławieństwo, a Pan Bóg według pisma świętego przebywa wszędzie. A co?

Pani Franciszka myślała chwilę, walczyła z sobą, wreszcie sięgnęła ręką ku ścianie, ściągnęła «błogosławieństwo» i nim się zdołaliśmy spostrzedz, rzuciła je w piec.

— Cześć! cześć świątobliwej matronie! — wodził śpiwnie Antek.

I tak nam upływał dzień po dniu wśród ptaszczej wolności.

— Cóż, nie pójdziesz do bióra? — nagabywał mnie Antek.

— Pójde, święcie pójde...

Istotnie poszedłem. W ciągu drogi szamotałem się jeszcze, chwiałem. Byłem na pierwszym piętrze, — skierowałem kroki do mego biura.

— Siła wstrętu, siła odrazy, trzymała mnie na uwieży.

Nacisnąłem klamkę od drzwi pokoju generalnego agenta.

Rzuciłem kości.

— Przybyłem podziękować, pożegnać się.

Związdy słonecznik osłupiał.

— Dlaczego? Czy nie dobrze panu było?

— Doskonale, jak w raj, tylko...

Wpadła mi myśl urzędnika psoty.

— Mianowano mnie dyrektorem biblioteki... Dziś dziennik urzędowy przyniósł dekret ministeryalny.

Jan Meyer przechylił się uroczyście połową ciała.

— Proszę! Proszę! A ja od początku nie wierzyłem, że pan u nas zostanie. Winszuję... Panu się to należało.

Wież o moim zaszczytnym awansie rozbiegła się lotem błyskawicy po wszystkich biurach. Niezwykle ożywienie zapanowało w «Illerze». Zastanawiano się, co to za biblioteka i jak wysoką mogę pobierać gażę. W przedpokoju generalnej

agencji oczekiwało mnie kilku urzędników i powitało owacyjnie. Pierwszy przystąpił Riegler.

— A gdybym też z protekcją pana dyrektora mógł odzyskać moje nauczycielstwo. Bakałarzo wałem niegdyś, — ale palnąłem głupstwo i poszedłem do «Illeru». Kawałek ogródka i dach nad głową, to moje utęsknienie. Na wsi panie dyrektorze, na wsi...

Lampke potrząsał mą dłonią.

— Byliśmy w wspólnym jarzmie, proszę o mnie nie zapominać.

— Co się da, to się zrobi! — odpowiadałem na okół. Powiedźcie Kernegowi, że mu wyrobię odpowiednie stanowisko...

Podąłem wszystkim ręce i zbiegłem ze schodów.

Potężny ciężar spadł mi z serca.

— Antek! Antek! — ścisnąłem mego towarzysza, — uciekłem z tego piekła. Twój widok rozstrzygnął moje wątpliwości, rozniecił w wichurę tłumioną przez całe tygodnie burzę. — Tyś był żywym przypomnieniem mego powołania.

Ucałowaliśmy się i przygarnęli do siebie.

— A niech nas nazywają cyganami, my kradniemy ogień... Nas on piecze, ale innych grzeje...

RYBACZKA

Jan Borowski stracił przed niespełna trzema laty nogę. Zakreśliło mu się przy czyszczeniu lampy gazowej w głowie i spadł z drabinki na bruk. Jan Borowski nie mógł być dłużej latarnikiem. Sprowadził się tedy z żoną i Andzią do małej izby, która ich ledwie w troje pomieścić mogła. Przed oknem pluskała fala rzeczna, rozbijając się po drodze o podmurowanie domku. Borowska chodziła do teatru zarabiać przy garderobie artystek, Borowski płynął łodzią na wodne szlaki, Andzia zaś bosemi nóżkami dreptała do szkoły.

Po powrocie do domu siadła Andzia pilnie nad książką.

Tylko czasami o zmroku lub w święta podchodziła do ojca z dziwnie uśmiechniętą twarzą, całowała go w szorstką dłoń, przyczem spoglądała mu przeciągle, bardzo natrętnie w oczy. On zgarniał ją natenczas w ramiona, przyciskał do piersi i wiodł nad brzeg. Szara łódź posuwała się leniwie po stalowej tafli. Rybak wbijał wiosło w dno lub rozpluskiwał głębie. Chwilami stawał

przy pękach wikli, zapuszczał niewody i czekał. Dziewczynka spoczywała w łodzi nieruchomo, z główką spartą na dłoniach. Księżyc oblewał ją blado-srebrnem światłem, a ona kąpała się w jego promieniach, jak ptak w słonecznym żarze. Za łodzią snuły się rozbrzużnione smugi wodne i posępna, zamyślona cisza. Rybak przybił do kępy, zakręcił sznur wokół wierzby i zapalił fajkę.

— Tatusi, a skąd ta rzeka, ta duża rzeka?

Rybak pacychał tytoń żelaznym rylcem.

— Znowu ci będę opowiadał, już słyszałaś...

Ona złożyła rączkę, jak do »Ojciec nasz« i tońnęła żrenicami w ponurych oczach Borowskiego. Rybak poprawił kładeczkę, pokrywającą łódź.

«Był niegdyś król, bardzo znaczny król. Włości miał siłę i poddanych siłę. Oczy mojej sieci niczem w porównaniu z mnogością włości jego. A jak skinał koronę, leciały ciągiem dukaty pod nogi dworzan. Harfiarzy miał, co mu grali na złotych harfach na sen i przebudzenie, ze złotych mis jadał, ze złotych kubków pijał. Gdy zaś ruszał na wojnę, szły za nim ogromne chmary rycerzy, więcej niżeli tych gwiazd na niebie. A pan to był srogi i zły. Nie miał litości dla biedy, ani wyrozumienia. Duch w nim czarci siedział, bo niech się zgniewa na kogo, zaraz mu każe przykładać topór do karku. Padwały ludzkie głowy jak zcierwione maki, a on hulał na zamczysku. Bawili

się król, bawili panowie, tylko chłop ginał w jarzmie. Przyszedł raz na dwór królewski żebrak chudzina, ot, marny łachmaniarz. Głód mu wyglądał z oczu, mróz potrzasał rękami i życie kradł z ciała. Król ruszał właśnie w knieję. Chudzina ustawił się w bramie i wołał: «zmiłowania!... zmiłowania!» Król obejrzał się wzgardliwie: «zabić go!» Dostali pachołki, jak psia sfora, ale tam, gdzie był przed chwilą chudzina, roztałała się dziwna jasność, niby od monstrancyi i nic więcej. A kiedy król wracał z lasu, nie mógł trafić ni do zamczyska, ni do włości. Wszędzie było wody w bród, hen, poza niebo. Z topieli wyszła jedna z córek moczara i prosiła, że aż serce pękało na dwoje: «tatulu, chodź do nas, do nas». Moczarzowi zaćmiło się w oczach, wszedł do wody i fala go pokryła. I od tej chwili ta rzeka płynie. Wszystkie srebra z skarbcza moczara zamieniły się w rybki i kamyki, pałace zaś rozsypały się w takie mrowie rumowiska, że piaskiem zasypały całe łożysko rzeki. Te więdźmy, które się w nocy wynurzają, to królewne, pokarane za ojca złego. Stało się to za zrzędzeniem św. Piotra rybaka, patrona naszego».

Skończył, a dziecina siedziała niema, jak powietrzna atmosfera, rozsrebrzona księżycowem światłem. Przymrużyła powieki i marzyła o biednych królewnach, pogrążonych w zimnej przepaści. Rybak odpętał łódź, pchnął ją znowu wodnym szlakiem. Poczerniałe kontury drzew chyliły się po

obu brzegach, płomyki miejskie migotały w oddali, rozkołysana fala śpiewała hymn nocy. Na jasną główkę Andzi spływały błyskotliwe nitki z gwiazdek i orzeźwiające powietrzne wiewy. Borowski spuszczał i podnosił sięc.

— Tatku, co tu duchów, widzisz ojczulku?

Rybak włożył rączyny Andzi do cebrzyczka. Dziecko odzyskało przytomność i zapomniawszy o duchach, liczyło:

— Dwie, cztery, pięć ryb...

Czółno zmieniło nagle bieg: płynęło za wodą. Borowski już wiosłem nie robił, tylko patrzył na dziecinę a dziecina na niego, i tak płynęli spokojnie, miarowo po wodnem przestworzu.

Przybili do brzegu.

Rybak uchwycił szafel, przerzucił ryby do paczki, przymocowanej do palika i skierował się do izby. Borowska zerwała się na jego widok.

— Po kiego diabła rozwłóczysz mi dziewczynę?

Borowski zdejmował milcząco ubranie i rozpiął je na przypiecku. Stukał też głucho kulą i liczył.

— Może będzie za dwa papierki.

— Tobie tylko topiel w głowie i nic więcej! — zauważyła z wyrzutem Borowska.

On nic nie odpowiadając, jął ściągać sukienki z Andzi. Dziewczynka runęła na barłóżek. Szumiała jej na dobranoc rozpluskana fala, szumiały wierzby, brodzące w piaskach i snuły się cienie po grzbiecach ciszy nocnej. Szedł też król z dużym orsza-

kiem, za nim pędził w żebraczych łachmanach święty Piotr, otoczony promienną aureolą. Nagle wszędzie rozlała się toń stalowa, a nad nią wyciągnęła błagalne dłonie ku niebu królowna. Pogwar rzeczny zamieniał się w głuchy szum, w echo odległej pieśni i konał.

— Śpi już, Janie?

— Śpi, — odparł rybak.

— Bodaj zapadła się ta buda! — westchnęła Borowska. Człowiek całe dziesięć palców traci przy komedyantach, a jeszcze mu na nie patrzą. Pamiętasz Zarzycką, coś jej wieniec na św. Marka odnosił. Bodaj się wściekła! bodaj szczęła! Powiedziała dyrektorowi, że jej skradła dwadzieścia pięć papierków. Słyszane rzeczy? Kaza mi zapłacić i chcą wyrzucić na ostatek. Jezus! Marya!... słyszane rzeczy? Taka kwoka, taka, taka...

Borowski poczuł nagle wielkie zmartwienie. Jużci pamiętał dobrze Zarzycką. Powłókł się raz do niej z wieniec po przedstawieniu i dostał dobry napitek. Nie mógł wtenczas żadną miarą zrozumieć, dlaczego żywa i zdrowa osoba bierze wienice. Zapytał zatem żony, a ona mu jasno wytłómaczyła:

— U nich wszystko, nie przymierzając do góry nogami... W kumedyach muszą umierać, dla tego dają im wienice, a kiedy śmierć najdzie, — to nie ma i za co pogrzebać.

Borowski dobrze pamiętał Zarzycką. Taka ele-

gancka, grzeczna pani! Jak ona mogła oskarżać żonę o kradzież? Borowska jest sekutnicą, ale smoły w rękach nie ma, nie.

— Nie żartujesz ty czasem? — zapytał dobrodusznie.

Borowska zacisnęła pięści mściwie.

— Patrzcie ją, hołotę! Ani to boskie, ani ludzkie. Jak Boga kocham, wiem, skąd ma różne świecidełka. Taka z ulicy, a będzie mnie, uczciwej mężatce...

Borowski łagodził gniew żony. Borowska przysięgała się, że ma w pogotowiu odwet. Pani Liczkowska, ta sama, co dyrektora za nos wodzi i wszystkich ma za hetkę pętelkę, obiecała jej pomoc. Ho! ho! Liczkowska jak chce, potrafi, jeszcze jak potrafi.

— Zasię pani Zarzycka od uczciwej mężatki, zasię! — zawołała głośno.

— A co za bezinteresowność i honorowość w tej Liczkowskiej. Żeby to przynajmniej powiedziała: dobrze Borowska, włossek wam z głowy nie spadnie, ale zrobicie to a to... Gdzie tam! Nie wylecę, nie pani Zarzycka... Pani, fi, pani! Raczarka mi lepsza...

Borowski słuchał i słuchał, ale nie przerywał, bo zebrała się w nim moc żalu.

— Wiesz Janie, co powiedziała? Oto tak: dacie mi Borowska na pewien czas do domu waszą Andzię, a u mnie nie zabraknie jej ptasiego mleka.

Odwiedzi was, ile razy chcecie». Mówiła jeszcze kilka ślicznych rzeczy, których nie zrozumiałam. Nie wylecę, nie pani Zarzycka! Patrzcie mi, straszna marmuzela!... Ja tak samo pokazuję sztuki, jak ona. Pamiętasz Janie, jak wisiłam na płakacie?

Jan nie pamiętał, nie wiedział właściwie, co się z nim działo. Patrzył na jasne włosy Andzi, rozrzucone po białej poduszynie. Z kątów ust dziecka wybiegał słodki uśmiech i mglistą smugą szedł po policzkach. Rączka miała w małyżek złożone, jak na ostatnią drogę.

— Nie puszczę dziecka na poniewierkę! — krzyknął Borowski. — Po co ona dziecka potrzebuje?

— Po co? wiem ja...

— A ja mam wiedzieć...

— To może położyć na stół dwadzieścia pięć papierków i stracić miejsce! Z twoich ryb będę żyć i Andzia... będzie żyć, niedoczekanie...

Rybak popadł w zadumę, po duszy kręciły mu się różne myśli.

— Inny lizałby palce, że dziecko idzie na lepszy chleb, a ciebie to kole.

Dziwnych doznawał uczuć Borowski. Andzia w nędzy ginać nie powinna. Z kimże płynąłby po rzece? Komu opowie baśń o królu okrutnym? Gdy z nią był razem, wierzył, że woda oddycha ludzką pierśią i niesie mu rozgwar wesela. Markotno będzie samemu i na fali i nocą. Już lampka nie rzuci blasku na jej złote włosy. On tak chętnie podłu-

chiwał lekcji. Dowiadywał się tyłu z nich nowych, ciekawych rzeczy. A gdy czegoś nie rozumiał, głośko dzweczącą po głowie. Ona wtedy zapytywała:

— Nie wiesz ojczulku?... Król Leszek Biały był sierotą, a miał matkę Helenę, która go kochała nad życie, jak ty mnie...

Zamykał jej usta pocałunkiem, ona zaś rozchylała je i opowiadała długo i rozumnie.

Wszystko to zbierał w pamięci Borowski, dlatego wielka gorycz go opadła i dręczący smutek. Legł zatem ciężko na łóżku, twarzą do ściany i nie odezwał się do żony ani słowem. Wczesnym rankiem odpętał łódź od żerdzi i pomknął na połów. Wiosłem kierował leniwie, ospale, oczy zamurzył w rozwidloną jutrznię, a sieci nie zapuszczał wcale. Trop w trop za nim płynęła czarna troska, wlokąc za sobą smutne przeczucia. Przewalały się one po sobie jak stalowe fale, Bóg wie po co i dlaczego. Borowski widział niewyraźną mgłę i szaloną desperację, których odpędzić nie umiał.

— W imię ojca...

Przeżegnał się i oprzytomniał, ale sieci nie podnosił z dna czołna. Płynął po niezmiennie spokojnej, zamarłej powierzchni. Rybak na wpół siedział, na wpół leżał w czołnie i ginął wraz z strapieniami swemi w cichej, rozświetlanej dopiero powietrznej przestrzeni.

Borowska ubrała Andzię w najlepszą sukienkę, spakowała jej książeczki i odprowadziła do Liczkowskiej. W drodze odgrzała się kilkakrotnie: nie wylecimy, nie, pani Zarzycka! — i uspakajała płaczącą dziewczynkę.

— Sza, mazgaju, sza, przyjdiesz do tatusia, kiedy zechcesz. Korony nikt ci z głowy nie zdejmie...

W kilka dni potem zaszedł w świecie teatralnym niezwykle fakt. Oto pokazało się, że Liczkowska, mimo odmiennych pozorów, posiadała szlachetne serce. Ona jedyna odważyła się śmiało ująć za Borowską, ona jedyna ze łzą w oku chodziła nawet do statystów i statystek.

— Ach! to nieszczęśliwa istota, koledzy. Utrzymuje dziecko i kalekę, a chcą jej wydrzeć ostatni kęs chleba. Powiedzcie, czy słusznie... Dziecko przegarnęłam tymczasem. Co za tragedia! Borowska czysta jak anioł. Tą potwarzą odkupiła wszystkie grzechy. Ach!

I podnosiła do podpisu arkusz białego papieru. Było to poświadczenie, że «artyści uważają Borowską za osobę honorową, godną zaufania, a czyn koleżanki Zarzyckiej za historyczną złośliwość». Cały personel wraz z przyjaciółmi teatru podzielił się na dwa obozy: Borowskiej i Zarzyckiej. Ukradła, czy nie ukradła? — zawisło na wszystkich ustach. Młodszy i dowcipniejszy wynaleźli nową grę: «Zarzycka czy Borowska», podobną do zielonego.

Podpisy na arkuszu mnożyły się; po stronie Zarzyckiej pozostali jedynie milczący zwolennicy. Ci szeptali tchórzliwie:

— Liczkowska wykopie ją, wykopie...

Arkusz złożono w kancelaryi dyrekcyjnej. Dyrektor rozesłał okólnik z postanowieniem, że nie zamierza się nadal zajmować błahostką, dlatego zostawia Borowską na posadzie i pozwala Zarzyckiej wstąpić na drogę sądową, jeżeli to uzna za godne «posłannictwa artystki».

Zarzycka przyskoczyła po przeczytaniu okólnika na próbie do Liczkowskiej i syknęła na głos:

— Nikczemna intrygantko, zielona małpo, sprzedajna jędzio!

Liczkowska w odwet uderzyła ją parasolką w twarz i przegięła się w tył. Podtrzymał ją jeden kolega i trzy koleżanki, lecz ona chwiała się i spazmowała. Gdy już jej tchu w piersi nie stało, wyprostowała się dumnie i powiodła wzrokiem naokół.

— Nikt się nie ujmie za mną, słabą kobietą? Nikt? Zresztą dziękuję, ta pani nie warta...

Jeden z aktorów rzekł:

— Współczujemy z panią serdecznie.

Za nim odezwało się trwożliwie kilka głosów, poczem znów kilka, wreszcie cały chór.

Liczkowska zmierzyła pogardliwie Zarzycką od stóp do głów.

— Panowie i panie! — klasnął w dłonie reżyser, — dalszy ciąg próby.

Liczkowska tryumfowała. Opuszczając scenę, rzekła do Borowskiej:

— Zadowolona Borowska?

— Ojoj! — ale jej złota pani dała bobu!

Wtem zobaczyła Zarzycką, więc wzięła się w boki i dowodziła krzykliwie:

— Pan Bóg sprawiedliwy. Nie wylecimy, nie, pani Zarzycka...

Schyliła się, pocałowała Liczkowską w ramię powyżej łokcia i pokornie prosiła:

— A jeżeli łaska, proszę o Andzię jutro na godzinę.

Zjawiła się Andzia u Borowskich dobrze popołudniu. Pozdrawiali ją sąsiedzi w sieni kiwaniem głów:

— Cysarskie dziecko!...

Andzia przechodziła wśród nich radośnie i z każdym witała się z osobna. Ubrana była odświętnie. Woń fijołków wionęła od niej, jak od maja. Rybak patrzył i nie mógł się dosyć nadziwić.

Czy to jego, czy nie jego dziecko?

Onieśmieliła go ładna sukienka Andzi i bućki żółte i rękawiczki. Ręce mu się prostowały i drżały, brwi kurczyły i odkurczały. Andzia wcisnęła mu się między kolana, zarzuciła ręce na szyję i przyciągając ku sobie głowę rybaka, całowała raz po raz czoło. A potem nie zważając na ustawiczne pytania i gderania Borowskiej, przystanęła niemo

na środku izby. Fala grała, jak zwykle, pieśń toni, czepiała się podmurowania domku i rozpierzchała. Przez okienko widać było mknące na połów łodzie rybacze i skarłowaciałe wierzby, pluszczące się w rzece.

Dziewczynce buchnęły nagle łzy z oczu.

Rybak nie zważał już na ładne rękawiczki i odświętną odzież, podniósł się energicznie i przycisnął Andzię do piersi.

— Tęskno ci, Andziu, no, powiedz...

Andzia milczała, więc jeszcze mocniej objął ją rękami.

— Nie powiesz, Andziu, co ci jest? Tęsknisz za tonią?... Brak ci ojca?...

Andzia, nakrywając twarz rączkami, lamentowała:

— Ta pani, ta moja pani, kazała mi siebie nazywać mamą, a łysego pana papą...

I zanosła się znowu od płaczu i spazmów, a kiedy łez już nie miała, mówiła z zacięciem:

— Kłóciła się kiedyś okropnie z tym łysym panem. Powiedziała mu, że ją opuścił i mnie zostawił na pamiątkę. I mówiła, tatusiu, że się mnie wstydyła i precz oddała z domu.

Borowskiemu od gniewu fosforzowały oczy i głowa trzęsła się, jak w febrze. Dziewczynka objęła go za nogi i pieścizotliwie pytała:

— Ojczulku, to ja nie ojczulka?...

Rybak zachnął się tylko i z impetem przyskoczył do żony:

— Masz! dziecka mi pożyczasz na żebry... Słuchaj, mnie albo tobie...

Borowska zmierzyła go ostro i odsunęła się na bok.

— Co mnie albo tobie? No, odważ się! Daj tyle, żebyśmy z głodu nie szczyrzy, a możesz ją sobie zakisić...

Nim Borowski zdołał ochłonać, porwała Andzię za rękę i zniknęła z nią za drzwiami. Borowski patrzył tedy bezprzytomnie chwilę na swoje szczudło, potem wziął pęcherz z tytoniem do kieszeni, odpiął rozciągnięte pod pułapem niewody i popłynął za połowem, choć to święto było.

Liczkowska okrążała właśnie paki na garderobę i żywo gestykulując, stuknęła palcem w czoło. Ci-cho, potulnie wsunęła się do pokoju Andzia.

— Czego strzelasz drzwiami! — wołała Liczkowska.

Dziewczynka pocałowała ją w rękę i udała się do szafy, aby w niej schować kapelusz, parasolkę i rękawiczki.

— Potem, potem! — krzyknęła Liczkowska. Nie nauczę cię tego, jak pakuję, nie ruszaj się. Szpilkami cię kłóją, czy co?

Andzia wcisnęła się w fotelik, ukryty za fortepianem. Liczkowska układała garderobę w dużych, tekturowych pudłach. Od czasu do czasu podcho-

dziła do lustra, przeglądając się w niem lub świ-
stała.

— Czego siedzisz jak trusia? Nie żyjesz już? —
pokrzykiwała, tupiąc nogą. Ty mruku! Dobrze cię
nad tą wodą chowano.

Dziewczynka wstała i rozchyliła usta.

— Cicho! sza! ani słowa! widzisz co się ze
mną dzieje. Czego się ruszasz!...

Andzia skryła się znowu za fortepianem i drżała
ze strachu. Chwilami zapuszczała źrenice w głębie
pokoju, po którym krzątała się Liczkowska, od
stóp do głów czarno ubrana. Zdawało się jej wten-
czas, że to wiedźma, która lada momencik zgar-
nie ją na szpachlę i wrzuci w stosy płomieni. Żeby
miała przynajmniej dla swej obrony ojczulka lub
św. Mikołaja, którego brody tak się bała.

W pokoju rozległa się komenda.

— Do garderoby!

Służąca zabrała dwie paki. Za nią poszła Licz-
kowska, zwróciła się jednak od drzwi, ujęła An-
dzię za rękę i schylała ją ku ziemi, to znów ku
gorze podnosiła.

— A tego łysego pana nie będziesz już wię-
cej papą nazywać. Rozumiesz?

Nacisnęła kławkę.

— No, jak tego łysego pana nazywać będziesz?

— Panem...

— Bardzo dobrze! a niech Bóg broni inaczej.
Kazia wróci zaraz.

Kazia nadeszła istotnie niebawem. Na stole po-
stawiła szklankę herbaty i bułkę z szynką. Andzia
jednak ani nie jadła, ani nie piła. Położyła się na
kanapce i oczy utkwiała w suficie. Refleks różowy
padał od lampy na jej bladą, zmizerniałą twarz,
otoczoną jasnymi włosami. Tak ją tatko tulił długo
i serdecznie, że aż ciepło czuła w całym ciele.
Czego ojczulek gniewał się? Pewnie dlatego, że
nie może z nią popłynąć po rzece. To chyba nie
długo potrwa. Mama pozbyła się jej, bo była nie-
grzeczną. Tak, była niegrzeczną, spaliła dużo na-
fty w lampie, zgubiła niedawno książkę, a raz na-
łożyła tyle węgla do pieca, że czarno zrobiło się
w izbie. Pobila też w sąsiedztwie Franka od cieśli,
bo nie umiał lekcyi, a ona go uczyła na elemen-
tarzu. Nie pojmowała jednak, dlaczego jej kazano
nazywać łysego pana papą. Ona była z swojego
papy zadowolona i za nic w świecie nie zamieni-
łaby go. Przecież dwóch ojczulków mieć nie może.
Ksiądz katecheta uczył: kochaj ojca i matkę. Tam-
ten tatuś wiecie ją na fale, na daleką wodną roz-
tocz, w wieczorną ciszę. Śpiewa rzeka, szumi...
Idzie, idzie coraz głębiej, coraz pewniej w jej roz-
padliny szukać gwiazdek na dnie błyszczących.
Co rybek wokół! Czepia się brzegów mknącej łó-
dzi i wraz z nią buja po powierzchni. Wtem oj-
cuś zapuszcza sieci, ciągnie, ciągnie biedaczysko,
aż dźwignąć nie może. A ona wyskakuje z szarych

oczu niewodu, jak polny konik, wpada do czółna, rzuca się rybakowi na piersi i woła:

— Ojcuś, to ja, to ja!...

Woli stęchliwą izbę tatusia od błyskotek. Tam woda nuci i żyje. A nie dość jej było fali na łodzi. Brała ją w garście i oblewała Franka.

— Woda, śliczna woda...

Kazia zerwała się i podstawiła szklanke wody. Andzia otworzyła szeroko oczy.

Stała nad nią Liczkowska. Policzki jej zalewał ciemny pąs, skrzydłami nosa poruszała nerwowo.

— A nie śpi jeszcze ten przekłety Marek... Rozebrać się i ułożyć!...

Andzia trzepotała rączkami, jakby od piersi odrzucała mary.

— Nie pójdę, nie...

Dziwny gorączkowy blask zalewał jej źrenice i kładł na czoło liliowe i ogniste smugi.

— Puść mnie pani do domu, ja chcę do domu.

— Ty przemierzła histeryczko, komedyantko, ty zmijo!

Liczkowska szarpnęła Andzię za ramię i pchnęła do łóżka. Po chwili wsunęła głowę za parawan, a ujrzawszy Andzię rozciągniętą na białej pościeli, zbliżyła się do niej łagodnie.

— Masz czekoladę, a śpij...

Sama zaś nie tknęła przygotowanej kolacyi. Zarzycka opowiadała za kulisami kompromitujące o niej historie. Rozbębniała ptasim kwikiem kawki,

że jej Koralnicki ze strachu przed żoną porządnie zapłacił odczepne. Ona nawet przysięgłaby, że Liczkowska nosi to odczepne w torebce na piersiach, jak amulet. Stary głupiec likwidował zapleśniałe długi. Co więcej, Zarzycka klęła się na zbawienie duszy własnej, że Liczkowska pożyczyła dziecka, dla stumanienia Koralnickiego.

— Patrzcie! — zawodziła — patronka złodziei, jawnogrzesznica, ciocia teatralna! Gratuluję koleżanki...

Aktorzy słuchali z zadowoleniem tych wykrzyków. Pierwszy amant przeleciał koło Liczkowskiej, deklamując ironicznie:

»Kobieto, puchu marny, kobieto niebianko...»

— Podła, podła ta Krzaczkowska, — zawołała Liczkowska — i jeszcze raz podła! Ten bękart mnie dyskredytuje. Wyrzucę, niech idzie do klawca.

Biegała po pokoju i wydymała policzki.

— Nie, zatrzymam ją przy sobie, owszem, nawet zabiorę za kulisy. Niech szczekają... Także ma mnie obchodzić opinia marnej hołoty.

Andzia była coraz częstszym gościem za kulisami.

Do garderoby Liczkowskiej zaglądało dużo złotej młodzieży. W czasie charakteryzowania się musiała Liczkowska odsyłać Andzię co chwila do drzwi.

— Kto tam? — wołała zalotnie.

— Swój, Olala! — odpowiedziano z zewnątrz.

Wszedł wysoki, chudy mężczyzna o połamanych nogach i długich, jak straszdyło, wąsach. Naprzód zwrócił się do Andzi:

— Na masz, ale zamknij oczy.

Dziewczynka sięgnęła apatycznie po pudełko pomadek i spuściła powieki. Podniosła je płocho i prędko domknęła.

Mężczyzna ścisnął Liczkowską, a ona błagalnie wskazywała w kąt, w którym siedziała Andzia.

— Andzia, jak się nazywam? — zapytał.

— Olala...

— Brawo! — a coś widziała?

— Nic...

Liczkowska spoglądała na nią badawczo...

— Mój panie, muszę się ubierać.

On zanucił z sentymentem:

»Jeszcze raz, jeszcze raz, ptaszku mój...«

Liczkowska nalała koniaku do kieliszka.

— Mam tremę, nasze kawalerskie...

Wychyliła kieliszek i napełniła drugi.

— Olala! w twoje niezawodne.

Wypiła drugi, trzeci i czwarty.

— Andziu tutaj, do mnie... Pij...

Andzia przyłożyła brzegi kieliszka do ust, lecz zaczęła się krztusić.

— Dalej, dalej! nie pieść się. Jeszcze trochę...

Zaświstała i uderzała wykałaczką po zębach.

— Ściągnij Adonisie buty.

Olala padł na kolana, a Andzia wymknęła się niepostrzeżenie z garderoby. Drżały jej rączki i nóżki, w głowie kręciło się strasznie.

Nagle potknęła się o próg i runęła całym ciałem na drzwi garderoby Zarzyckiej. Zarzycka wybiegła w renesansowym kostymie i nachyliła się nad dzieckiem:

— Wódka jedzie!... Ha! pijanica!... Ha! szelma!.. Pani Rańska, panno Zaję, panno Młocka, chodźcie, oglądajcie własnymi oczami.

Zakipiało w kurtyarzu przy garderobach. Przybiegła między innymi Borowska i wzięła dziecko na ręce. Zarzycka latała koło niej ruchliwie.

— Handlarka żywym towarem! suka!

Liczkowska posłyszawszy głos Zarzyckiej, wypadła wydekoltowana na kurtyarz.

— Precz! — nie tykaj dziecka! — wołała. — Kaziu do domu z nią.

Po tej pamiętnej nocy zapadała Andzia ustawicznie na zdrowiu. Oczy przecierała nerwowo i płakała bez żadnego powodu. Przez sen majaczyła o czarnych duchach, częściej jeszcze prosiła o zdrowie dla mamy i taty. Liczkowska zbijała ze złości niejedną już filiżankę.

— Ty bekso, ty płaczko, pójdziesz precz nie długo.

Za kulisami patrzano na Andzię z politowaniem.

— Patrzcie, jakie mizerne chuchło zrobiło się z rybaczeki.

Andzia przyparta do bocznej ściany kulisy, stała zazwyczaj blada, obojętna na to, co się wokół działo. Przechodzono obok, wynoszono i wnoszono sprzęty, ona zaś nie ruszała się z miejsca. Czasem rozległ się głos maszynistów:

— Na bok rybaczeko! hejże rybaczeko!

Oddalała się wtenczas automatycznie i sztywnie stawała w innym kącie. Zazwyczaj płała się między czekającymi na dzwonek chórami. Przerzucano ją z dłoni do dłoni wśród głośnych żartów i poleceń: podaj dalej. Gdy przebiegła całe koło, skradała się za kulisę i błędnie patrzyła przed siebie.

Chórzyści głaskali po twarzach chórzystki i całowali jej w usta.

Andzia przypomniła sobie Franusia i postanowiła go tak samo pocałować.

Liczowska zostawiała coraz częściej Andzię na opiece Kazi. Dziewczę mało rozmawiało z służącą, choć ją bardzo lubiła.

— Słuchajno Kaziu, — zagadnęła z zaciekawieniem — całujesz ty swego chłopaka? To przyjemnie...

Kazia odparła z zachwytem:

— O jej!

Nagle Andzia przyskoczyła do Kazi.

— Chodźmy na chwilę do tatusia. Ta nasza i tak nie przyjdzie, ona się długo całuje...

— Rany Boskie, co też Andzia mówi! — krzyknęła przerażona Kazia.

— Chodź do tatusia! chodź do tatusia!

I tak gwałtownie zaniósła się od płaczu, że Kazia co prędzej wzięła chustkę na siebie.

Na widok dziecka opuścił rybak sieć, którą właśnie sznurami łątał.

— Ojczulku, wróć do was, niedługo wróć...

— Chwała Bogu, będzie koniec biedzie...

— I znowu popłyniemy razem. Czytać ci będę ojczulku...

Rybak przychylił twarz dziecięcia ku lampce i iza mu zawisła na rzęsach.

— Andziu, Anulu...

Dziewczynka zwróciła się ku oknu tak, że oddech jej ślizgał się po szybie. Woda szumiała, jak zwykle, pieszczotliwie. Zrazu czuła rzewność i ukonjenie, potem rwały ją prądy szerokie, rozhukane, w końcu bujała po przestworzu tonów.

Wtem rozległ się łomot strzaskanej szyby.

Borowski podszedł do Andzi i chwycił ją za okaleczoną rękę.

— Rany Boskie, krew się ciurkiem leje!

Zmył ranę szmatką. Andzia stała, jak przygwożdżona do podłogi.

— Niech cię Bóg prowadzi! — rzekł do dziecka — noc późna.

Ostatnie dni pobytu Andzi u Liczkowskiej dobiegały kresu. Ogarniało ją ożywienie, aż promienie wesela spływały z oczu. Od kilku dni drepiała poważnie po pokoju, przystawała przed lustrem i figlarnie uderzała w dłonie. Następnie odczytywała na głos wiersze z pięknie oprawionej książki. A więc, ona tak samo, jak Liczkowska, Zarzycka i inne, będzie na scenie, zadeklamuje, ukłoni się i przyłoży rękę do serca.

— Tyle ludzi, tyle ludzi...

Powiodła smutno okiem po pokoju.

— Niema nikogo, nie chcę nikogo...

Teatr był szczelnie zapelniony, śpiewano «Dziady» Moniuszki.

Andzia czekała wraz z drugą dziewczynką na strychu między maszynistami. Była ubrana w białą, muszlinową sukienkę, przepasaną szeroką niebieską wstążką w biodrach. Na luźnie rozwianych włosach miała wianuszek mirtu. Wyglądała, jak dziewczynki, sypiące kwiecie przed celebrazem w czasie pochodu procesyi Bożego Ciała.

Inspicyent dał znak, maszynista poprowadził dzieci do pudła, zasłoniętego od frontu dużą, dziwacznie rzeźbioną deską, wyobrażającą obłok.

Jeszcze momencik, mały momencik.

Obłok powoli zsuwał się po powietrzu i zawisł nad środkiem sceny.

Andzi ściemniło się w zrenicach. Wokół niej krążyła mgła, kredowa mgła, jakby śnieżnemi po-

sypana puchami. Przepaść i przepaść... Szmary rozlegały się naokół, tajemnicze szmary. Rzeka musi chyba w pobliżu toczyć nurty i odbijać je o okienko tatusia. Ruszyła ręką, a wraz z tym ruchem skłoniły się białe skrzydła, umocowane u jej ramion. Mgła ginęła, odsłaniając czystą przestrzeń.

Z za kulis krzyknął inspicjent:

— Baczość Andziu! Teraz...

Andzia sparła się silnie na obłoku i wyraźnie zadeklamowała:

«Do Mamy lecim, do mamy,

Cóż to mamó, nie znasz Józia?

Ja to Józio, ja ten samy,

A to siostra moja Rózia.

My teraz w raju latamy,

Tam nam lepiej, niż u mamy.

Patrz, jakie główki z promieni,

Ubior z jutrenki światełka,

A na obojem ramieniu,

Jak u motylków skrzydełka».

.....

«Lecz choć wszystkiego dostatek,

Drećzy nas nuda i twoga,

Ach! mamó, dla twoich dziątek

Zamknięta do nieba droga».

Gorące oklaski zahuczały. Po krótkiej przerwie wypowiedziała Andzia jeszcze kilka wierszy i obłok wzniósł się do góry.

Borowska porwała Andzię i zawzięcie ją całowała.

— Czego ty się nie śmiesz, ty czarodziejko?
Andzia pocierała oczęta i rwała listki z wianka.

— Mamo, mnie tak zimno...

Kazia otuliła ją w dużą chustkę i zniosła po schodach.

W domu posadziła ją na kanapce i dała ciastka, przygotowane przez Liczkowską.

— Andziu, baw się tu, ja zaraz wrócę, schodzę tylko do sklepiu...

Zaledwie się drzwi za Kazią zamknęły, wybiegła Andzia.

W izbie Borowskiego świeciła się lampka. Rybak przebierał stare stłuszczone karty i rozkładał je w grupki na stole.

Andzia stanęła na wązkim przesmyku, oddzielającym domek od wody i patrzyła. Mroczyło się jej w biednych oczach, jakby tuman przeszedł przed niemi. Szumią skrzydła, nie skrzydła...

«Do mamy lecim, do mamy,
Cóż to, mama nie zna Józia?»

Niebo było jasne, nieruchome. Gwiazdki lśniły na lazurach i topiły złote promienie w wodnem przestworzu. To córki okrutnego króla zbierały złoto i niosły je przed tron ojca.

Odwrociła się i zanurzyła nogi w przybrzeżnej fali. Fala grała i grała, a złoto na nią spływało.

Mirtowy wianuszek pozostał na stalowej powierzchni.

Stary rybak odłożył karty, wsiadł na czółno i odbił od lądu.

Prąd nawlókł mu mirt na wiosło.

Położył przemoczoną zieleń na pomostku łodzi i płynął, hen, płynął, a za nim ciągnęły smutki.

Opuszczałem ją zdrową, uśmiechniętą. Tobołki moje podróżne były spakowane, służący pobiegł po dorożkę. Śpieszyło się jej na kursa robót ręcznych, więc jeszcze raz na siebie zarzuciliśmy ramiona, a potem mi tylko od drzwi przeciągłego dłonią posłała całusa i znikła. Spotkałem ją jeszcze w drodze na dworzec. Odwróciła do mnie kochane, smutne oczy na pożegnanie:

— A pamiętaj o mnie Michasiu...

Jakżeby o niej, o drogiej mi nadewszystko, miał zapomnieć. Czyż mogłem przeczuwać, że w niespełna miesiąc wrócę z powodu niej do domu? A jednak tak się stało... Zaledwie zawlokłem się do Lipska, zaledwie w małej studenckiej mansardzie rozbiłem namioty, otrzymałem od matki depeszę: «Przyjeżdżaj, Bronia chora, pragnie cię koniecznie widzieć...» Nie wiem, co się wtenczas ze mną działo, jakie mną szamotały uczucia i rozdrażnienia, jakie widma i żale tłoczyły się do serca, bo ocknęła mnie dopiero z niemego otrętwienia uwaga gospodyni:

— Kawa wyziębnie, *Herr Doctor*...

Zerwałem się, zapowiedziałem, że wyjeżdżam na dłuższy czas i zdumioną kobietę zostawiłem w izbie. Podróż wydawała mi się strasznie długą i strasznie smutną. Każda stacya była moim wrogiem, każdy zgiełk szarpał mi nerwy. Od czasu do czasu podchodziłem do mapki i przesuwalem po niej palcem. A kiedy mnie już znużyło bieganie po ciasnej przestrzeni wagonu, zwiąłem się w kłębek na siedzeniu i wtenczas mroczyło mi się w głowie, a przez te mroki ślizgały się dziwne niepokoje. I odczułem to, a przez odczucie zrozumiałem po raz tysięczny może, że każde nieszczęście znośniejsze jest w rzeczywistości, niż w domniemaniu, że człowiek jest urodzonym pesymistą i tak długo różowieje dopóki mu raz fatum porządnie nie zagrozi drogi. Ilem przebył i com przebył w ciągu podróży, trudno opowiedzieć.

Nareszcie dowlokłem się do domu.

Matka blada, wynędzniała, powitała mnie u progu mieszkania. Miała strasznie wypłakane oczy, łuszczące się wargi i strój zaniedbany.

— No uściśnij mnie, ty mój...

Nie mogła więcej mówić, a i ja nie mógłbym być więcej słuchać. Z drugiego pokoju dochodziło urywane, ciężkie rżenie, zmieniające się chwilami w chrapliwe, ogromnie bolesne charczenie. To charczenie wstrząsnęło mną do głębi i wyrwało z piersi okrzyk:

— Boże litościwy!...

Trudno mi było zrazu przekroczyć próg, za którym gościło cierpienie. Matka patrzała na mnie uśmiechając, zachęcając prawie, a ja się chwiałem i łamałem, jak się łamie pręt wierzbowy nad cichą, wielką tonią. I długobym stał skamieniały, bezradny, gdyby nie wołanie:

— Michasiu mój...

Przeczuła i odczuła mnie biedaczka. Nie namysławiając się więcej, przetarłem chustką oczy i udając wielkie rozradowanie, pobiegłem w stronę łóżka. Leżała rozciągnięta na wznak na pościeli, martwa, ostygła.

Jej ożywioną, pełną niedawno twarz pokrywała żółcizna niezdrowa i bolesne zmęczenie. Wskutek bladości zarysowały się dosyć silnie na jej policzkach ślady przebytej w dzieciństwie ospy. Usta miała nieco skrzywione, skurczone i napełnione w kątach taką żałością, że nie mogłem do nich moich zbliżyć.

— Broniu, siostrzyczko... — jęknąłem.

Ona mi chciała widocznie dużo i szeroko opowiadać, lecz nie potrafiła. Oczy jej tylko nabrzmiały od łez i radości z powodu mego przyjazdu. I tak na mnie zawzięcie, łakomie i prawie ze żdziwieniem patrzała, jak się patrzy na gościa nie z tego świata i to na kogoś, kogoby się pragnęło pochłoniąć spojrzeniami. A kiedy się ukojła i odzyskała

niec sił, rzekła do mnie głosem ostrym, nienaturalnym i bardzo urywanym:

— Michałku, pocałuj mnie w czoło...

Przesunąłem ostrożnie wargi po jej czole i chciałem się prędko cofnąć, aby nie ukazywać wzruszenia, lecz ona błagającym spojrzeniem i szeptem zatrzymała moje usta na sobie.

— Jeszcze, jeszcze...

Uścisnąłem jej prawą rękę, ona mi jednak uściskiem nie odpowiedziała. Owszem, dłoń jej była martwą, ciężką, opadającą i jakby sztucznie do ciała przytwierdzoną. Pochwyciłem drugą, lecz i ta nie miała więcej życia. Chora zrozumiała snąc dobrze moje troski, bo po twarzy jej zaczęły spływać duże i obfite łzy, a jej spojrzenia biegły po mnie uporczywie, natrętnie. I chociaż niema była rozmowa nasza, zrozumieliśmy się dokładnie. Kiedy się na chwilę wydaliłem, aby obmyć twarz i ręce, doleciało mnie to samo duszne charczenie, które słyszałem przed chwilą po przybyciu do domu.

Matka stała za mną i załamywała ręce.

— Michasiu, mój Michasiu, tyś dla niej nowością, my jej się wszyscy sprzykrzyli, więc chce cię mieć przy sobie. Uczyni ofiarę...

Nie pozwoliłem matce dokończyć i co tchu pobiegłem.

Chora uspokoiła się natychmiast na mój widok. Usiadłem wraz z matką obok jej łóżka i ani

jedno, ani drugie nie odważyło się przerywać milczenia. Rozglądałem się po pokoju. Za niskim oknem rysowały się kontury ośnieżonych drzew naszego ogrodu, po których zapadający wieczór ześlizgiwał czerwone i fioletowe tony gasnącego słońca. Pomimo czającego się zmroku, biało, jasno było na dworze od refleksów śniegu. Cisza i martwota, krążyły nie tylko w pokoju, ale i na zewnątrz, bo mróz wytworzył w powietrzu dziwną pustkę i zamyślenie. Zerwałem się nagle niespokojnie.

— Mamo, — zapytałem — patrzaj mamo...

Wskazałem za dwa oleandry umieszczone koło okna.

Matka mnie rozumiała.

— Zaczęły wędnać w wigilię choroby...

Ogromnie mi się przykro zrobiło i choć nie jestem zabobonnym rozmaite snułem wróżby.

— Zaczęły wędnać w wigilię choroby...

Byłem w rozległem, błędnem kole, od którego nie potrafiłem odzepić natrętnych myśli. Rozdrażniony, zmęczony, podszedłem do oleandrów. Brałem ich liście troskliwie w dłonie i robiłem ciche uwagi.

— Ta gałąź cała odgniła, ta się psuć zaczyna... Kora murszeje, mnóstwo mszyc toczy liście...

Zwróciłem się do matki.

— A jednak one się prawie z nami wychowały.

— Z nią...

Spojrzelismy sobie znacząco w oczy.

W pokoju zapanowała grobowa cisza, przerywana ciężkim oddechem chorej. Wtem skrzydło drzwi się uchyliło, a w półcieniu widoczną się stała łysa głowa mego ojca. Bronia uczyniła ruch, jakby się zerwać chciała, lecz nie mogła... Z ust jej wydobywał się tylko gniewny, prawie niewyraźny bełkot:

— Zzzammknąć!...

Blady, zrozpaczony, precedziłem przez zęby:

— Matko!...

I nie namyślając się długo, podstąpiłem do progu i prędko zamknąłem drzwi za sobą.

— Nie chcesz mnie wpuścić... — burknął ojciec niechętnie.

— Ona rozdrażniona, ma przywidzenia, — szepeliłem zakłopotany, ściskając ojcu dłoń.

— Pal dyabli z przewidzeniami!... A masz pruskie cygara?

— Mam... Natychmiast służę.

Poprowadziłem ojca do pokoju, przeznaczonego dla nas na noc. Wydobyłem z opakowania kilkanaście «operasów» kupionych w Austrii i położyłem je na stole. Ojciec palił zawzięcie rozmaite gatunki, w szczególności długie, włoskie «wirginia», w gruncie rzeczy jednak na cygarach się nie znał i łatwo go można było zmylić.

— Wiesz, dobre, Windheima, nieprawda?

— Jak też ojciec trafił...

— Byłeś może w Wrocławiu?... Windheim jeszcze w tej norze przy Salzgasse...

Nagle czoło mu się sfałdowało i oczy gniewnie zabłyśły.

— Po co oni cię tu sprowadzili!... Na drogę są pieniądze, a jak trzeba dla mnie na surdut, to niema.

Wargi mu się same z irytacji uruchomiły i lały. Unosił się prędko i jeszcze prędzej stygł.

— Michał, ty wiesz, — wtrącił już spokojnie, że gdyby nie ja, wszystkoby się urwało... Głowę tracę, zabiegając na wszystkie strony. Teraz właśnie nawiązałem na podstawie anonsów dziennikarskich stosunki z fabryką oliwy deserowej w Nantes. Przysłali mi próbki... Równocześnie uzyskałem w komis partyę pereł surowych. Trzeba to będzie drapać, skrobać, żeby więcej zarobić. Ta choroba to też w samą porę.

Spochmurniał znowu i twarz mu zaszła od krwi.

— Widzisz jak twoja matka dba o mnie, do tej chwili jeszcze nie mam kolacyi. Z głodu przecież nie zemrę. Ósma wybiła.

Mierzył posuwistymi krokami tam i napowrót pokój i spoglądał co chwila na ścienny zegar.

— Tak długo być nie może, to zgroza, co się u mnie dzieje.

Pragnąłem za jakąkolwiek cenę zatrzymać ojca w pokoju, więc niepostrzeżenie wysunąłem się do

kuchni. Po małej chwili wróciłem z Jagusią i kolacją. Ojciec złagodniał natychmiast i usiadł do stołu. Jadł zawzięcie, prędko, prawie łakomie. Ja tymczasem wcisnąłem się w krzeselko, ogromnie zmęczony podróżą i doznaniami wrażeń.

— Nie masz przypadkiem przy sobie marek pocztowych? — odezwał się po jakimś czasie ojciec.

— Nie mam..., a dlaczego?

— Szkoda, bo obecnie prowadzę szeroką z interesantami korespondencję.

— To się łatwo da zaradzić. Może ojciec będzie łaskaw kupić dla mnie przy sposobności kilkanaście sztuk.

Wetknąłem mu w ręce pieniądze.

— Naprawdę, nie chce mi się jeszcze spać. Pobiegnę do kawiarni przeglądnąć gazety. Tam się często zdarza jakiś interes...

— No dobrze, a powróci ojciec wprost tutaj?

— A gdzieżby?... Szczęśliwy jestem w łóżku.

Pobiegłem na palcach do pokoju chorej. Zwolna, drżącą ręką nacisnąłem klamkę. Spała snem ciężkim, urywanym, jakby sztucznym. Białą była na białej pościeli i strasznie wycieńczoną cierpieniem. Po jej twarzy przeszedł, jak po zielonym, młodym, do słońca uśmiechniętym łanie, wicher męki i wrył się w nią wszystkimi rysami...

Rozchylone, posiniałe usta wyrzucały szorstkie, gardłowe tony, a pierś podnosiła się chrapliwie, nieregularnie. Męka fizyczna uczyniła ją tak bo-

lesną i tak straszną we śnie, że mi się serce z żalu krajało. I zdawało mi się koniecznie, że ona biedna, nieszczęśliwa, doszła już do tego kresu cierpień, gdzie się z rezygnacją prosi:

— Wybaw mnie, Panie Boże...

Spojrzałem na matkę. Siedziała sztywna, niema i bardzo zrezygnowana. Kiedy jej rękę podnosiłem do ust, rzekła:

— Idź spać!...

— Dziś moja służba... — odparłem.

Uśmiechnęła się dobrotliwie i potrząsnęła głową.

— Ja się z nią nie rozstanę. Ot, mnie tak dobrze przy mojej jedynej...

Położyła głowę obok głowy chorej lekko, ostrożnie i dała mi ręką znak wyjścia.

Nazajutrz przebudziłem się bardzo późno.

Jagusia szarpnęła mnie za ramię.

— Paniczu, paniczu, już ku południowi.

Naokół krzątano się gorączkowo. Matka wpadła pospiesznie do pokoju. Stała naprzeciw mnie wzruszona. Ja, ujrawszy ją, przycisnąłem obie ręce do serca i odwracając się od okna, jęknąłem:

— Boże miłosierny!

Ta jedna chwila wystarczyła mi za innych tysięcy. Chciałem płakać, a nie mogłem, chciałem szamotać się, lecz rąk nie czułem, chciałem zginać gdzieś, bodaj pod ziemią, lub oknem skoczyć na bruk, jednak wszystko podemną chwiało się,

mgliło, tańczyło i waryowało wraz ze mną. I pragnąłem z sobą coś zrobić, a nie umiałem, próbowałem krzyczeć, lecz nie potrafiłem, wszystko zamarło we mnie na tę jedną, na tę straszną chwilę. Widziałem tylko przed sobą matkę wychudłą, wynędzniałą, raczej do szkieletu, niż do człowieka podobną. Kiedym ją zegnał, miała jeszcze włosy czarne, teraz już jakieś zielono-żółte. Ubranie na niej zwisało, zmarszczki poorwały strasznie oba policzki. Wszystko to spostrzegłem nagle i nagle odczułem, bo zaraz po przyjeździe o zmroku, zajęty chorą, przeoczyłem. Przewyciężyłem się jednak i zakłopotany przystąpiłem do matki.

— Mamo, droga matuchno!

Ona nic nie odpowiedziała, tylko bardzo przytomnie, z głęboką rezygnacją spoglądała w moje żrenice.

— Dobrze spałeś? — zapytała.

— Dobrze.

— A mama?

— I ja nieźle...

Przesunąłem palce po jej włosach. Poczułem w nich jakieś zgęszczenie, zlepienie. Matka się widocznie tem zaambarasowała, gdyż rzekła cicho:

— Już trzy tygodnie nie czesane...

Zgarnęła kosmyki dłonią i nagle coś sobie przypomniała.

— Michałku, Bronia nie chce wziąć bez ciebie rosołu.

Podniosłem chorą wpół jak martwą kłodę, za pomocą podsunęcia rąk pod poduszki i nastawiłem filiżankę do jej ust. Była po względnie dobrze spędzonej nocy nieco świeższą, przytomniejszą, ożywioną. Trudno biedactwu wprawdzie przyszło wykrztusić powitanie, ale uczyniła to z udaną swobodą:

— Dddzienn dobrrry kochan.....

— Dzień dobry, ty moja kochana duszo, — odpowiedziałem.

I pocałowałem ją raz, drugi i trzeci, a ona jak umiała, śmiała się temi swojemi bolesnemi ustami.

Męczyło ją bardzo przełykanie rosołu.

Tymczasem Jagusia ustawiała z drugą służącą podłużne koryto na krzesłach...

Zjawił się też wuj Jan i wyciągnął serdecznie ku mnie dłonie na powitanie:

— Witaj gościu egzotyczny!...

A widząc moje zafrasowanie, dodał:

— No no, nie martw się, będzie dobrze.

Obwinięto ją szczelnie w długie płótno, niby w śmiertelną koszulę i poniesiono do kąpieli.

Spostrzegłem, jak się łamała na rękach niosących, jak martwo zwisała całym ciałem. Nogi jej, strasznie wychudłe nożęta, huśtały się w powietrzu, zakreślając poprzeczne ruchy, a głowa przebiegała się głęboko w tył i odsłoniła zmizerniałą szyję. Żrenice jej młode nie wyrażały już nawet

bólu, tylko jakąś zawziętość, surowość, podtrzymaną ostrem zmarszczeniem czoła.

Kąpiel przyjmowała zupełnie obojętnie, jakby zamierzała powiedzieć:

— Wszystko mi jedno, róbcie, co wam się żywnie podoba...

Ułożyliśmy ją na łóżku. Ciepła woda osłabiła ją widocznie, bo ustami chwytiała chciwie powietrze. Uspokoila się jednak wkrótce i w zwykłą popadła apatyę.

Wuj zawołał mnie gestem do sąsiedniego pokoju i zaczął sentencyonalnie:

— Człowiek strzela...

Spacerował tam i napowrót chmurny, zgnębiony. Bębnił w przechodzie palcami po drzwiach szaf i rozdymał nozdrza.

— Prawda, Michale, że to silniejsze od człowieka...

— Wuju kochany, — jęknąłem — więc rzeczywiście...

Wahał się chwilę.

— A zresztą, dzieją się cuda...

Opowiedział mi następnie, że to choroba straszna, zapalenie mleczu pacierzowego, które się może wlec i wlec... Po co on mi prawdę w całej nagości wyjawiał?

Łamałem sobie głowę nad tem, czy przynajmniej ze słuchu nie znałem kogoś, kto był tą hibową niemocą tknięty i wy dostał się z jej szponów.

Gdzie tam! nie znałem nikogo...

I nie wiem doprawdy, dlaczego marzyła mi się czaszka, nad którą Hamlet filozofował. Przypomniała mi się następnie wątpliwość królewicza duńskiego, czy przypadkiem prochami Cezara nie zatykają beczek... W końcu powtarzałem uporczywie frezes z listu św. Pawła do Koryntyan: boć musi, co skazitelne, przyoblec nieskazitelność i co śmiertelne, przyoblec nieśmiertelność.

Ale jaką ona ma skazę? Ledwie weszła w wiosnę życia, a już wędnie, marnieje, jak pierwszy pączek róży. Gdzie tu jakie prawo natury? Gdzie sprawiedliwość?

Protestowałem na wzór pospolitych lub słabego charakteru ludzi, którzy pod uderzeniem ciósów opuszczają skrzydła i wojnę wypowiadają Opatrzności. Wuj odczuwał, jak mnie żre rdza buntu i rozdymał coraz uporczywiej nozdrza.

— Ej! wy młodzi, młodzi...

Zapytałem go z pewną stanowczością:

— Długo to potrwa?

Snuł oklepane porównania na temat dogasającej lampy.

— Skwirczy i skwirczy, a nie wiesz na pewno, kiedy tleć ustanie.

A niech sobie skwirczy i nie skwirczy, ale człowiek i takie istnienie w zaraniu, to nie knot żaden. Przecież wziąć pierwszą lepszą roślinę, czy kwiatek wąty: nadepta się na powój, mlecz, ko-

niczynę, a rosną jeszcze pogięte i sterczą do słońca... Mały kwiat przyciśnięty stopą, wryje się w ziemię, wymęczy i potem znowu nastawi ku światłu oczy. Glista rozkawałkowana zrośnie się lub nie i jeszcze płacze w grudzie lub po grudzie... Aloes niekiedy zeschnie i ozieleni się mimo to i nowe puszcza pędy...

— A oleandry?

— Co mnie obchodzą oleandry... Są i niema ich. Też do takich rzeczy wagę przywiązywać...

Kiedyś nad piaszczystą wydumą morską, niedaleko Lusinu, siadywał w czasie dopływu człowiek chory na piersi, jakiś asceta widocznie, bo miał twarz ogromnie świątobliwą, ściągałą, jak biczownik i modlił się żarliwie. Zachodzące słońce, odbite od fal, prażyło go, a on patrzył się tylko hen w siną dal, ginącą za nieboskłonem i oczy jego jaśniały od wesela i niewysłowionej rozkoszy. Wyciągał czasami ręce chude w przestrzeń, ku oparom wstającym z wody i szeptał: bądź błogosławiona Panienko święta!... Zdawało się biedaczynie, że mgła, to Matka Boża... A kiedy go raz nieprzytomnego, wyczerpanego znaleziono nad brzegiem, zwrócił się do fali i ożył.

— I dlaczego ożył?

— Chyba źródłem jego siły była wiara w ideał, ufność w Panienkę po morzu stąpającą.

— A co ona ma?

— Ma prócz wiary silne kochanie i jak ów suchotnik patrzy w matkę...

— A może ją to kochanie utrzyma...

Czego ja nie myślałem i jakie różne chaotyczne baśnie chodziły mi po głowie! Ale dobrze się stało, że tak chwilę przestałem być sobą, bo gdy się wyzbył fantazyi, strasznie mnie poprostu za gardło ścisnąć zaczęło.

— Gdzie tu wyjście? Gdzie zmiłowanie? Żal i boleść uczyniły mnie wymowniejszym.

— Bo też ten częsty płacz!... — rzekłem, tupiąc z irytacji nogą.

— Płacz powiadasz?...

Wuj uderzył się w czoło, jakby w niem nowa myśl zaświtała i surowo, widocznie przygnębiony, zauważył.

— Takie łyzy, jak Broni i długo przelewane podobne rodzą choroby. Badamy, matematycznie dociekamy, gdzie początek złego, które nawiedziło organizm. Mówi się: przeziębienie, woda... Dopatrjuje się koniecznie początku utrapień fizycznych w zewnętrznych wpływach, omal cyrklem i wagą nie robi się pomiarów... A właśnie...

Zaciął się i gromadził argumenta, chociaż nie miał przeciwnika.

— A właśnie nieprawda... Łzy są zawsze gruntem żyznym dla fizycznej niedoli. Sam człowiek rodzi się istotą zdrową, ale różne nędze łzawią mu drogę życia. Starcy często giną na wyczerpa-

nie. Wyczerpaniem młodych lat jest często ich duchowe skołatanie.

Uniósł się, jakby kogoś apostofował za popełnienie krzywd. Ale widocznie jemu samemu wydawało się to rozumowanie przykrem, bo dodał:

— Trzeba koniecznie okno na wieczność otworzyć i z niego patrzeć na szary świat, gdyż inaczej.....

Uczył znak duszenia się i bezgranicznej rozpacz.

— Czego mi wuj tak mówił i to mówił?

Nie było odpowiedzi. Stała przedemną matka, sama jedna, taka biedna, jaką ja od pierwszej chwili po przyjeździe ujrzałem. Zaczęła śledzić moje oczy i ruchy. Chciała się koniecznie dowiedzieć, co wuj powiedział, czy wierzył w uzdrowienie. Zaklinałem się na wszystkie świętości, że rokował najlepsze nadzieje. Może temu nie wierzyła, ale miłość matczyzna kazała jej się łudzić.

— Gdyby też Pan Bóg raczył spełnić wielką łaskę...

— Spełni mamó, na pewno...

Starłem się zmylić i pocieszyć matkę, a tymczasem kołatało do głowy mej pytanie:

— Czy często płakała, gdy mnie w domu nie było?

Delikatnie badałem matkę, lecz matka zamiast «tak» lub «nie» odpowiedzieć, przysłoniła twarz

rękami i milczała. Trwało to długich chwil kilka, poczem surowo, ponuro wbiła oczy w ziemię.

— Zamierzył się na mnie... Ona wpadła potem w atak nerwowy...

Co mnie reszta obchodziła... I tak miałem dosyć piekła w mózgu. Wiła się przedemną kręta, stroma Golgota, którą matka kroczyła i słyszałem w podnieconej wyobraźni brzęk kajdan, jakie wlokła za sobą. Te kajdany krwawiły ją, przykuły do katorgi życia, a ona przecież szła naprzód jasna, cicha, bez skargi na ustach.

Dlaczego gięła się pod haniebnym jarzmem, dlaczego?

Sumienie mi tłumaczyło:

Budowała dla dzieci gmach spokoju, szczęścia, z najdroższego na świecie materiału: z poświęcenia. Gmach się w gruz sypał... A na tych gruzach matka, moja biedna siostra, ja i ten czwarty.

* * *

Ginęła już piąty miesiąc. Maj okrył zielenią drzewa i wydobywał młodą trawę z ziemi. Pod niskim oknem ciągnęły się rabaty, pokryte stokrotkami, rezedą i różnym pstrem kwieciami. Powój pięł się do framugi i zaglądał do pokoju, jakby chciał przynieść nowinę:

— Wiosna, szczerą wiosną...

Na dalszym planie widniały wśród gruszy i jałbłoni kasztany i rozczochrane krzaki bzu.

Kazała łóżko przystawić do okna. Żółta jej, jak gromnica, twarz, ożywiła się w słonecznych blaskach. Mowę odzyskała czystsza, płynniejsza, a przede wszystkim swobodniejsza.

W kącie dawno nieokurzonej futryny snuł sieć «krzyżak» i opuszczał się na dół po ciemno-szarej nici, niby po długiej, sznurowanej drabinie.

— Co też snuć może ten pajak?...

Tłumaczyłem, że snuje dla niej szczęście, wyzdrowienie i Bóg wie co jeszcze. Ucieszyła się i prosiła, abym ją podtrzymał i zwrócił ku głębi ogrodu. Zawiesiła zdziwione żrenice na niebie, drzewach i całej powietrznej przestrzeni. Uśmiechnęła się do tego ładnego świata, jakby go pierwszy dopiero raz zobaczyła i ze wzruszenia widocznie wargi rozchyliła.

— To tam taaak...

Po chwili sposepniała.

— A gdym się kładła, była ziemia biała... Moje goździki, kochane moje... Pamiętasz złote renety?... Tyś wchodził na jabłoń i strącał jabłka, a ja zgarniałam do fartuszka... Schowaliście ostrożnie mój fartuszek?

— Schowaliśmy...

— A inne rzeczy...

— Wszystko...

— Może...

— Co może,... coś chciała powiedzieć?...

— Eee... nic, nic... Michasiu, długo ja leżę?

Udawałem, że przeprowadzam bardzo sumienny rachunek.

— Trzy, do czterech tygodni...

— Gdzież tam, po pierwszych jeszcze chodziłam śniegach...

Prosiła o zbliżenie bukietu bzu i wdechała jego woń z upojeniem.

— Jak też dziwnie na bożym świecie! Te bzy dziś żyją, a jutro...

— Tysiące, miliony nowych zakwitnie.

— Ale nie te...

To patrzanie w przestrzeń i dużo świeżych wrażeń zmęczyło ją ogromnie, więc przysłoniłem okno gazą i ułożyłem ją na pościeli.

— A oleandry?... O tym czasie zwykle okrywały się różowym kwiatem. Tyle migdałowej woni było wówczas w pokoju.

Zasepiła się.

— Wierzysz, Michasiu, w zawisłość losów od martwych przedmiotów lub przyrody? Te oleandry wędły wraz ze mną.

Zacząłem rozumować na temat słabości ludzkiej natury, która w zgnębieniach pragnie się oprzeć na nadzwyczajnościach i zamiast iść drogą zwykłego rozsądku, sięga w kraje mglistego mistycyzmu.

— Człowiek jest urodzonym lunatykiem, — oświadczyłem — i tylko ciężka walka o byt, szare tło codziennych trosk i praca ściągają go na zie-

mię. Jakiż może być, Broniu, związek między gwiazdą a duszą?... A jednak się mówi, że gdy gwiazda spada, gaśnie dusza... Codziennie tysiące gwiazd leci i lecą bez wrażenia, dopiero gdy trzeba, stawia się horoskop. Podobnie i z olean-drami...

— Więc ty nie wierzysz, Michasiu, że te zmar-niałe liście...

— Nie wierzę i nie śmiem wierzyć. Będziesz zdrowa, choćby to wszystko rozpaść się miało...

Złożyła ręce w małyk, wyprężyła ramiona i tak jej oczy radośnie świeciły, jakby chciały powiedzieć:

— Wierzę, całym sercem, wierzę.

Istotnie zauważyła:

— Jeżeli tylko przyjdę do siebie i władzę w nogach odzyskam, pójdziemy na błonia, na po-lankę. Czy tam jest jeszcze ta gęsta wiklina oto-czona powojem? Nie, pierwszy spacer lepiej od-będziemy do ogrodu botanicznego. W domku pal-mowym tak pięknie świergocą ptaszęta...

— Gdzie zechcesz, tylko najprędzej.

— A pokaż, Michasiu, suknie.

Upała się, abym całą letnią garderobę wydo-był, chociaż mi to trudno dosyć przyszło. Kła-dłem wszystko razem na krzesłach, kanapie, nawet na podłodze. Ona bacznie okiem śledziła mnie i ożywiła się widocznie.

— Zapomniałeś szasetki z batystowymi chu-

steczkami. W prawym kącie szafy musiała zostać halka... Brak także szarej sukienki...

Skrupulatnie wydobywałem wszystko według jej poleceń i wydobywałem bodaj dzień cały, byle ją utrzymać w skupieniu myśli na czymś błahem, weselszem. Kazała sobie każdą sztukę z oso-bna podawać i z dziecinną prawie naiwnością cie-szyła się wszystkim.

— Jak się różowa dobrze zachowała! Szlarka trochę zmiała.

Potem gdzieś plamkę dostrzegła i zmatwiła się.

— Nie wiem, czy się da wywabić. Z czego to może być? Doprawdy nie pamiętam... Już wiem... Wiśnia spadła mi z ust w czasie wycieczki do Janowic, wtenczas gdyśmy byli z Karzyckimi...

— I grali w krokiet...

— To... to..!

Zaśmiała się i tym uśmiechem powitała wcho-dzącą matkę.

— Mamuniu, wszystko to będzie na mnie duże...

— Gdzie tam! Przeciwnie, po chorobie tyje się.

— Kto wie, czy włożę jeszcze te suknie...

Matka zaczęła ją strofować.

— Byli ludzie stokroć bardziej chorzy, a wy-zdrowieli i opowiadali wesoło o przebytych cierpieniach. Mania Brodowska niedawno wyleczyła się z tyfusu i zapalenia płuc. Młodego Henia Trznadla opuścili doktorzy, a on im wszystkim

figla spletał. Zawsze to niepotrzebne nabijać sobie przywidzeniami głowę.

Ona słuchała i słuchała, wpatrując się w pocieszycielkę matkę, niby w tęczę jasną, ale ły jej buchały ze źrenic strumieniami i zalewały całą twarz i piersi. Łkała przytem nerwowo, spazmatycznie, aż ją w górę podrzucało.

— Tam słońce świeci i zieleń rośnie, a ja ginę, ginę...

Kazałem przesłaniać okno dużą, gęstą zasłoną, aby niebu słońca i piękności młodej przyrodzie nie zazdrościła. W pokoju panował półmrok, rozwidniony kilku promykami światła, wpadającymi z poza rąbka uchylonej od dołu opony. Ledwie rankiem powieki otworzyła, domagała się stale wolnego widoku na ogród.

— Chcę światła... Jak dziś świat wygląda?

— Tłómaczyłem, że lekarze nakazali zawiesić oponę na oknie i to na krótko, potem znowu będzie patrzała na kwiaty i drzewa, jak długo tylko zapagnie.

Raz pobiegłem rano, jak zwykle, po przebudzeniu się, do jej łóżka. Matka leżała obok na kanapie i czuwała. Chwile długie upływały, a chora nie dawała znaku życia. Zaniepokojony, popatrzyłem na nią. Jakżeż potężnem było moje zdziwienie, gdy dostrzegłem, że ma oczy otwarte, utkwione martwo w sufit, bezbrzeżnie smutne, przygasłe!...

— Broniu, nie śpisz, siostrzyczko?

Nic nie odpowiedziała. Lekko pogładziłem ją po włosach i ramieniu.

— No, moje kochanie, może ci niedobrze? Może masz pragnienie?

Ale zacięła się uparcie, zacisnęła zęby i wargę na wargę grymaśnie przekładała, skrzywiając nieprzyjemnie usta. Wziąłem się tedy na sposób.

— Dziś odrzucimy oponę, całą oponę. W ogródku są jaśminy.

— A czy to już dzień? — zapytała wreszcie.

Istotnie ściągnąłem zasłonę. Okno rozwarłem na ścieżaj i pomiędzy niem a łóżkiem ustawiłem ekran, aby złagodził napór powietrza. Poranek wpadł do pokoju i oblał różowym blaskiem chorą. Twarz jej drgnęła, skurczyła się, lecz pozostała nieruchomą.

— Teraz chyba na mnie nie narzekasz?

— A czy to już dzień? — powtórzyła.

— Jakto? Broniu, co mówisz? Przecież widzisz twój ogródek, drzewa i słońce...

— Bo wietrzyk mnie jakiś zalatuje łagodny. Czyżby to był wietrzyk nocy?

Skrzyżowałem z matką spojrzenia.

— Jezus, Marya! — zaszlochała matka — mózg jej zajęło, pomieszanie.

Zeskoczyła z kanapy, wdziała prędko spódnicę i chwyciwszy się za głowę, błędnie latała po pokoju.

— Wybaw ją Panie! już się jej zrzekam...

Stałem skamieniały, odurzony nową niespodzianką.

— Dlaczego mnie ma Pan Bóg wybawić? Przecież mi nie gorzej... Spałam dość twardo... Tylko żeby ten dzień...

Matka lamentowała i zanosila się od płaczu.

— Dobrze jest na świecie! Sprawiedliwie jest na świecie!

— Mamuś, czego płaczesz? Czym ci przykrość wyrządziła?

Oprzytomniałem nareszcie. Po rozsądnych, uczuciowych kilku pytaniach zrozumiałem, że umysł chorej nie popadł w zaćmienie. Objąłem ją uważnym spojrzeniem.

— Widzisz mnie?

— Nie...

— A mamę?

— Także...

Kazałem Jagusi przynieść gąbkę. Przetarłem nią oczy chorej i usunąłem obfitą, z nocy pozostałą ropę.

— No, a teraz?

— Nie...

Podszedłem do matki.

— Tu nie można na głos narzekać, nie matczko... Ona przy pełni rozsądku. To oczy...

— Stracone...

— Na razie nie widzi...

Wyprowadziłem matkę z pokoju, bo łamała się we dwoje, darła z siebie koszulę na piersiach i krzyczała:

— Już z niej nic nie będzie!... Oczu nie ma...

Czułem w tej chwili, że mogę stracić naraz dwie najdroższe istoty. Obie zarówno kochałem, bez miary. Jedna ginęła na ciężką niemoc, druga z żalu za nią. Byłem jak ojciec zadżumionych na dalekim stepie arabskim, który patrzy na konanie własnych dzieci, potem je kładzie kolejno do grobu, przysypuje gorącym piaskiem południa i sam na mogiłach czeka ostatniej chwili. Co miałem począć? Patrzałem w jej twarz biedną tak, jak się patrzy na coś, co prędko ma na zawsze minąć. Podchwytываłem każdy jej najdrobniejszy rys, każdą linię, spieszyłem się z wyszukaniem drobiazgów, aby zapóźno nie było. I równocześnie, oprócz tej żywej postaci, snuła się w fantazyi mojej inna, jakby nie z tego świata. Nieuchwytną była, ale żyła we mnie i ze mną, taka samiuteńka, jak tamta.

— Boże! — pomyślałem — takie chwytnie rysów, gdy one rozpaść się mają, podobne jest do zdejmowania pośmiertnej maski!

W głowie mi się mieszało okrutnie. Ona jest i jej niema. Wiedziałem, że ją stracić muszę i to niedługo. Na koniuszku jej nosa ujrzałem przez ospę pozostawioną nieznaczną skazę. Skaza ta w mej wyobraźni przybrała kształt drobnej kwa-

dratowej klamerki. Nie wyobrażałem jej sobie już bez tej klamerki... Odkryłem też wcięcie mocniejsze między łukami brwi, więc i to wcięcie zapamiętałem. Tak upływały godziny.

— Czy będzie prędko dzień? — zapytała zniecierpliwiona.

— Już pora południowa, Broniu, — wyrwałem się nieostrożnie.

— Co południowa? To ja zaniewidziałam...

— Co też za dzieciństwo mówisz... Zwykłe osłabienie... Zaraz będzie lepiej...

— Mgli się, jakby w oddali mknął popielaty szlak światła... Już się mroczy i przepada... Wysiliłam żrenicę, lecz nie widzę ani ciebie, ani mamy. Chodź, podaj rękę... To twoja ręka... Ja nie chcę nocy wiecznej... Dajcie mi oczy, moje oczy!...

I tak rozpaczliwie, tak okropnie wołała «dajcie mi oczy, moje oczy...», że przyłączyłem się do jej płaczu i w łzach, w szalonym łkaniu szukałem ulgi. A gdym już dłużej płakać nie mógł, pomyślałem, że człowiek jednak jest potężnym siłaczem, gdy się umie wśród podobnych burz życiowych ostać. Najtwardszy kamień łupie się pod uderzeniem młota, a on stoi i stoi, nad grobem własnych marzeń i uczuć...

Miedzy lekarzami były zdania podzielone. Jedni utrzymywali, że wzrok odzyska, drudzy sceptycznie kiwali głowami.

Stan chorej nie poprawił się istotnie przez dni

najbliższe. Leżała na wznak, zeszywniała, niema, z szeroko rozwartymi powiekami. Żrenice jej były czyste, spokojne. Od czasu do czasu pytała:

— Czy już południe? Czy wieczór się zbliża?

Podano jej do łóżka ośmiomiesięczne niemowlę ciotecznej siostry. Dzieciak był tłusty, dobrze odkarmiony i niezrozumiałe wydawał dźwięki.

— Maa... zum, ta... la...

— To Klarcia Antosi, — objaśniała matka.

Szczegółowo badała dzieciaka ręką i przycisnęła go do swoich ust. Klarcia się rozplakała tak rzewnie, że ją musiano wynieść do drugiego pokoju.

— Odczuła moją nędzę, — rzekła. — Ja ją też poznaję, chociaż nie widzę... Prawda mam, ma oczy i nosek Antosi... Czy tak?

— Tak... — odparła zdumiona matka.

— A profil kuzyna Adasia?

— Tak...

— No widzicie... Palce są obecnie okiem i światłem mojem... Chodź do mnie matuchno... Ot, masz łzy na rzesach... Pocałuję twoje długie rzęsy...

Przygarnęła rzeczywiście matkę do piersi.

— Kochana moja, kochana!...

Rozweseliła się nagle, aż blask szedł z jej biednych, ciemnych żrenic.

— Myślisz matuchno, że nie wiem co się wokoło mnie dzieje? Gdzież tam! Ot, tam na

stoliku muszą stać poziomki. Duży, kopiasty talerz. Piętrzą się czerwone, koralowe jagody...

Wdychała rozdętymi nozdrzami woń poziomek, ustawionych istotnie na stole.

— Wiesz mamó, te poziomki czuć latem. Gdy chłonę ich zapachy, zdaje mi się, że lasy widzę przed sobą. Długo jeszcze do zachodu?

— Dopiero piąta...

— Zamknąć drzwi, nie chcę... — zaczęła wołać spazmatycznie.

Obejrzałem się za siebie i ujrzałem ojca.

— Chwała Bogu, — rzekł — znalazłem przecież zbawienie...

Podszedł do chorej i objął ją łagodnym spojrzeniem.

— Sama pragnę zostać, sama,... — jęczała.

Wziąłem ojca pod ramię i skierowałem się ku drzwiom.

— Może pójdziemy do ogrodu...

— Zawsze te nędzne sekatury. Mam takie prawo tu zostać, jak wy i kwita...

— Tak jest, ojczu, ale chodzi tu o nagły interes.

— To co innego...

Miałem zamiar poprosić ojca do ogrodu, lecz on mnie zatrzymał w pokoju. Zasiadł do stołu i kazał sobie przynieść ze spiżarki rydze.

— Jakżeż z rozprzedażą pereł? — zapytałem.

— O to ci chodziło? Nie jestem obowiązany

nikomu zdawać sprawozdania. Zresztą, co tu ukrywać... Pał lichó z takimi interesami! Nasze społeczeństwo nie dojrzało do prawdziwego przemysłu... Same szkraby i hołysze... Ot, widzisz, na co się komis przydać może...

Wylał oliwę z próbek na rydze i mlaskając ustami, zawyrokował z miną smakosza:

— Rzetelna francuska...

— A jak się rozchodzi?

— Fi,... zawsze indagacje... Po to mnie tu sprowadziłeś?... Nasz kraj dobry dla tych, którzy jeść nie mogą i ubierają się w łachmany...

Z irytacją polewał oliwą z próbek stojący przed nim talerz rydów.

— Ot, tak przynajmniej przyda się na coś... A ten interes z perłami wcale nie perlisty... Szkoda czasu i atłasu! Dawniej przynajmniej stare żydówki ubierały się w srebrne i złote czepki, przetykane muszelkami i perłami. W Ułaskowicach na targu roіło się od wędrownych handlarzy pereł... Dziś postęp, moda wszystko zatarły... Ta wasza cywilizacja jest gorszym wrogiem ludzkości, niż sto chorób razem wziętych. Ale ja się nie zrażam... Wpadłem na kapitalny pomysł... Nie ma u nas fabryki pobielania garnków... Ileż gospodyń odrzuca po kilkakrotnem użyciu doskonały jeszcze garnek dlatego tylko, że się wewnątrz wyszczerbiło... Hę? nieżyły pomysł, co?

— Nieżyły, ale...

— Co ale, niema żadnych ale... Myślisz zapewne, skąd wziąć środki?... Bagatela!... mnie każdy zna i zawierzy, ile zechcę. Zresztą matka...

— Łoży wszystko na chorobę...

— Niech będzie pochwalony!...

— Na wieki wieków! — odpowiedziałem.

Ogromnie wysoki mężczyzna posunął się ku mojemu ojcu i wstrząsał całą siłą jego dłonie.

— To i widzi pan, że przyszedłem jak przyrzekłem. Może w szczęsną spotkaliśmy się chwilę. A to synaczek, prawda?

— Rodzoniuteńki, — odparł mój ojciec. — Com się namęczył, zanim zeń zrobiłem doktora!...

Przybyły skrzywił się nieznacznie i skrzywienie to prędko zamaskował.

— Pan dobrodziejaszek stale tu, między nami? — pytał gminnym, wiejskim akcentem.

— Dopiero niedawno zjechałem...

— Ejże, przysiągłbym na Chrystusa rany, że pana dobrodziejaszka widywałem na klinice między skubentami.

— Mnie, nie...

— To być nie może... Przypominam sobie na pewno, że pan dobrodziejaszek opukiwał babę, którą przywiozłem do szpitala z naszej wsi. Stał wtenczas przy jej łóżku profesor, taki w białym drelichu, z dużą, rozczochraną brodą, z swoimi adjutantami i przypatrywał się robocie pana dobrodziejaszka.

— Nie jestem panie lekarzem, więc nie badam po szpitalach. Najwidoczniejsza pomyłka...

— Ależ, panie Komarowski, syn mój nie medyk... Nie bój się pan, u nas niema denuncyantów... Lecz pan córkę, byleś ją wyleczył...

Ojciec zwrócił się następnie do mnie.

— Spotkałem przypadkiem pana Komarowskiego. Znam go zdawien dawna...

— Grywaliśmy w ferbla... — wtrącił Komarowski.

— Co się też panu śni! — rzekł surowo ojciec. — Pan Komarowski słynie w swojej wsi i daleko naokół z cudownej sztuki leczenia. Biegną do niego, jak do rabina w Sadogórze. Kneip jest obok niego zerem. Mówiłem mu o moim strasznym frasunku i przyrzekł mi dopomódz.

— Z całą miłą ochotą. To nie ja leczę, lecz Jezus Chrystus, Pan nasz i opiekun wszystkich.

Popatrzył na ojca.

— Może mnie pan zaprowadzi...

— Dla mnie to zanadto bolesne... — oświadczył ojciec. — Syn mnie wyręczy. Mój Michasiu...

Obrzuciłem pospiesznie od stóp do głów przenikającym spojrzeniem Komarowskiego i zapalałem do niego wielką nieufnością. Jednocześnie obudziły się jednak w duszy mojej dziwne nadzieje. Za nic w świecie nie puściłbym tego człowieka, zanimby nie poszedł do łóża mej siostry....

— A może on istotnie poradzi..., — rozmowałem. — Tam gdzie nauka i logika zamierają mają uprawnienie dyletantyzm i brak logiki.

Puściłem go przed sobą. Wyglądał napół z chłop-ska, napół z waszecia. Stąpił pewnie, poważnie. Wszedł do pokoju chorej cicho, ostrożnie.

Objasniłem matkę krótko, o co chodzi.

Pochylił się nad łóżkiem i zakreślił w powietrzu znak krzyża świętego.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!...

— Na wieki wieków!... — odpowiedziała cicho Bronia.

Rozszerzyła źrenice, jakby chciała poznać przysza.

— Czy to mamó ksiądz dobrodziej?.. Ja się chętnie wypowiadam na ostatnią drogę... Sześć miesięcy już się księżę nie modliłam. Tak się rwałam do rozmowy z Bogiem a nie mogłam. Teraz już czytać nie potrafię z książeczki, a pamięć mam zmęczoną. Będę mówić za tobą, księżę...

— Kiedy ja przyszedłem nie spowiadać, tylko uzdrowić cię, panienko, w imię Jezusa Chrystusa, Pana i opiekuna naszego...

— Ja nie chcę, mamusi, dłużej czekać... Usłyszałam słowo: «niech będzie pochwalony» i ono obudziło we mnie potrzebę pacierza.

Matka roztworzyła niezwłocznie modlitewnik i czytała suplikacje:

«Abyś karanie Twoje od nas oddalić raczył, prosimy Cię Panie».

Chora powtarzała wyraźnie, czysto, każde słowo. Gdy skończyła, zauważyła:

— Mamus, daj mi pocałować obrazek z wyobrażeniem Chrystusa w grobie.

Pocałowała obrazek, potem matkę w rękę.

Koronka na rogu obrazka była urwana.

Przesuwała między palcami kartonik i natrąwszy na zdefektowane miejsce, rzekła:

— Dasz, mamusi, świeżą koronkę, prawda? Obrazek taki ładny! Tyle serce buja w okół Ukrzyżowanego... A u stóp jego przygwożdżonych do słupa leży czaszka ludzka. Czy tak? Jak ja to dobrze pamiętam...

— Po modlitwie czas na leczenie, panienko, — odezwał się Komarowski.

— Jakżeż długo będę się leczyć? Pół roku konam codziennie. Zostawcie mnie w spokoju.

— Zostawić w spokoju? Nie wolno wątpić, panienko. Jezus Chrystus, Pan nasz i opiekun był na krzyżu, a przecież wstał. Będiesz zdrową, jak rybka w wodzie.

— Tak mi mówią ustawicznie. Słyszałam to samo, gdy mi nogi zamarły. Wuj wówczas rzekł: lepsze od sarny odzyskasz nogi. Potem mi kostniały ramiona, dłonie... Stali nademną wszyscy i z uśmiechem zapewniali, że to chwilowe osłabienie. A dla mnie każda chwila była godziną, ka-

zda godzina dobą. Skupiałam duszę i wolę, chcąc się dźwignąć. Nie mogłam!... Kwiaty rosły, drzewa się zielenią okryły, niebo zesłoneczniało, a ja odleżałam się w łóżku. Marny robak żyje, tylko ja się męczę bez końca.

— Koniec będzie złego, — odparł Komarowski. — Jezus Chrystus, Pan nasz i opiekun...

— Potem straciłam oczy, a przez nie matkę, brata, wszystko... Za jakie grzechy ja cierpię? Dajcie mi oczy, choć na chwilę oczy! Ujrzę was drogich i umrę, bez narzekania. Mamo, mamusiu, rękę...

Matka ujęła jej dłoń, całowała i zalewała łzami.

— Dlaczego, mamo, nie podajesz ręki?...

Matka zbliżyła usta do jej ust, a następnie do żrenic.

— Teraz cię czuję... Nie oddalaj się odemnie.

Komarowski przyłożył do jej stopy kawałek różowej, delikatnej, w wodzie zwilżonej bibuły. Potem skrzyżował ręce na piersiach i czekał. Wpatrywaliśmy się w jego zagadkową twarz z zwrastającym zaciekawieniem. Spojrzał wreszcie na zegarek i energicznie oderwał bibułę od stopy. Była zesztyniała, suchą.

— Ciągnie, gorze...

Pokręcił głową i zwrócił się do mnie.

— Ilu ich tu było?

— Kogo?

— No, tych medyków?

— Kilku, różnych...

— I pozwolili jej się tak męczyć!... Ha! ha!... Wyprowadzę ją z tego...

Popatrzyliśmy na niego, pełni zdziwienia, niedowierzania i podniecającej nas chwilowo nadziei.

— Kosztować będzie sześćset reńskich. Trzy kąpiele z ekstraktu bobrowego. Kupcie sobie sami masć. Dla mnie nic... Namyślcie się do pojutra...

Nakreślił znowu znak krzyża świętego i znikł, zanim zdołaliśmy się zdobyć na odpowiedź.

* * *

Zastałem matkę w moim pokoiku. Głowę wtuiliła w rozłożone na stole ręce i płakała. Zoczywszy mnie zerwała się energicznie.

— Skąd wezmę sześćset reńskich, skąd? Słuchaj, Michasiu, sprzedam suknie, futro, całe srebro i kolczyki. Zajmij się tem... Ale i tak nie starczy. Boże! skąd wezmę?...

Patrzałem na matkę uważnie, pytająco. Nie przypuszczałem, żeby do innych klęsk dołączyła się już zupełna ruina majątkowa. Wiedziałem, że matka ma nie wiele, lecz przypuszczałem, że to nie wiele wystarczy na przyzwoite utrzymanie domu i na zapas w czarnej chwili.

Ból ścisnął mi gardło i dopiero po dłuższej chwili ująłem rękę matki.

— Moja biedna, moja jedyna... Zapomnijmy o tem...

— Zapomnijmy... Trzysta uzbieram, lecz re-sztę... Słuchaj, ojciec odbierze w tych dniach więk-szą sumę za kuratorstwo nad Filipowskim. Uzbie-rało się z czterech lat. Pomów z nim...

Jeszcze matka nie dopowiedziała tych słów, gdy zjawił się ojciec z flaszką w jednej, z szklanką w drugiej ręce...

— Powiadam wam, kolosalny pomysł!... Wyobraźcie sobie, moi drodzy, jak ta Galicya jest za-cofaną. Istnieje źródło, «Burkut», zawierające py-szne części mineralne. Woda chłodzi i lekko mu-suje. Trunek zdrowotny, doskonały. Nikt tego źródła nie zna. Odkryłem przypadkiem flaszkę w nędznym handelku. Import «Burkuta» wyprze-u nas Giesshueblera. Zamierzam ofiarować pomysł pewnemu kapitaliście.

Nalał do szklanki trochę wody i podał mi ją.

— Dziękuję.

— Nie chcesz, to sam wypiję. Powiadam nektar, ósmy cud stworzenia. A jakże tam Komarowski?

— Zalecił trzy kąpiele po dwieście reńskich.

— To fuszer! Gdzie się taki chłop na czem rozumie. Jemu marchew skrobać, nie udawać leka-rza. Nie mówcie nawet o tem Janowi.

— Przecie go ojciec sam polecił.

— Polecił nie polecił, wytocz mi proces. Narzucał się, że chorą chce obejrzeć, więc go się pozbyłem.

— Wierzę, lecz może mu się uda. Daj ojciec tę sumkę z kuratoryi nad Filipowskim.

I wyciągnąłem przed siebie dłonie, spoglądając mu w oczy.

— Daj ojcie, zmituj się i daj...

On stał niemy, prawie skamieniały, aż mu krew zbiegła z twarzy.

— Nic nie mam dla oszustów!

Matka stanęła pomiędzy nami. Oczy jej pały, trzęsła się cała febrycznie i złowrogo na ojca pa-trzała.

— Ty!... Ty!...

Nie mogła się zdobyć na więcej. Wtem wpadła, jak strzała, Jagusia.

— Paniuńciu, paniczu!

Łkała i obcierała fartuchem powieki.

— Co się stało? — zawołaliśmy równocześnie i zmierzylśmy ku drzwiom.

Jagusia odjęła fartuch od twarzy i wówczas dostrześliśmy, że na tej twarzy była jakaś prosta i bezgraniczna radość.

— Panienska, Bronia, cokolwiek owidziała...

Pobiegliśmy jak szaleni, do sąsiedniego pokoju.

— Broniu, moja droga Broniu!

— Mamusiu, zdaje mi się, że światło spływa mi do żrenic. Takie niewyraźne, szare, skape. Ach!

jeszcze jeden promyk. Przesuń mi przed oczyma palec.

Matka kilkakrotnie zakresliła w powietrzu wahadłowy ruch palcem.

— Widzę, miga się, ale odrazu uchwycić nie mogę. To tak, jakby krążek dymu cygarowego przesunął się i zginął. Nachyl mamó głowę. Aa... nie rozeznaję rysów, ale...

— Ale co dziecino?

— Przeczuję, że je wkrótce rozpoznam.

Po kilku dniach prosiła matkę:

— Usiądź przy mnie i nie ruszaj się.

Matka siedziała bezwładnie i patrzyła w nią bez przerwy. A jej szeroko otwarte źrenice spoczywały na matce jakieś jasne i wesołe. Szedł z nich blask niezwykły i cicha, bezgraniczna rzewność. Nic nie mówiła, jakby była zamodlona i oderwana już od ziemi. Matka zaś, widząc ją taką niezwykle uroczystą, pomyślała sobie:

— To rezygnacja męki...

I łzy polały się duże po jej twarzy.

— Mamusiu, nie płacz...

— A skąd wiesz, że płaczę?

— Bo widzę...

Matka gwałtownie nad nią się nachyliła.

— Rany Boskie! dziecko, nie żartuj!

— Nie żartuję... zostań tak jeszcze, abym się mogła napatrzyć.

Matka stała nawpół zgięta, nie mogła od niej

wzroku oderwać. A gdy się już zmęczyła, całowała ją chciwie po źrenicach, czole i ustach. Potem się wyprostowała i chmura podejrzenia przemknęła po jej skroniach. Przystąpiła do komódki i wzięła fotografię.

— Poznajesz, Broniu?...

— Antosia...

Odniosła fotografię i wróciła z drugą.

— A to?

— Ludzia. Kiedy mamusiu Ludzia mnie odwiedzi?

— Zaraz, kiedy chcesz, dziecino.

Matka rzuciła się na nią i znowu ją ścisnęła i płakała z radości.

— Wszystko będzie dobrze! Bogu dzięki, Bogu chwała!

Ale Bronia leżała jakoś martwo i nie cieszyła się.

— Czegoś zaszępiła, ty duszo moja?

Milczała uporczywie.

— Może ci słabo? Może posłać po doktora?

Otworzyła usta niedbale, leniwie.

— Nie, mamusiu, tylko mnie to światło drażni, kłuje. Zdaje mi się, że wielka, burzliwa kaskada słonecznych blasków spada z wysoka i uderza z ogromnym rozmachem w moje źrenice. Nie mogę żaru powstrzymać... On spływa tak silną falą, że mi mąci do reszty zmysły.

Przysłoniłem w trzech czwartych częściach okno, skutkiem czego półmrok zapanował w pokoju.

— Michasiu, mój drogi, dziękuję.

Oglądała mnie jak mogła wymęczonemi i uzdrowionemi oczami.

— Jakiś ty biedny, mizerny. Chodź, pocałuj mnie.

Zrazu sam czułem, że jej się trudno oswoić z światłem, z dniem i wrażeniami. Popadła nawet w stan wielkiego rozdrażnienia i wizjonerstwa. O zmierzchu zaczęła na jawie majaczyć. Utrzymywała, że szafa ustawiona w narożniku pokoju jest czarną bryłą, zwisającą w powietrzu, która lada chwila na nią runie. Prosiła bardzo, żeby niebezpieczeństwo oddalić, bo chce jeszcze żyć. A gdyśmy ją zapewniali, że to przywidzenie, krzyczała gniewnie:

— Ratujcie, leci! Chcecie mnie zabić...

Następnie zdawało jej się, że Chrystus z obrazu spływa ku niej powietrzną falą.

— To On, On...

Zaczęła odmawiać «Ojcze nasz» i zasnęła. Sen miała niespokojny, zaludniony tłumem widziadeł. Mówiła głośno o czarnej pani, potem wspominała o różnych koleżankach z kursów robót ręcznych. Z piersi jej i czoła buchała gorączka. Nazajutrz była zupełnie osłabiona. Nie żądała niczego, nie przyjmowała nawet pokarmów. Dopiero po kilku dniach prosiła, aby do połowy podniesiono zasłonę na oknie. Światło jej nie raziło, owszem im więcej go było, tem prędzej się ożywiła. Chciała,

abym jej podsunął pod oczy książkę. Wziąłem «Margiera» Syrokomli. Otworzyłem na chybił trafił. Wyteżyła źrenice i czytała:

«Bo w słowach macierzystych jest urok nielada,
Wróg zawsze nas rozbroi, gdy niemi zagada...»

Zrazu szło recytowanie trudno, powoli, prawie sylabizowała, w końcu jednak wymawiała wiersze gładko, chociaż słabym głosem.

— Już dosyć! Michasiu.

Natarczywie domagała się, abym ją dłońmi na jej ustach położył i zaczęła ją chciwie całować.

To samo musiała uczynić matka. A gdy już wargi miała zmęczone, rzekła z niezwykłym rozdrażnieniem:

— Teraz jestem waszą, całą waszą...

Wszedł wuj Jan.

— Jakżeż dzisiaj, lepiej, prawda?

— Mnie lepiej, ale wujowi pot spływa...

Potarł machinalnie czoło i wgłębił się w jej oczy. Nic nie powiedział, tylko odwrócił się twarzą do okna i milczał uporczywie. Potem podszedł do szafy i bębnił kilka sekund palcami w drzwi. Wreszcie założył poły surduta na skrzyżowanych w tyle dłoniach i przebiegał pokój. Gdy mu się niecierpliwe bieganie uprzykrzyło, przystanął nad łóżkiem. Wydobył z surduta papierowy manekin, który nosił zawsze dla uspokojenia chorych dzieci

i pociągnął za sznurek. Pajac wystawiał język, wywracał oczami, podrzucał pod biodra kolana i rękami trzepotał w powietrzu. Wuj mruczał pod nosem:

«Jedź, rycerzu, po pacierzu, w ojców kraj...»

Bronia zaś dokończyła:

«A ty, wuju, mu na drogę plastra daj...»

I było śmiechu i radości bez miary. Matka, oszołomiona, chodziła do każdego z osobna i za pewniała:

— Żadne mocy już mi jej nie wydrą...

Każdy dzień istotnie przynosił chorej nowe brzaski: powolne, lecz stopniowe polepszenie. Zaczęła poruszać kończynami palców i prosić o rozciąganie ramion. Niebawem ujmowała krążek w dłoń i ścisłała go silnie. Ciągłe się też dopraszała to mnie, to matki, abyśmy jej pozwolili uszczypać się lub mocować na ręce. Naturalnie te biedne jej pośłółki dłonie chwiały się jeszcze niepewne u sztywnych, nieruchomych ramion. Kiedy pierwszy raz po długim czasie mogła je podnieść w górę, przygarnęła matkę do piersi i nie chciała jej puścić:

— Moja droga, moja jedyna mamusiul...

Potem przyszła kolej na mnie. Teraz dopiero przypomniawszy sobie, że byłem zagranicą.

— Więc przyjechałeś dla mnie?...

I uściśnęła mnie jeszcze goręcej. Następnie

przeniosła spojrzenie na matkę i oczami wabiła ją ku sobie...

— Uratowałaś te oczy i ramiona!

Powtarzało się to kilka razy na dzień, zawsze wśród nowych wybuchów płaczu, radości, wykrzyków wdzięczności.

Pewnego dnia rzekła:

— Odleżałam się już cała. Posadźcie mnie na krześle.

Ułożyliśmy ją na zasłanym chustami fotelu. Nogi miała zupełnie martwe, bez życia. Żądała, aby je przysłonięto, gdyż się wstydziła kalectwa. Codziennie zjawiali się znajomi z zapytaniem o zdrowie. Domagała się, aby każdego dopuszczano.

— To mojej mamusi i temu tam braciszskowi zawdzięczam, — zapewniała gości, wskazując na mnie palcem.

Wpadła i Ludka. Opowiadała jednym tchem. Słowa toczyły się wartko, porywczo, namiętne. Właściwie tak dalece nic nowego nie zaszło. Na kurs haftu zapisało się trzydzieści uczennic. Sroczyńska wyszła za mąż, Narko zaręczyła się, a Joasia Pawiak wstąpiła na scenę. Gra teraz w nowej sztuce francuskiej małą rolę, lecz nie podoba się. Ludka wie na pewno, że dyrektor teatru nazwał ją «krowięta» i nie wiele sobie po niej obiecuje. Po co jej się było brać do nieswoich rzeczy! W samej klasie nic szczególnego. Pani Maryańska zamecza uczennice. Tak ją już znienawidzono, że

pozłoszczone panienki podają sobie za plecami kamerton, wydobywają z niego ton i rozdrażniają ją do ostateczności. Zdenerwowana, lata po klasie, chcąc odszukać kamerton, lecz głos to tu, to tam się rozlega. Kiedyś oświadczyła, że w razie powtórzenia się podobnie «piszczącej» sceny, lekcye zawiesi. Zresztą nic a nic...

Zaledwie Ludka odeszła, rwała się Bronia do ogrodu. Tłómaczyliśmy jej, że się może przeziębować, że po kilku dniach deszczu wilgoć została w powietrzu i w ziemi, lecz ona odparła z kapysem:

— Muszę się dostać pod niebo, bo mi tu duszno.

Ponieśliśmy ją na krzesło, owiniętą w pledy i chusty. Oddychała przyspieszonym tempem. Oczy jej jaśniały i biegały niespokojnie po drzewach i niekształtnych krzakach bzu. Przystanęliśmy pod altanką. Rozejrzała się nieśmiało, niepewnie wokoło.

— Jesteście tu wszyscy, moi?

— Przecież widzisz, Broniu... — odrzekła matka.

— Tak, ale brak...

— Kogo? dziecko...

— No, wiecie dobrze...

— Ojca?...

— Taak...

— Niema go w domu. Może wróci niedługo.

— Mamusiu, ja pragnę, abyśmy tu wszyscy byli.

Matka spojrzała na mnie znacząco. Oddaliłem się w stronę domu i po chwili sprowadziłem ojca. Zbliżając się do altanki, argumentował:

— Trudno, abym jak kura na jajach siedział w pokoju. Gdyby nie ja, co by było. Strach, co się dzieje na tym świecie! Dzień dobry!... Toś mi się spisała, Broniu! Ja zaraz mówiłem, że niema gwałtu. Hetka pętelka...

Bronia dostrzegłszy, że stoi, wskazała mu ławkę.

— Niech tata usiądzie, proszę bardzo.

Rozglądnęła się raz, drugi, zgarnęła włosy i westchnęła:

— Jak mi dobrze! jak mi dobrze!

Ujęła dłoń matki i pokryła ją własnymi dłońmi.

— Wiecie, co to odzyskać wszystkich, gdy się wszystkich traci? Gdym dogorywała i światło straciła, codziennie żegnałam się z wami w duszy. Snuły mi się wówczas ustawicznie utrapione myśli: co się stanie z mamą, co z Michasiem? Jak długo wy żyć będziecie, co was czeka w przyszłości... czy słońce szczęścia zaświeci wam? Teraz zostaniemy razem... na zawsze.

Uwilem bukiecik róż i złożyłem go na jej kolanach.

— Jak tu szeroko, jak wietrzno!

Zastanowiła się chwilę i rzekła do matki:

— Gdyby tak jechać w góry na wieś!... Pragnę dużej przestrzeni, wielkiego nieba...

Matka odrzekła zakłopotana:

— Pożadasz, dziecko niemożliwości. To na rok przyszły... Teraz wuj nie pozwoli.

— Pozwoli, pozwoli, zobaczysz mamusiu...

— Zobaczysz, że nie...

Mrok spadał na ziemię i rzucał cień na drzewa. Liście ich szumiały, drżały... Ponieśliśmy ją na krześle znowu do pokoju. Wskazała na oleandry przy oknie. Jeden z nich już usechł prawie, na pnączku zaś drugiego rozwijały się nowe pręty i puszczały się młode listki.

— To symbol twej przyszłości, — zauważyłem.

— Tak, masz słuszność, mój kochany...

* * *

Bawiliśmy od tygodnia na wsi. Łąki były białym gniazdkiem, zawieszonym na zielonych wzniesieniach górskich. Niebo nad wierzchami, smutek przysiołka na ziemi, a z boku bezmiar falujących wyniosłości karpackich. Nad niemi królowały na horyzoncie Tatry, jakby gęsta mgła, płynąca w dalekie światy. Wszereż i wzdłuż dużo powietrza, zieleni i majestatycznej ciszy gór. Do Łąk sprowadziła nas pani Amalia Łucka, serdeczna przyjaciółka naszego domu. Dowiedziawszy się, że szukamy na kilka tygodni letniego pomieszkania, sama przyjechała i zaczęła nalegać:

— A jakie mamy tam rozkosze!... Powietrze, to zefir... Wokoło raj przyrody i spokój cmenta-

rzy... Jest tam Felcia Tarszo i Włodek Kulisz, a goście zapowiadają się codziennie. Broni będzie wesoło do syta. Dworek bieluchny na szczycie góry, prawdziwa cacanka, pudełeczko. Miejsca, ile chcecie.

Upłynęło jeszcze kilka dni na sprawianiu różnych drobiazgów. Ciężko było z tą drogą... Musieliśmy Bronię wynosić z poczekalni kolejowej do wagonu wśród tłumu gapiących się osób. Zakrytą była po szyję chustami, a na głowie miała lekki słomiany kapelusz. Domykała wstydliwie powieki i szeptała nerwowo:

— Jak oni mnie oglądają!... kalectwo, nędzne kalectwo...

To samo powtórzyło się, gdyśmy ją z wagonu kolejowego przenosili do przygotowanego powozu. Oglądała się trwożliwie naokół i przypatrywała górom i rozrzuconym u ich stóp łąkom.

— Nowy świat... Tu chyba lepiej umierać, niż gdzieindziej...

Obruszyła się na nią matka i strofowała za niepotrzebne myśli żałobne, lecz ona matkę objęła ramionami i przycisnęła do siebie:

— Tak mi dobrze jechać z wami.

Konie pięły się pobrużdżoną drożyną coraz wyżej, coraz wyżej, coraz wyżej. Z jednej i drugiej jej strony rozstaczały się ścierniem już i gęstemi ostami pokryte pola, na które ponabijano kopice zżętego zboża. Tu i owdzie ciemno-szafirowe

piargi karpackie, porozrzucane w nieładzie, staczały się ku drożynie. Chora się otrząsała co chwila i dotkliwie męczyła. Nareszcie stanęliśmy przed wrotami bieluchnego, bardzo skromnego dworku. Wybiegła pani Łucka, Felcia Tarszo i Władek Kulisz. Krzyknęli prawie równocześnie:

— Witajcie nam, witajcie...

Za nimi wypadła z izby Mitka, córka pani Amalii, przepasana fartuchem, z widelcem w ręce. Rzucała się na Bronię gwałtownie, porywczco, objęła ją całą i całowała to po czole, to po oczach, to po ustach.

A kiedy ją już puściła, odskoczyła machinalnie nieco na bok i lży jej załśniły na rzęsach. Obtarła je szybko dłonią i chichotała ogromnie szczebiotliwie:

— To cię mamy, ty, ty, udawaczko...

— Udawaczka, udawaczka! — powtórzyli wszyscy hałaśliwie i nagle zamilkli. Patrzyli na nią niemi i smutni i jakby przerażeni.

— Czego wy mnie tak badacie? — zapytała cicho.

— Nie!... Nie!... ot, bośmy się dość dawno nie widzieli.

Ale rozmowa nie szła już jakoś.

Izdebki nasze zastaliśmy w największym ładzie. Pani Amalia nie zapomniała o niczem. Były doniczki na malutkich, owitych gałązkami dzikiego winogrodu okienkach; były filigranki na stolikach

i książki na półeczkach. Ze szklanek wychylały się pstrokate bukieciki polnego kwiecia. Łóżko nawet zaścielone, śnieżne, czekało na Bronię. Zoczywszy ten szczegół, potrząsnęła główką:

— O nie, będę tam z nimi...

Pędziliśmy żywot prawdziwie patryarchalny. Początkowo siadywała Bronia tylko na werendzie, z której rozciągał się widok na rozpiętrzoną wokół panoramę.

Przy niej skupialiśmy się wszyscy i gawędzili o różnych życiowych powszednościach. Pewnego dnia postanowiła pani Łucka urządzić wycieczkę na szczyt pobliskiej góry. W perspektywie zdawało się, że góra jest tuż pod samym dworkiem, w istocie trzeba się było na nią pięć przeszło pół godziny. Pani Łucka z początku wahała się i bała, bo sama była bardzo nerwową i zupełnie osłabioną, w końcu jednak zdecydowała:

— Muszę spróbować dalszego spaceru... Nie możemy tu siedzieć jak w areszcie.

— I mnie paniusia zabierze z sobą!... — dodała Bronia.

Matka wraz ze mną odezwała się równocześnie:

— Teraz niepodobna, zostaniemy z tobą, potem może...

— Wiem, że jestem kaleką i o własnej sile ruszać się nie mogę, ale choć do stóp góry powieźcie mnie na wózku.

Pani Łucka wytłómaczyła matce, że nie ma powodu opierać się, więc matka zgodziła się. Około czwartej popołudniu wyruszyliśmy z domu. Mitka prowadziła pod ramię Fełę, Kulisz popychał wózek Broni, za nimi szła matka z panią Łucką, a wreszcie Jagusia. Kiedyśmy znaleźli się u stóp góry, oświadczyła pani Łucka:

— Chyba się nie rozdzielimy. Jeżeli już dalej nie można, zostaniemy z Bronią.

Lecz Bronia prosiła:

— Tam pod górą, gdzie krzyż stoi, ścieżyna dobra; powieście mnie wyżej...

Ruszyliśmy zatem ponownie. Zatrzymaliśmy się dopiero pod krzyżem, ustawionym na pamiątkę mordu tu popełnionego w r. 1846, jak wskazywał napis na blaszanej tabliczce. Miejscowy proboszcz schronił się w te strony przed cepami rozjuszonego chłopstwa i padł ofiarą zgrai, chociaż się zasłaniał monstrancją. Naokół, rozległy był widnokrąg i ogromne góry. Tuż, tuż siniąły wyraźnie nakreślone kontury Tatr, poszarpane, groźne. Małe i większe wierzchy pod nami i nad nami falowały, ścigały się wzajemnie. Wszystkie kolory tęczy spoczęły na nich i mieniły się w blaskach łagodnego słońca. Najniżej leżały Łąki, podobne do stada bieluchnych gołębi, które wtuliły główki pod skrzydła i zasnęły. Cisza wielka wisiała w przestworzu i płynęła po powietrzu. Szumiały tuż na pobliskich stokach bory, bo wietrzyk słaby padał

na ich czuby, ale szum w tym bezmiarze był szmerem skrzydeł majowego chrabąszcza. I my byliśmy martwi i niemi na chwilę, jak ta otaczająca nas przyroda.

Milczenie przerwała Bronia wykrzykiem:

— Boże! Boże! jak mi tu dobrze i strasznie zarazem...

Zakryła twarz dłońmi i znowu ją odsłoniła, a wraz z nią załzawione oczy.

— Broniu, co tobie? — zapytała z przerażeniem matka.

Zebraliśmy się koło jej wózka.

— Ależ nic, zupełnie nic, chwilowe wrażenie...

Kulisz odciągnął na bok panią Łucką i szepnął jej do ucha:

— Widziała pani, jakie ma oczy dzikie, chmurne... twarz się też zmieniła...

Pani Łucka, idąc za głosem swej artystycznej i wrażliwej natury, odpowiedziała z otuchą:

— Pewnie oddziaływała na nią ta wspaniała panorama.

Wszyscy też uspokoili się i usiedli na ziemi, dla spoczynku.

Władkowi Kuliszowi ciągle przypominała się ulubiona gra w domino, więc rzekł z poetycznym patosem:

— Gdyby te wszystkie pola były dominami! Fełę oburzyło do żywego, że Kulisz profanuje cudowną przyrodę. Zarumieniła się z podniecenia i pogroziła mu palcem.

— Pan taki zwykły cynik i marny filister.

Potem wyciągnęła przed siebie dłonie i oczy wzniosła do nieba.

— Jakżeż rozwichrzone te obłoki!... Płyną rozzartą, błękitną falą za tatrzański horyzont. Popatrzcie się!... Na skraju, na lewo od nas, utworzył się wspaniały sarkofag... Gdzieś widziałam zupełnie podobny...

Zaczęła myśleć i trzeć czoło.

— Istotnie, Felu, — odezwała się pani Łucka — tak wygląda pomnik Kazimierza Wielkiego lub Jagiellończyka na Wawelu.

Fela się rozradowała i klasnęła w dłonie.

— Prawda! prawda! Jak majestatycznie przesuwają się po błękicie... Rozpoznać można szczegóły. Jest korona królewska i berło i długie szaty... U nóg duży uśpiony orzeł...

Obłok mknął, rozlewał się, tracił kształty i znikł, utonął w ogromnym, jasnym szlaku, zawieszonym nad naszymi głowami...

Bronia patrzyła z niemym zachwytem na zjawisko, a kiedy ono przemknęło jak senne marzenie, pochyliła smutnie głowę na piersi.

Matka ujęła ją za dłoń i zapytała:

— Dlaczego nie cieszysz się z nami? Dlaczego nic nie mówisz?

Musiały nią wstrząsnąć straszne burze i niepokoje, bo z jej oczu szedł żar namiętności i rozpacz zarazem. Dźwignęła się trochę na wózku,

przechyliła biedną, zmizerowaną głowę i wychudłe ręce oparła na kolanach.

— Dlaczego się nie cieszę?... Chwilami zdaje mi się, że wróciła do was po to, aby wkrótce odejść... Uciekłam z innego prawie świata, ale boję się, że mnie odwołają. Czarny anioł nie odstępował mnie ani na sekundę... Wyście widzieli na niebie majestat króla, a ja z tych samych obłoków wytworzyłam sobie inną zupełnie postać... Ta myśl przytłacza mnie, zabija, dogryza... Odbierzcie mi tę myśl, tę grobową myśl...

Sposępniliśmy, ośłupieli, a Mitka i Fela odeszły na bok, aby stłumić płacz. Moja matka zaś złożyła ręce, jak do modlitwy i prosiła:

— Przestań Broniu, przestań kochana...

— Ależ ja mateczko tak mówię, bo was nad życie lubię. Jak się cieszyłam słońcem po odzyskaniu wzroku, tak się cieszę wami drogimi... odnalazłam moje skarby, choć droga do ich odszukania była mroczną i pełną cierpień. Tak mi z wami dobrze, serdecznie... Ile razy widzę przyrodę, lęk mój potęguje się bezmiernie...

— Przecież, dzięki Bogu, zdrową jesteś Broniu, — rzekła pani Łucka. — Nie myśl o przeszłości.

A matka dodała:

— I nie zabijaj mnie i siebie niepotrzebnymi wspomnieniami. Gdyby się chciało pamiętać o tem, co było, odechciałoby się wierzyć w to, co będzie...

— Już wiem, co będzie, mamusiu... W najlepszym razie te nogi skostniałe nie odzyskają władzy... Muszę ciągnąć kalectwo, jak cień własny za sobą...

Mitka i Fela przypadły do Broni i tuliły się do niej jak dwie młode łasiczki.

— Nie wyrządzaj nam przykrości,... nie smuć nas...

Ona objęła je drżącymi ramionami i dziwnie uroczyście powiedziała:

— Przed wami wszystko otworem... Możecie zdobywać sobie wiedzę, działać i rzucać się na bystry prąd życia... Ja siły straciłam, zanim zaczęłam się pięć pod stromą górę doczesnej rzeczywistości... Nic więcej nie mogę zyskać prócz własnej niemocy. Wiem, że są ideały, o których tylko śnić mi będzie wolno,... nic więcej... I dlaczego?... Wiecznie być i zostać rośliną usychającą w cieplarni życia...

Opanował ją spazmatyczny, gwałtowny dreszcz nerwowy. Twarz miała siną, oczy błędne. Matka dała znak Jagusi. Wózek posunął się zwolna ku dołowi, a my za nim, jak zgębiony orszak żałobny. Bronia siedziała martwo, obojętnie, tylko palcami poruszała z błyskawiczną szybkością. Zanim wjechaliśmy do dworku, obróciła się za siebie i ogarnęła wzrokiem widnokrąg. W izdebce prosiła, aby jej łóżko zasłano. Ułożyliśmy ją na pościeli, a ja wraz z matką pozostałam na straży.

Pociła się, bladła, rumienila naprzemian i od czasu do czasu tak zaciskała zęby, że zgrzytała. Palce wpijała silnie w kołdrę, aż ją w liczne pobruździła fałdy. Powieki zasunęła na żrenice i rozchyłonymi ustami wyrzucała niezrozumiałe pótszepty. W nocy wystąpiła gorączka i dreszcze. Majaczyła dużo o czarnym aniele i znowu o Chrystusie stąpającym po falach. Wczesnym rankiem zbudziła się, niezupełnie przytomna. Kiedy jej pani Łucka podawała mleko, krzyknęła, że nie chce trucizny. Położyłem jej zimny kompres na czole i nie pozwoliłem nikomu zbliżyć się do łóżka. Spokój oddziaływał na nią widocznie dobroczynnie, bo po pewnym czasie sama zażądała wody.

— Dam ci mleka trochę, Broniu.

Gdym jej podawał szklankę, nie podniosła rąk.

— Masz, Broniu, napij się...

— Nie mogę ruszyć dłońmi...

W tej chwili szklanka mi upadła na ziemię i rozprysnęła się w drobne kawałki. Równocześnie matka strasznie krzyknęła i runęła na podłogę. Pani Łucka wraz z Kuliszem i Felą wynieśli ją do sąsiedniego pokoju. Ja zaś stałem przytomnie nad chorą i troskliwie badałem:

— Jakto, nie możesz podnieść rąk?...

Ona nic nie odpowiadała, tylko ruszała nieznaście samymi dłońmi, jakby chciała pokazać, że one zachowały resztki życia. Szło jej to widocz-

nie opornie, bo aż wargi zaciskała z żalu. Wyraz twarzy tak samo miała przekrzywiony i apatyczny, jak w czasie pierwszego, najgorszego okresu choroby. Zadepeszowałem natychmiast do wuja. Przyjechał nazajutrz w południe. Zbadał puls, przyłożył stetoskop do serca, a potem, zwyczajem swoim, chodził po pokoju, zarzuciwszy poły surduta na skrzyżowane w tyle ręce.

— Cóż? drogi wuju...

— Nic.

Nie chciał więcej mówić.

Zbliżyłem się do niego po chwili.

— Kiedy wuj zamierza jechać, bo muszę się wystarać o konie.

— Daj mi święty spokój z końmi, zostanę tu...

Dzień płynął po dniu wśród cmentarnej ciszy. Przy matce czuwała Fela z Micią, przy Broni ja z panią Łucką i wujem. Chora popadała ustawicznie w senność. Była zupełnie bierną, obojętną. Nie żądała niczego, nie dopytywała się o nikogo, pokarmów nie chciała wcale przyjmować. Musiałem łyżkę bulionu wciskać jej przemocą przez zęby; ale i to się nie na wiele przydawało, bo nie połykała płynu. Wiedła, ginęła z każdą chwilą. Twarz miała bledszą od płótna i męczeństwem namaszczoneą. Ile razy skrzypnęły drzwi i w pokoju zjawiła się łysa głowa wuja, wołała konwulsyjnie:

— Nie chcę... nie puścić...

I dopiero przekonawszy się, że to wuj, milkła znowu i martwo patrzała w pułap.

Po dziesięciu dniach, od czasu położenia się do łóżka, domagała się spowiedzi. Przyszedł ksiądz z Panem Bogiem i dysponował ją na ostatnią drogę. Po odejściu kapłana była bardzo pogodna, prawie uśmiechnięta. Anielska dobroć i cierpliwość wychylały się z jej zamglonych nieco źrenic.

— Matki, na chwilę matki,... — szepnęła.

Wprowadziłem osłabioną, ledwie trzymającą się na nogach matkę.

— Daj usta mamu,... — mówiła drżącym głosem.

Całowała ją lekko, ledwie swoje wargi do warg matki przykładając.

— Teraz ręce...

A kiedy i ręce jej zasypała pocałunkami, prosiła cicho:

— Jeszcze włosy...

Musnęła zaledwie włosy i donośniejszym, już stanowczym tonem rzekła:

— Wyprowadź teraz mamę, Michasiu.

Wuj Jan trzymał chorą za puls i zwrócił się do mnie:

— Zaraz będzie koniec... Życie gwałtem ucieka.

W tej chwili rozległ się głos dzwonka z wieżyczki pobliskiego modrzewiowego kościółka. Ton płynął równo, miarowo po fali czystego powietrza nad przestworzem gór, nad cichem, w blaskach

południowego słońca, skapanem siołem. Nadśłuchiwała, łowiła resztkami konającej przytomności te ostatnie z ziemi tony. Zwróciła jeszcze raz wskos oczy i ujrzała rysujące się na tle okna kontury nieba i zielonych stoków. Anielskość i słodycz promieniały z jej twarzy.

— Podnieś mi, Michasiu, głowę i daj kroplę wody.

Zwilżyłem jej wargi.

— Dziękuję... Bóg z tobą...

I przegięła się jej głowa w tył na mojem ramieniu i zrazu oblała ją mgła żółtawa, która stopniowo jednak zamieniała się w marmurową białość. Piersi już nie podnosiła, chociaż miała szeroko otwarte oczy.

— Ona nie cierpi więcej i nic nie czuje, — rzekł grobowym głosem wuj.

Porwałem butelkę wina i chciałem niem potrzebować skronie Broni. Wuj mnie ujął silnie za ramię.

— Nie pozwolę, dość się męczyła...

Pochyliłem się nad łóżkiem:

Leżała sztywna, kamienna, taka bieluchna i spokojna, jak kararyjski posąg. Żrenice tylko miała odślonięte i przechylone ku skroniom.

— Dlaczego, wuju, powiek nie domyka?

Wuj zamknął jej powieki, a ja dopiero wtenczas zrozumiałem, że stoję obok majestatu śmierci.

Nie przypominam sobie doprawdy, co się działo przez trzy dni następne. To tylko wiem, że ją za-

wleczono do trumny, której wieko sam zamknąłem. Potem szliśmy przez boczną drożynę wiejską i mały mostek, rzucony ponad rzeczką, opasującą cmentarz. Włożyli ją do mogiły, wykopanej między grobami wieśniaczymi, na wieczne odpoczywanie. Pozostała przy niej płaczka brzoza i kilka naście nieśmiertelników.

W najbliższą wiosnę po pogrzebie zasadziłem na grobie przywiezioną z domu odrodzoną gałąź oleandru.

Gdym w lecie przyjechał pomodlić się na cmentarzu, pozostała z niej tylko sucha, pomarszczona tyczka.

Semen Bojczuk leżał na wyrębie koło lasu; podnosił od czasu do czasu połowę ciała, przykładając dwa palce do ust i przeciągle świstał:

— Leśka, *siuda!* Kotiucha, *siuda!*...

Rżały mu w odzew dwa mizerne koniska hucała Dmytra Petraszczuka, spracowane całodziennym odwożeniem drzewa sągowego z kamery na dworzec kolejowy. Ich boki, przed godziną jeszcze luźne, zapadłe, wypełniły się pełną, tłustą paszą. Prychała Leśka, prychała Kotiucha z zadowolenia, rozdymając wilgotne od rosy nocej nozdrza.

Semen złożył głowę na splecione w tył dłonie.

Nad Jaremczem, Bachrowcem, Jamną, Dorą i nad bożym światem wisiała noc łagodna, rozwiewna, snująca srebrne promienie z przędzy gwiazd. Świerki, sosny i rzadkie buki szemrały, łopotały się wśród granatowej pomroki, — śląc na równinę żywiczne zapachy. Sianokos ściętych, sierpniowych traw, przepajał powietrze ziołową, sycącą wonią. Spokój rozsiadł się na górach i na dole. Od ja-

remczańskiego sioła szedł pogwar tysiąca potężnych, rozhukanych tonów. Dudniały w nim dzikie echa i wściekłe huki spadów wodnych, — dudniało rozjuszenie i siła i gwałt.

Prut czuwał sam jeden zawsze, wiecznie, — zgarniając w swoje namiętne, szorstkie uściski księżycowe odbicie.

Semen Bojczuk nie mógł zasnąć. Tydzień już był w Jeremczu — a zdawało mu się, że całe wieki.

— Trzeba iść dalej! — zamruczał. Leśka, Kottiucha *siuda!*

Koniska się rozwłóczyły za paszą z wyrębu ku kresom lasowym.

Bojczuk dzwignął się z skrzepłego ugoru, aby nanieć ognisko. Narzucił suchych gałęzi, podpalił i głowę wędził nad czadem.

Za dwa tygodnie musiał stanąć w rodzinnej wiosce Bortnikach, koło Tłumacza. Przypadała właśnie jedenasta rocznica śmierci jego matki, a Semen uważał rocznicę za dzień święty. Cekał Semen na tę wielką chwilę, — jak czekają jaskółki na tchnienie wiosny. Już mu nad Prutem zbrzydły smereki i zbrzydły mizerne, spieczone zboża i zbrzydły niedbałe, huculskie cmentarzyska i zbrzydły bardzo żaloszne, — jak on sam limby.

Rzeka warczała, gulgotała, wilgotne rzucała naokół oddechy... Od doliny płynęły zgłuszone jęki, rzewne, bezdźwięczne, nierytmiczne, — podobne do głosu pastuszego rogu lub zbłąkanego

za skałami echa. Jęk się słabo, powoli rozchodził i kładł na czystym powietrzu nocy. Szedł ten dźwięk sam jeden na góry okoliczne, na Drepkę, na Syneczkę, na Sokołowy Lot, na Jawornik i wieszał się na lasach i obścadył szare skały piaskowca, potem biegł do Prutu, by w nim utonąć.

To Nikoła Josepczuk grał przed swą zagrodą na nieskończenie długiej, blaszanej «trubie», śląc w nią cały oddech.

Kozak jide w Ukrainiu na woronim kony...

Semen Bojczuk zamruczał pod nosem pierwsze strofki piosnki, — jakby pragnął odpędzić od siebie natrętny odgłos trąby Josepczuka.

— Ej! Semenie, Semenie i ty pójdziesz do swoich,... — pocieszał się w duszy.

Usiadł tuż koło ogniska, grzejąc nad niem brudne, zczerniałe nogi.

Tam, niedaleko Tłumacza, leżą Bortniki senne, mizerna, ruska wioszczyna, z chudemi sadybami, z ubogimi ruskimi mogiłami. W Bortnikach miała matuś Semenę ze trzynaście morgów plennego pola i pasiekę i oborę i studnię z dużym wiadrem. Siadał na niej bocian psotnik ze złamanym skrzydłem, biedaczysko, wiejska kaleka. A Semen go lubił i żywił i bawił się nim, gwarząc z współczuciem:

— *Szczo bidujesz?...*

Biedował nieborak, oj, biedował!...

A mateńka niczego od Semenę nie żądała,

więc mógł biegać bez końca, swobodnie, swywolnie, tarzać się na drodze i wylegiwać w ogrodzie pod gruszą. A dobrze mu z tem było, bo nucił tylko piosenki od rana do wieczora, nucił na świtanie, na zmierzchu i na noc. Dusza jego była tak rozśpiewana, jak rozśpiewana była cerkiewka na świątecznej służbie, lub skowronek na zbożowym łanie. Śmiały się do niego bortnickie duże grusze, śmiały jabłka papieżnice, rozczzerwienione wiśnie i koralowe jarzębiny. Chwiał się do niego łan pszeniczny i nadskakiwały mu wróble szare, spruwając zbutwiałe wiechy z poszycia chałupy. To mu też żadne na ziemi owoce nie smakowały po bortnickich, ani żadne ćwierkania ptaszące nie podobaly się. Rozległ się w cerkiewce dzwonek: dzin-dzi-lin, dzin-dzi-lin, — już Semenek mu wtórował zawzięcie. I on dzwonił i dzwonek...

Było wszystko dobrze, słonecznie, — bez końca radośnie i słodko.

Raz nad wieczorem ubrano matkę w paradną spódnicę, przykryto prześcieradłem po szyję i zapalono koło ławy, na której leżała, sporą gromnicę. Potem przyszedł Petro Haleniuk, sążnisty chłop, — popatrzał matkę w oczy i w usta:

— Można pochować, — pomała.

Na to Semenowi żyły się ze żrenic puściły, przykre żyły dziecięce, wyplakane przez niemy, dokuźliwy żal. Nagle pociemniały mu bortnickie jabłka i wiśnie i grusze i zboża, — wróbelki zamilkły,

wszędzie widział matkę w szalenowej chuście na głowie, ogromnie żółtą, nic nie mówiącą, taką siną i nieczułą, jak przydrożne kamienie.

Wreszcie ją wyniesiono z jej własnej izby do mogiły, a po niej zaczęła rządy na spadku stryjka Jurczycha Szczurakowa, stara, kłótniwa Rusinka.

— Oj, ta stryjna!...

Semen musiał konie poić, myć statki, nosić wodę.

Stryjnie nie dosyć tego było, chciała się go wyżyć z chudoby.

I oto zadała mu czary: jakieś zielsko w mleku. Gdy wypił nieszczęsny napój, serce mu się ściśnęło i pędziło go precz z wioski.

— Złe mu uroki zadała! — przebąkiwali gospodarze.

Po co miał zostać na wsi? — Kto miał go przyhołubić?

Semen Bojczuk znikł niebawem po Wielkanocy z Bortnik, znikł bez śladu. Gmina zawiadomiła władze rządowe, robiono poszukiwania żandarmami, daremnie...

Aż tu po pięciu latach zjawił się w Bortnikach chłopak w brudnych, rozwianych przez wiatr spodniach, w zgrzebnej, w biodrach przewiązanej rzemieniem koszulinie, odślanającej brązowe, chude, kościste piersi. Jego twarz ciemno-żółtą szpeciły murzyńsko ułożone wargi, grube, mięsiste i nos

niekształtny, wysadzony w górę. Z pod słomianego, podartego kapelusza spływały mu na uszy i szyję niezmiernie czarne, gęste włosy, wciskające się kosmykami w śliczne, duże, jak kir posępne, źrenice.

Stanął przed drzwiami popa i stuknął w nie kijkiem.

— *Śława Isusu Chrystu!...*

— Na wieki wieków!...

— Czego? — zapytał pop.

— Prosiłbym pokornie o służbę za moją matkę: Ołenę Bojczukową.

Pop patrzył przed siebie z niedowierzaniem i przerażeniem.

— Semen, to ty?...

— A ja i *szczo?*

Wyciągnął czerwoną chustę z rzemienia, odpe-
tał węzeł i rzekł:

— Osobno za moją matkę odprawcie służbę w cerkwi, osobno pomódlcie się nad grobem...

Pop wziął pieniądze...

— A gdzie Semenie bywałeś?

— Daleko, za górami!...

Znikł prędko w stronę zakrętu, ku wiejskiemu gościńcowi. Obszedł z boku cichaczem chatę, przesunął się koło pasieki, rozglądając po sadzie. Te same drzewa zaszumiały mu, jakby na powitanie:

— Dzień dobry, Semenie!

Stryjenka popatrzała w oczy chłopcu i krzyknęła przerażona:

— Semen!

— *Śława Bohu!* — odparł z namaszczeniem. — Ja nie chcę waszego panowania. Dajcie mi kąć na przypiecku, prześpię do jutra.

Rozglądając się po izbie niedbale, ociężale, jakby mu w niej duszno i nieswojo było. Nakrył twarz dłońmi i milczał.

Stryjenka pobiegła w lot w sąsiedztwo niespokojna, zmartwiona powrotem dziedzica.

— *Naj bude!* — westchnęła... Mąż mój i tak będzie rządzić, — on jeszcze za młody!...

Po całym siole gruchnęła wiadomość o nagłym powrocie Semeną. Pod wieczór zewsząd przychodzili rusnacy do chałupy, aby się przekonać naocznie o niezwykłym zdarzeniu. Ciżba zrobiła się wielka w izbie i zgiełk, aż zaduch szedł od rozgwarzonego tłumu. Nad wszystkimi górowało słowo:

— *Bih me! woskresenie!* Wskrzesnął Semen!

Semen siedział na ławie, pomrukując i nic nie odpowiadając.

I dając za wygraną, wynosili się gospodarze z obejścia, rozczarowani i zdziwieni. Rankiem jednak zeszli się ludziska, jak mrowie w cerkwi i na cmentarzu na służbie, za duszę starej Bojczukowej. Stał Semen przed tłumem i patrzył na płytko usypane, gliniaste okopisko, obrosłe mchem zielnym i kilku łopianami. Nie było na niem ani znaku, że

tu spoczywają zwłoki. Kładły się tam na wieczne odpoczywanie Prociuki, Ostapczuki, Fryniuki pod gliniastą grudą, nieznani za życia, zapomnieni po śmierci. A na ich grobach rosła blade zaróżowiona koniczyna i rosły fioletowe bodiaki, a pacierze szeleściły trawy, roniąc łzy wieczorną rosą.

Służba się skończyła, pop wrócił do siebie i ludzie do siebie wrócili.

Rozejrzała się stryjna, rozejrzał się stryj Łukien, lecz Semen jak nie było, tak nie było.

— *W imia Otca...*

Przeżegnał się Łukien, przeżegnała stryjna.

— A może to zły duch!... Pomiłuj Boże, nieczysty...

Trzęsło się sioło ze strachu, rusnaki powchodzili wcześniej do chałup, — widma im się plątały przed oczami.

A tymczasem zagonami wśród pól pędził w świat Semen Bojczuk w zgrzebnej, roztwartej na piersi koszuli, przepasanej rzemieniem, przewieszanej kolorową torbą — dziobańką, kryjącą zeschnięty razowiec. Witały go po drodze napełnione sianem obory i pąsowe jarzębiny i smutny lud ruski.

— *Sława Isusu Chrystu!*

— Oj, sława, sława! Pan Jezus dał mu sierocie samotnej siłę, dał wytrwanie i na grób mateńki poprowadził i bodiaki na nim posiał i różne ziele. I gdy już z głodu przymierał, Pan Jezus szedł do pierwszego lepszego rusnaka i rzecze:

— Nakarm Semeną, chłopię, sierotę.

Chłop się kłania po kostki, pada na uświęconą stopą Boga ziemię i szepcze:

— Panie Jezusie drogieńki, rusnak sieroty nie opuści.

A jak mu usta pragnienie spiekło, Pan Jezus szedł do pierwszego lepszego strumyka i rzecze:

— Napój Semeną, chłopię, sierotę.

Strumyk szemrze odświeżnie, falę do stóp Boga rzuca i szepcze:

— Panie Jezusie drogieńki, słońce we mnie ugasiło żary, niech i sierota ugasi.

Tak Semen jak ptaszę leśne, przeżył lata na wietrze, na swobodzie, na bożych łąkach. Słodkoby mu, lekko, promienisto było, jak wiatrowi górskiemu, — cóż kiedy czuł w sobie niepokój i dziwaczne bole.

Przepełniała się prosta dusza jego wielką eks-tazą, nabrzmiewała potężną mocą, której ani ująć, ani opanować nie umiał. Grały w niej chwilami skargi ruskich borów i tony ruskich trub i cerkiewnych pieśni i westchnień spracowanego chłopca. Łała się w jego źrenice i wnętrze wtenczas jasność szczerzota, łała pieśń skrzydlata, roześniona, trzepocząc się na wszystkie strony tęczowemi skrzydłami.

Spodobało się Semenowi w jakim siole, to w nim zostawał. Najmował się wtenczas do gospodarza na wystugę. Cóż kiedy opadała go wnet

nuda, tęsknica i Semen brał swoją torbę, dzio-
bańkę, aby iść dalej, dalej.

O, bo stryjenka tak go zarzekła, że nigdzie
miejsca zagrzeć nie może, że musi się tułać po
świecie, jak żebrak, lub ptak, wygnany z gniazda.

Pobył w siole, dwa, trzy dni, — wnet się za-
czynąca tłuc po jego piersiach duszność i tęsknota
za inną wioszczyną i innymi ludźmi, za innymi
graniem górskimi i inną roztoczą wodną.

— *Do dalekoho kraju!*

Zdawałoby się, że świat zamiera za widomą
okiem niebieską kopułą, że pochodzić kilka dzion-
ków, a zgarnie się do ręki błękity i chmury i obłoki,
ześlizgłe ku kresom ziemi. Gdzie tam! Trzeba iść
i iść bez końca, do omdlenia nóg, do zapadnięcia
powiek.

I powiedział sobie Semen, że każdy robak i ka-
żdy ptak ma dom, — to i on mieć powinien.

Czasem, gdy się z wioski oddalał, płynął za
nim śpiew pastuszej fletni, płynął sobie po powie-
trzu, żaglował po łańcach zbożowych, nie wiedzieć
gdzie i po co.

Semen łowił go uchem, nabierał w płuca, w no-
zdrza, jakby był jego pokarmem, oddechem i ulu-
bioną wonią mięty.

Stał wtenczas na szczerem polu, jak głąz ka-
mienny, oblany zamroczoną falą atmosfery, zato-
piony w pieśni. I cofał się już, wracał, aby się
nasłuchać tej samej fletni czarodziejskiej, — ale

coś na niego wionęło, pchało naprzód, ścigało,
rozkazując:

— Idź, Semen! Idź dalej!...

Szedł tedy Semen na oślep przed siebie, a za
nim szła jego troska nieodstępna i jego niepokój
wraz z żądzą wiecznego błakania się. Tak więc
nigdzie miejsca nie zagrzeł, bo widno jakieś złe
z kąta w kąt go gnało.

Cóż miał począć Semen sierota?

Pracują rusnacy na bożej ziemi, pracują aż im
ręce grabieją i dusze stygną od harowania i ciała,
jak kłonicie, gną się. Jeden chodzi do lasu jako
gminny strażnik, drugi wozi kamienie na drogę,
trzeci uwija się przy kolei, czwarty gna za rzeki,
za góry, na zarobek. A Semen co?

Siądzie w borze, to smereki gwarzą z sobą —
a wietrzyk co prędzej podsłuchuje rozmowy i za-
nosi ją do rzeki. Rzeka mruczy odpowiedź, a to
mruczenie idzie po dolinie, ucieka w powietrze.
Strumyki żyją, drzewa żyją, wiatr-piastun kołysze
zboża i trawy, a przyśpiewują mu przy kolebaniu
niesforne ptaszęta: słowiki, wilgi, skowronki.

Piersi Semeną pełne tych brzmień cudownych,
z natury wyssanych, pajęczych, rytmicznych... A jak
ich wchłonał już bez miary w siebie i upił się
niemi do przesytu, — składały się wargi jego niby
do modlitwy i cicho, rzewnie, choć z wysiłkiem,
szeptały coś, szeptały.

Semen tworzył, Semen dumał.

Męczył się ciężko, wyteżał, bo czoło jego okrywało się kredową bladością i usta murzyńskie wydymały i policzki zapadały, — tylko źrenice błyszcząły, jak ślepie jelenie. A szła z nich płonąca mgła, buchały żary. Powtarzał po kilkanaście razy i piosenka była gotową. Biegł przez pola potem, nucąc, a echo razem z nim nuciło. I gdzie zaszedł Semen, śpiewał piosenki rusnakom, aż go nazwano Semenem śpiewakiem.

Tak Semen dumiał na jaremczańskich górach o swej biedzie, o wiecznej włóczędze, o teraniu się bez końca i strasznie markotno mu się zrobiło. Za nim rozpościerał się ciemny gąszcz drzew, przed nim Jaremcze uśpione, rozmigotane rzadkim ogniem. Prut huczał, wył, targał się, — a żwawą gwarę toczyły z nim Bachrowiec i Żonka, wydobywając się z cieśni borów do prutowej fali.

Trwoga nie darmo owładnęła Semenem.

Brakowało mu jeszcze dwóch reńskich dla popa. Dmytro Petraszczuk dał mu dach i strawę, pieniędzy dać nie mógł. Na dole, na gościńcu, snuło się dosyć państwa bogatych, — Semen miał jednak swoją dumę i ręki nie wyciągnąłby z prośbą za nic w świecie. Wszystkie skarby swej biednej, poteranej i rozśpiewanej duszy, oddałby zaraz za marne dwa reńskie, byle stanąć na bortnickim cmentarzu, pomodlić się nad mogiłą matki i splenić z niej bodiaki.

A co potem?

Potem zafurczą mu wiatry nad głową, lasy strzepią na niego jesienne szumy i różne sioła rzucą mu szczery smutek do nóg. Zacznie się znowu wędrowka po Pokuciu, od Czeremosza do Prutu, po tęsknej, biednej huculszczyźnie.

— Nigdzie nie mogę zostać na miejscu, takim mię mlekiem zatrula stryjenka!...

Westchnął spazmatycznie, łza mu zaszkliła źrenice, ręce się w małyk złożyły, jak do Ojczyzny. I powoli, powoli szeptały jego usta niezrozumiałe dźwięki, twarz pokryła się znużeniem, pierś ciężko oddychała. Semen zmógł pomruk sosnowy, zalutujący z boru. Drzewa odzywały się zrazu burzliwie, — jakby ich czuby strząsał gwałtowny wichur, — wkrótce jednak złagodniały, roztkliwiły się, zapadły w senność, aby się z niej zbudzić hymnem żałoby, — ostatnich pożegnań. Hymn ten wylatywał z sosnowych ścian na leśny ugór, plątał się po wyrębie i osłabiony, rozbity, szedł na skonanie do Prutu.

Semen składał piosnkę o żołnierzu-tułaczku, co poszedł na wojenkę, legł pod kopytami koni i sam jeden został, na szczerem polu, jak on teraz. Przyjechał na gniadoszu pan kapitan, oglądnął lubego żołnierza, zasalutował mu szabelką, poczem pobiegł dalej. Po panu kapitanie zjawiła się siostrzyczka i odwróciła jego liczko do słońca, aby się sine w złocie kąpało. Biedny wojak! Skończyło się, jak się skończyć musiało.

«Oj! wmer żownir, umer żownir,
Taj mu zadzwonyły,
Prystaw cisar dwa żowniery,
Taj mu wystriliły».

Bór podawał melodyą Semenowi, — on ją łowił i nucił.

Ognisko przygasło, — koniska pokładły łby po sobie i drzemały. Semen rzucił szarzejący świt na ziemię... Przykrył się spłowiałym brunatnym keptarem, głowę przesłonił zmiętym, słomianym kapeluszem. O piątej nad ranem pędził Leškę i Kotiuchę kamienistą, złą drogą wśród kamery do obejścia Dmytra Petraszczuka. Dmytro owijał własnie nogi w czerwone onucki, nakładał na nie brzydkie, rozdeptane kerpce. Zoczywszy Semeną, podszedł do wejścia.

— Chcesz Semenie zarobić dwie szóstki?

Semenowi roziskrzyły się oczy. Propozycja była prosta. Semen miał zaprządz konie Dmytra do szarabanu i przywieźć z Delatyna, z salin rządowych, sól bydłęcą. Natomiast Dmytro umówił się do państwa na przewodnika.

Semen wypił z kwarty mleko, przegryzł razowcem, przywiązał łapciami Leškę i Kotiuchę do dyszla i wyjechał z zagrody. Wrócił dopiero dobrze nad wieczorem z beczką, ociekającą szaro-brudnym gąszczem. Był rozjaśniony, rozradowany, pełen śpiewackiej fantazyi. W Delatynie spotkał prawdziwego rusnaka, gospodarza Ołeskę Pro-

ciuka z Zarycza, — który go do sioła swego zaprosił.

Szczęście ścigało Semeną.

Na trakcie rządowym koło jaremczańskiego mostu, zaczepił go młody pan.

— Semenie, znasz drogę do Dowboszowej chaty?..

Czemużby Semen drogi znać nie miał.

Poszli, pieli się po piaskowcowych skałach, zarosłych drobnymi liśćmi borówek.

Różowe, zielone i szare mchy rozpościerały się naokół. Młodzieniec siadł dla wypoczynku na zrebie i obrzucił ciekawem spojrzeniem towarzysza.

— Kiedy stąd idziesz, Semenie?..

— Zaraz, jutro, pojutrze...

Nastąpiła cisza, wyczekiwanie.

— Niespokojny, smutny dziś jesteś...

— Ja tak siedzę i dumam...

Śpiewak nie był skłonny do rozmowy. Drapali się zatem dalej pod górę na szczyty olbrzymich głazów, czerniałych na heban od wiatrów i deszczów.

— Nie uczyli cię Semenie nigdy niczego? — zapytał młodzieniec z współczuciem.

— Nie... Majstrować nie umiem... Starczy mi woda, mleko i śpiewanie.

Semen zarobił za przewodnictwo reńskiego. Olsniła go, oszołomiła łatwość, z którą zdobył pieniądze... Jeszcze tak mało, tak bardzo mało bra-

kowało!... Zbliżały się do niego Bortniki, zbliżała mogiła matki i smętne nuty liturgiczne bożej służby.

Semen postanowił udać się na Jawornik, na połoniny, aby od Wasyla Lesiuka odebrać kilka-naście centów długu. Wybrał się o różowym, górskim świcie, spadającym na szczyty błądą, rumianą jasnością, przepojoną pierwszemi drzeniami słońca. Szedł wolno, rozradowany niezwykłą pięknnością dzionka, dmąc w wierzbową fletnię. Tu i owdzie przełaził przez drewniane «wrota», ogradzające gospodarstwa od siebie i wówczas na chwilę pieśń milkła; wnet wstawała jednak z fletni, kładąc się po rannej rosie i po spieczonych wierzbach polnych. Ludzi prawie nie było naokół, — była tylko cisza i oczekiwanie budzącego się życia. Niebo lało światło złotawe, że w niem tonęły trawy na pastwiskach, otrząsając się z nocnej wilgoci. U stóp Semena leżały smutne huculskie szczyty: Bercza, Posicz, Jabłonka. Wstąpił w olbrzymi las bukowy, rozwichrzony na stromym stoku górskim. Z boku rzedniała coraz bardziej polana, staczająca się ku dolinie. Buchały z niej kłęby dymu od podpalonych stosów drzewa, dla przepędzenia dzików.

Wdarł się nareszcie na połoninę.

Wasył Lesiuk siedział w mizernej kolebie, skleconej po bokach z kory sosnowej, nakrytej daszkiem ze zbutwiałych tarcic. Koleba była z dwóch stron zupełnie otwartą, przewiewną, bez drzwi. Nędzną tę kletkę podtrzymywały drągi, zbiegające

się u czuba dachu, obrosłe u spodu grzybem i brzydkimi łopuchami. Wasył warzył w garnku, zawieszonym na drągu-kiloku kuleszę, w ogniu z polana smereku. Na brudnym barłogu, w kącie koleby, spała Nastusia, córka Jasia Farfanowicza, która przybyła po ser owczy — bunz, dla ojca.

Wasył odpędzał od niej kłęby czadu smereczaną wiechą i dmuchał raz po raz w wrzątek wodny, — napęczniały kukurudzą. Chłop był małomowny, przygnębiony. Cała dusza spleśniała mu na połoninie wśród owiec, w podszytej wiatrem kolebie.

— Szczezła mi znowu owca — mruknął — *krau* ją opadł...

— Wola Pana Jezusa!... — odparł Semen.

— Jużcić!... Nic nie pomógł ślub, że w poniedziałek będę jadł sam chleb...

Zagasił zarzewie i zbliżył się do otworu koleby.

— Bóg wam pomagaj Wasylu, — rzekł Semen — oddajcie, co moje.

Lesiuk zachnął się mrukliwie, pogrzebał w kącie koleby pod kożuchem i rzekł:

— Weźcie, Semen, połowę i bunz. Ciężkie czasy, bieda na zimę lezie...

Semen sięgnął ręką po drobniaki, poczem razem, milcząco, poszli pod daszek, wryty w ziemię jedną stroną, a drugą podparty dwoma drążkami. Wasyla bracia, Hryć i Jurko, pędzili już owce do południowego doju. Wlókł się po połoninie ich

gąszcz nieprzebrany, ustawiony w porządne, karne szeregi. Z nozdrzy im wilgoć prychała, z oczu zadowolenie z pożywnej, zdrowej paszy. Przystępowały kolejno, składnie, do Wasyla i córki jego Anny, oni je brali za dojki i mleko do skopców zcedzali. Czasami rozległo się przeciągłe mee-e, mee-e, przerwane Wasylowym:

— Hiśta! owce, hiśta!

Semen odsunął się na bok. Usiadł na ziemi, nogi w krzyż zwinął i patrzył.

Nagle niebo zaszło sinością, na powietrze spadła szarość, na przeciwległych czubach górskich położył się złowrogi cień. Wszystkie stoki pobladły, straciły siłę i krasę, — jakby je spalił ognisty oddech słoneczny. Od Czarnohory nadlatywały poswisty, poskręcane błyskawice zaryły się na Berczy, Posiczu, — zostawiając za sobą przerażenie.

Wasył krzyczał coraz częściej «hiśta», — a pod nosem burczał:

— Ciągnie licho do nas!...

Zerwał się Semen niespokojny, trwożny.

— Anno, — zagadnął Lesiuczkę, — pomagaj wam, Boże; daliście mi chleba i mleka, jak byłem głodny, Semen o tem pamięta.

Ucisnął dłoń dziewczyny, zapłonionej od pracy i wiatru na połoninie.

— Bądźcie zdrowi, a wróćcie w nasze strony.

Podgryzała czerwoną zapaskę zębami i przekładała krwiste, bosc nogi.

— A śpiewać nam będziecie, Semen?... Przyjdźcie z piosenkami...

Kroczył Semen w stronę buczynowego boru, powolnie, niedbale. Bunz wypełnił mu dziobańkę, która się tłukła niesfornie po biodrach. Wziął fletnię pastuszą do rąk, przytknął ją do warg i posłał w nią oddech. Fletnia się roztkliwiła, rozjęczała i skończyła. Anna stała ciągle jeszcze na tem samym miejscu i brała chciwie jej dźwięki w piersi. Łza zjawiała się w żrenicy dziewczyny...

— Nie przyjdzie! Nie przyjdzie! — westchnęła.

W tem gromy zaczęły huczeć, warczeć, ciskać się. Bór zawył, skomlał, szalał. Semen leciał, pędził bez wytchnienia. Ogromna ryknęła ulewa.

Śpiewak stanął na dolinie zziębnięty, drżący, jak smereczane szpilki.

Mimo ciągłych deszczów, pożegnał się Bojczuk z Dmytrem Petraszczukiem, aby pójść do Zarycza.

Ołeksza Prociuk przyjął go serdecznie, ogrzał przy piecu i nakarmił.

Semen bawił w Zaryczu kilka dni, chodził po chatach, śpiewał i gotował się do dalszej pracy. Naokoło było już niebo czyste, pogoda się ustalała, chociaż od Czarnohory szły gęste chmury, świadczące o deszczach w okolicy, z wierzchów zaś sosen wydobywały się jeszcze opary.

Ołeksza był zamożnym rusnakiem, więc mu się

samemu nie chciało iść do Delatyna po kukurydzę; zatrzymał tedy jeszcze dzień Semen.

— Pójdiesz po kuleszę, — rzekł — a za to dostaniesz piętnaście centów.

Piętnaście centów! Tyle właśnie brakowało Semenowi dla dopełnienia grosza na służbę bożą. Pojutrze zatem ruszy w drogę, sprzeda bunz Wasylowy i za uzyskane pieniądze przysiądzie się na przygodną furmankę, aby przyjść na czas. Śmiały się już do niego Bortniki, śmiały spełnione marzenia, przelewając w jego źrenice radość a ożywienie na twarz.

Semen nie miał troski.

Mogila mateńki, różowe bodiaki, były tuż, tuż koło niego. Dzwonek zakołatał płaczliwie dzin-dzi-lin, rozległ się śpiew od ołtarza, dużo rusnaków szeptało naokół pacierze. To przez niego i dzięki jemu dzieje się, — a dusza mateńki na skrzydłach z nieba się wyrывa, prosi Boga o pozwolenie odlotu, ślizga się powietrzem na bortnickie łany i mówi:

— Bóg cię polubił, biedny Semen, bo o mnie pamiętasz...

Zarzuć Bojczuk kosz huculski, besehę na plecy, otulone keptarem.

— *Bud't zdorowi!* — wyrzekł na pożegnanie.

Pospieszył swobodnie, rażno. Wlokło się za nim słońko południowe, pełzające po górach, wlokły zapachy sianokosu, z rozwłóczonej po polach

trawy. Stał nareszcie nad brzegiem Prutu, podwinął szarawary, aby go w bród przebyć. Rzeka była nieznacznie ponad poziom wezbraną, płytką, do kolan sięgającą. Toczyła nurt spieniony, rozbity, bo szalały w niej resztki kilkudniowych niepokojów. Zresztą mruczała sobie, jak zawsze, — zimna, obojętna, zawzięta, roztrząśnięta na kamieniem łozysku.

Semen wpuścił ręce do kieszeni, stapał ostrożnie z głazu na głaz i nucił sobie tęskną ruską dumkę. Wtem nadleciał huragan wodny, wściekły, mętny, rdzawy. Rzucił się na Bojczuka, jak dzik rozjuszony, cisnął mu straszny wir na pierś, zabrał oddech, zalał oczy, — wziął światło. Prut lotem błyskawicy napęczył, zawył, — zaimponował bujnością fali. Chwilę jeszcze plątała się po jej powierzchni beseha i sterczała to jedna, to druga dłoń Semen, — potem wszystko znikło, zamilkło, jak Semenowa pieśń w rozruchanym Prucie.

Nazajutrz znaleziono zwłoki Semen koło zastawy rządowej w Delatynie. Złożono je w kośnicy, — do pogrzebu. Pochowano włóczęgę w sośnowej pace, bez wystawnej bożej służby. Szumiały mu tylko na pożegnanie delatyńskie smutne smereki i szumiał Prut marsz żałobny milionów dzikich fal.

MIEDZY HUCUŁAMI

Noc leżała na szczytach wschodnich Beskidów.
— Jaremcze! — rozległ się głos konduktora.

Gęsta, szara masa letników przepełniła peron, gwarząc, witając znajomych, gapiąc się bezmyślnie.

Hucuł porwał swoją walizę.

Szliśmy gościńcem dobrze bitym, szerokim, obstawionym po obu bokach zgrabnymi willami i domkami. Gdzieś migotało światło lub czerwienił się żar wśród ciemni, płynący od ognisk pastuszych. Melancholia nierozjaśnionej księżycowym światłem nocy rozsiała się na górach.

Płomyk świecy rzucił blask na izdebkę. Wyglądała, jak kwadratowa paka, zbita z długich sosnowych tarcich, nakropionych wygładzonymi plamami sęków.

— Jak się zwiecie? — zagadnąłem Hucuła.

— Dmytro Petraszczuk.

Miał lat czterdzieści pięć. Nosił kozuszek, zwany keptarem, zgrzebne, szerokie szarawary i mocno przyniszczone «kresanie», ozdobione sznurem bia-

łych muszelek. Na brązowo-oliwkową twarz Dmytra spływały hebanowo-czarne, bardzo długie włosy, prześlizgując się kokieteryjnie na spadki ramion. Para ślicznych, czarnych źrenic patrzała na świat bezgranicznie smutno.

— Usiądźcie, Dmytro, na chwilę.

— Dziękuję wam, — odparł, będąc stał, ja prosty rusnak, a wy pan.

— Czem się trudnicie, Dmytro?

— A czem? Wożę drzewo z kamery ¹⁾ na kolej, — a jak nie, siedzę w domu.

Zbliżka załatywał ogromny huk, podobny do echa tysiąca strzałów karabinowych lub armatnich. Echo wyło, jakby strącone z ostrych granitów, szarpało się i rozbijało i jęczało. Grały w niem wszystkie wichury beskidowe i wszystkie szумы leśne, idące od Czarnohory... Przepełniało ono spokój nocy, — zamieniając go w wielką, gwałtowną, porywającą — pieśń przyrody.

— Dmytro, — a co to tak jęczy?

— Znajcie, to Prut... — On taki zawsze.

Wtem zamigotały w powietrzu krwawo — czerwone ślepie, skry posypały się rzęsiście wszczeg i wzdłuż, rozległo się ciężkie ziajanie i syczenie, jakby wyrzucenie z piersi ostatniego oddechu, — potem szło po mroku słabe kwilenie i skonało.

¹⁾ Las rządowy.

Na gorze, po słynnym moście jaremczańskim, popędził pociąg ku węgierskiej granicy.

Podniósł się Dmytro i wymienił swój adres.

— A daj wam, Boże, panowanie dobre i waszej całej familii! — rzekł na pożegnanie.

— Bóg zapłać, Dmytro, do widzenia!

* * *

Bawiłem już dwa tygodnie w ojczyźnie słynnego zbójnika Ołeksy Dowbosza.

Dowboszczyzną nazwać można Jaremcze, z sąsiednią wsią Jamną i z przysiółkiem Bachrowcem, — bo całe to smereczane gniazdo górskie żyje pamięcią bohatera-zbója.

Hucuł w keptarze na połoninie, Hucuł na «dołynie» zna historię «welykoho rycara» Ołeksy, chlubi się nią, rozkoszuje, z dumą wspomina tę kartę gazdowskich dziejów u stóp Czarnohory. I każdy z nich powtarza sentymentalną, rozwiewną, smutną pieśń Dowbosza na pożegnanie swoim druhom:

»Oj, wy chłopci młodzi,
Berit mene na toporci
I nesit na Czornohoru«.

Aż żal serdeczny ogarnia duszę, że tej dowboszczyzny nie utrzymano w ramach pierwotnej tradycji, że wszystko, co pod ręką, chrzci się nazwiskiem «wielkiego rycerza» i w ten sposób ściera

się pokost staroświecczynny z bajek i klechd ludowych, wiszących nad smereczanymi borami Jamny i Jaremcza. Tak powstała «wanna Dowbosza» z szerokiego rozlewu czy basenu przy srebrzystym, malowniczym wodospadzie pruciańskim, który wrzuca do niego rozpienione fale, wydłużające się na uspokojonej cokolwiek powierzchni w krągłe, jasnobursztynowe smugi. «Kamień Dowbosza» przy trakcie rządowym, w Jamnie, z piaskowcowym krzyżem na wierzchu, ma przypominać czyny junackie beskidowego Janosika; niestety wandalaska ręka robotników kolejowych zwałała z niego pierwotny, żelazny, bogato pozłacany krzyż, fundowany przez oberkomisarza Kollera około r. 1838. Naprzeciwno wymalował jakiś pocziwy kamieniarz w wolnej od zajęć chwili Dowbosza na gładkim, profilem zwróconym ku drodze głazie, w bośniackim kostyumie i w kapeluszu à la Gasparone, z twarzą opuchłą, podtrzymywaną dłonią, niby w przystępie bardzo dokuczliwego bólu zębów. Ten sam typ widziałem na golarskiej firmie Hersza Gerner'a w Dorze!...

Szkoda tradycji!...

A ma ona królewską siedzibę w «Dowboszowej chacie», najwyższych progach piaskowcowych, sterczących na wierzchołkach olbrzymich kolosów skalnych. Z tej «chaty», a raczej z tych fantastycznych progów kamiennych, widać wysokie szczyty: Poharcie i Jaworniki i zdala szarzejącą Syneczkę,

tonącą w fioletowych mgłach. Pada z niej słońce na Bohorodczany, Nadwórne, Łysiec, Stanisławów, Kołomyję, rozpylając złociste żary w jesiennem szczególnie, czystem powietrzu,—gdy ziema ostudzona, wolna od upałów, nie paruje. Tuż koło «chaty» rozciąga się grupa grot lub naturalnych tunelów; nie są one wszystkie jeszcze odkryte, gdyż robota w tych stronach żmudna, — po gruzie, — a na domiar ogromnie kosztowna. Jeden z nich, niezupełnie przekopany i zbadany, ryje się w ziemię na długość co najmniej trzydziestu metrów. Sklepienie ma żółto-piaskowcowe, w formie gotyckiej, opadającej w prostych płaszczyznach ku ziemi, pokrytej drobnymi odpadkami piaskowca. Ze spodu wieje silne zimno i zgnilizna, — jak z lochów wilgotnych. Tu i owdzie spotkać można smolaki i nadpalone polana, nad którymi rozgrzewali robotnicy ręce, bo w czerwcu, w czasie pracy przy przekopaniu, zwisały w jamach gęste sopele lodu. Cała ta gromada skał, zwiertających, brunatnych, czarnych, zielonych i Bóg wie jakich, brodzi w gęstwinie borówczanych krzewów, okalających samotnie rosnącą brzozę. Przy wejściach do grot pełzają mchy i porosty różnobarwne, a wśród nich stoi na straży smutny cząbr.

Istne to cmentarzyska wielkoludów, martwe, zatopione w głuszy.

* * *

Jakże mi żal tego pięknego huculskiego ludu!
Oryginalność, bujność, fantazyja zbójnicka biją
od niego, — jak od kwiatów wonie.

Chłop w serdaku, w przerzuconym na chłód
brunatnym keptarem, w szerokiem kresaniu na
głowie, z torbą-dziobańską u boku, wygląda, jak
człowiek o olbrzymim zasobie życia na teraz i po-
tem. Zgrzebne, białe szarawary, wydęte często wia-
trem, opadają na jego nogi, owinięte u kostek
w czerwone flanelowe onucki, obute w kerpce.
Wszyscy noszą długie, śliczne, niedbale utrzymy-
wane włosy, przeważnie krucze. Na ich sumiaste,
rozkrzaczone wąsy spływa dziwne zatęsknienie
i dziwna żaloba żrenic. Samotna dusza gór, nie-
skończona zieleń lata i całunowa biel zimy, wyci-
snęły na huculskich twarzach melancholię. To me-
lancholia limby, odciętej od świata, rosnącej na
wysokich wierzchach, smaganej wiatrem, odrząca-
nej nawet od... smereków. A ileż drzemie w Hu-
culszczyźnie artyzmu! Widziałem mosiężne torby
i pasy, przez nich wybijane, przecudnie cyzelo-
wane z bizantyńską przesadą stylową, — tak jak
natura rusnacka cierpi potrosze na bizantynizm...
Śliczne są kobiety, pełne delikatnych, subtelnych,
pańskich rysów. Noszą zgrzebne na piersi koszule,
na nich zamiast spódnicy z przodu i z tyłu zapa-
ski, rodzaj czerwonych, niespojonych fartuchów,
bo niegdyś było im dobrze jeździć w takim stroju
na koniu. Głowę owijają w dużą, czerwoną «sza-

lenową» chustę, przewiazaną zgrabnie w guz na
karku, rozwijający się w niedbałe, malownicze
fałdy. Szarfowskie imitacje brylantów lub tańsze
szkła czeskie, ujęte w blaszaną oprawę, tworzą
powszednią ozdobę uszu Huculek. Cera ich twa-
rzy przeważnie zmatowana, oliwkowa, oczy mą-
dre, szczerze wyraziste, jak jelenie. Te wszystkie
Marusie, Paraski, Ołeny, Hafije, Jewdohy są nad
wyraz zalotne, kokieteryjne, a ich kokieteryjność
podnosi niezmiernie namiętne palenie papierosów.
A rośli chłop w chłopca i dziewczka w dziewczkę, że
trudniej o lud dorodniejszy, bardziej rycersko wy-
glądający i nastrojowy. Trzeba ich widzieć w cer-
kwi, na służbie Bożej, z świecami u «carskich wrót»,
zawodzących rzewne pieśni liturgiczne!... Kolory
i jaskrawe barwy przyćmiewają wówczas oczy,
śledzące z trwogą, czy te poważne, ponure po-
stacie nie ruszą się, nie runą i, jak za Dowboszo-
wych czasów, nie pójda na zbój...

Lud ten obok klasycznej urody i pewnej wro-
dzonej inteligencji jest brutalnie chciwym. Letni-
ków uważają z reguły za gąbkę, nasiąkniętą zło-
tem. Na drodze do Jamny namnożyło się mnó-
stwo niedorostków, wyciągających ręce ze łzą
w oczach:

— *Dajcie, pane, hrosza!*

Hucul nigdy nie poda ceny za artykuł spoży-
wczy. Na naleganie odpowiada pokornie:

— *Szczo my daste! do woli!...*

Jeżeli zapłata nie była hojną, ale sprawiedliwą, stosunki zerwane! Trzyma się wtenczas owej gazdowsko-ruskiej zasady: *«kto ne kwapien, ne utraten»*, nie kwapi się, nie spieszy, może ktoś przyjdzie, co pod formą kupna udzieli zarazem jałmużny. Korzystając z pobytu letników w górach, wyprawiają Huculi w sierpniu i wrześniu jak najczęściej weselisk, aby piękne druchny rozesłać po domach dla wydobycia... datków. Huculszczyzna jest wogóle leniwą, ociężałą, bizantyńsko-wygodną. Nadzwyczajną pasyę mają do odprawiania świąt pozakalendarzowych, których podstawy tkwią prawdopodobnie w zamierzchłej pogańszczyźnie. I tak obchodzą jakiegoś Kuryka, potem Rachmański Wetykdyń; w pewnych dniach nie orzą, w innych nie przędą, w jednym siole pracują, w drugim na dobre panuje uroczystość świątkowania ze wszystkimi jego następstwami. Błogosławią ten prywatny kalendarz dość licznie rozmnożone karczmy.

Hucul nie bardzo dba o czystość w dniu powszednim. Gnieździ się w niskiej, zbitej z przepołowionych sosen chacie, pokrytej pochyłym dachem z tarcic lub gontu. Chałupa rozpada się zazwyczaj na dwie części, wielką i wąziutką, oddzielone od siebie sionką; w izbach podłóg niema, tylko zwykły z ziemi ubity tok. Najwięcej miejsca w dużej izbie zajmuje ogromny, ceglany piec z okapem, bez komina, obrzucony wapnem białem, i olbrzymie kwadratowe łóżko, zasłane sianem.

Może na niem wygodnie spać cztery do pięciu osób. Nad łóżkiem chwieje się kołyska, podobna do połówki trumny, zawieszona na sznurach, u belki pułapu. Reszty umeblowania dopełniają ławy wzdłuż ścian, stół i kuchenny kredensik, zapełniony talerzami kolorowymi z fajansu.

Hucul jest wielbłądem beskidowym: potrafi jeść nazwyczaj mało, a chodzić bez miary. Zwyczajny pokarm huculski tworzy kulesza, odwar kukurydzy, i kawałek chleba, rzadziej już ser i mleko. Pracować lubi tyle, ile jest koniecznem. Chodzi koło dwu, trzech morgów lichej ziemi, odwiezie czasem drzewo z lasu kameralnego na kolej, zresztą o nic się nie troszczy. Ta obojętność i ospałość przebija się także w stosunku do zmarłych. Rzadko wiedzą, gdzie kto z najbliższej rodziny spoczywa, bo zwykle na grobach nie zatykają nawet znaku. Cmentarzyska huculskie na ślicznych, górskich stokach obrastają dzikim chwastem, koniczyną, fioletowymi bodiakami i jaskrami. Mogiły toną w zielisku tak, jak toną w nieskończonej ciszy. W Jamnie np. koszą Huculi trawę z grobów za ryczałt 15 zł., złożony czy w gminie czy w parafii...

Pierwotność Huculszczyzny wyryła się głęboko na jej moralności: nie zna ona w pewnych okolicach żadnych skrupułów, żadnych praw i ograniczeń dla wolnej miłości. Jewdohy, Anny i Paraski przynęcają chętnie panów, bo mają pańskie skłonności i żądę pieniędzy. Ta ich bezceremo-

nialność pociągnęła za sobą pewne, daleko idące skutki. Podczas budowy kolei do granicy węgierskiej musiano wywieszać listy osób, dotkniętych zaraźliwą chorobą... A było ich do 55% ogółu ludności na Jamnie, Dorze, Bachrowcu, Jaremczu!... Losowi temu ulegały jedenasto, dwunastoletnie dziewczęta! Robak zniszczenia zaczyna już dziedzicznie toczyć te piękne, na słońcu uwędzone, bujnie rozwinięte ciała! Tu i owdzie spotkać można sześciolatnią dziewczynkę, o konopnych włosach, jasnych, niebieskich oczach z twarzą Madonny, zamorusaną, w brudnej, zgrzebnej koszulinie-soroczce. Krzywi się biedactwo, przykładając rączkę do nóg i patrzy. Od kilku lat ma wrzody, które nie chcą się zagoić, bo nieleczone. Hucuł nie zna lekarza, do systematycznej kuracji nie przystąpi, a nawet nie ma się za co leczyć. Rząd postępuje w tej sprawie z bezprzykładną lekkomyślnością i krótkowidztwem. Najbliższy szpital znajduje się w odległości 12 mil, w Stanisławowie!... Peryodyczne jedynie ambulatoria potrafią jako tako zaradzić złemu i ocalić tych nędzarzy od zupełnej degeneracji. Jak dalece mroki jeszcze tu panują i jak małą jest prawdziwie kulturalna opieka władz, niech świadczy następujący wypadek.

Strażnikowi kameralnemu, Wintynowi Prociukowi, umarła szesnastoletnia dziewczyna. Ubrano ją w czerwoną «szalenową» chustę, w buty, w zgrzebłą koszulę, przykryto dużym, po szyję sięgają-

cem płótnem i gazdowskim obyczajem położono na ławie, pod oknem. Leżała tak cicho, w majestacie śmierci, jakby spała po ciężkiej pracy na pastwisku. Około niej skupiło się ze dwudziestu kumotrów i kumoszek, gestykulujących i gwarzących. Co za barwny obraz! W tej samej izbie śpią domownicy, jakby nic nie zaszło, a nieletnie Huculeta wygrzewają się na przypiecku, z boku okapu. Zapytałem, czy przyjdzie lekarz z Delatyna obejrzeć zwłoki.

— A gdzie tu chcecie doktora! — Przyjdzie Petro Halemiuk, on ogląda z polecenia gminy. Później dowiedziałem się, że Petro Halemiuk to zwykły ciemny Hucuł, pełniący obowiązki dyaka i zarazem... znawcy zmarłych.

Dobry w każdym razie fachowiec! A co się dzieje, gdy Hucuł lub Hucułka umrą na zakaźną chorobę? O to nikt się nie troszczy. Widocznie ludzi dość na świecie; dlatego gruźlica tu nie próżnuje, robi swoje...

Rząd zaniedbał strasznie Huculszczyznę nie tylko pod względem zdrowotności. Mimo przymusu szkolnego należy sztuka czytania i pisania do niezwykłych osobliwości. Szkoły są, ale nie rozwinięte, rzadkie i dalekie. Królestwo mroków panuje wszechwładnie.

Lud jest potężnie, przysłowiowo dynastycznym, otacza osobę monarchy prawie religijną czcią i bogobojnością. Wspominając nazwisko «cisara», na-

straja Hucuł twarz uroczyście, uchyla nad czołem «kresanie», zgina się piersią ku ziemi. Pamiątkowe medale otrzymane z okazji pięćdziesięcioletnich rządów cesarskich, wieszają ex-wojskowi z dumą na serdakach, jako «własnoręczny upominek od Naj. Pana». To przywiązanie do szlachetnej osoby cesarza Franciszka Józefa tak się u nich rozwinęło, że w razie dolegliwej jakiejś biedy jedzie Hucuł do Wiednia... ze skargą do stóp tronu, aby się swemu «ojcu» pożalić... Na stu zaledwie jeden dostaje się do ołtarza, inni zazwyczaj otrzymują z kancelaryi gabinetowej... pięć reńskich na powrót... lub idą szupasem¹⁾. Trudno wogóle wyobrazić sobie wierniejszych poddanych: są to dla Austrii i dynastii prawdziwi Tyrolczycy wschodu. Ślepe posłuszeństwo dla monarchy przeszło i na władze. Starostwo jest dla Hucuła naczelną komendą, jego rozkaz — dogmatem. Stosunki te pochodzą jeszcze z okresu przedkonstytucyjnego i Bachowszczyzny, gdy osławieni w dziejach Galicyi «kreishauptmani» popierali z całym rozmysłem system polityczny, protegujący lud przeciw... panom. Jeden z takich «kreishauptmanów», Franciszek Kratter, zapisał się w dziejach Huculszczyzny nie tylko hołdowaniem zasadzie «*divide et impera*», ale czynami ekonomicznymi. Kapitałnem dziełem jego było przeprowadzenie wygodnego, znakomitego traktu rządowego

wzdłuż Prutu, który zbliżył te zapadłe światy do kultury. Roboty rozpoczął koło 1830 r. — a r. 1836 szedł już trakt do Mikuliczyna. Pamięć zasług Krattera uwieczniono napisem na olbrzymim głazie piaskowcowym w drodze do Jamny. Wyrył go jeden z oberjegrów dawnej straży pogranicznej koło 1840 r.

Wobec takich warunków i stosunków odbywają się na Huculszczyźnie wybory do sejmu i do Rady Państwa według nakazu starostwa, a raczej jego organów: wójtowstw. Osłodzeniem nakazu zajmuje się propinator. Wybory są częczą formą, bez walki, bez namietności, bo Hucułowi wszystko jedno, kto zwycięży, a zresztą nie rozumie się na tej całej sprawie. Wychodzi też z urny inkamerywany, to jest rządowy Rusin.

* * *

Siedliśmy z Dmytrem Petraszczukiem na suchym, lekko falistym stoku górskim, niedaleko drogi jamniańskiej. Córeczki Dmytra, Nastunia i Marusia, poganiały dwie czarne owce: Kotusię i Kosarkę, tudzież opasłą krowę Żółkienę, cały dorobek huculski. Bydłęta skubały trawę, żuły, aż nozdrza im zaszyły zupełnie od wilgoci. Słońce płynęło po rannej rosie na czuby smereków, wgłąb lasów i na jasno-zieloną wodę Prutu. Wszierz i wzdłuż wysuwały się z poza siebie ogromne

¹⁾ Na piechotę, pod eskortą żandarma.

wyniosłości: Makowice, Gorgany, Jaworniki, Syneczka. W czystem, przepojonem drgnieniami borów i szumem potoków powietrzu mieniły się wszystkimi barwami tęczy, jaśniały ametystami, opalami, turkusami. Zaledwie słońko obniżyło się cokolwiek, przygasły i one, ściemniały, straciły siłę, zjednostajniały.

Dzieci nawoływały zwierzęta, zanadto daleko odbiegające.

— Hiśta! hiśta!

Dmytro Petraszczuk zapalił krótką fajeczkę, przegrzebał tytuń palcem, pyknął raz i drugi i rzekł:

— Dawniej nie umierali starzy ludzie, — bo byli mądrzy i rozumni, aż hej! Oni zawsze z młodymi Hucułami odprawiali szkołę i uczyli ich wszelkiego dobrego gazdowania. Ale był taki komisar jeden, co nakazał z powiatu, że trzeba było starowiny dobić! Komisarские pachółki chodzili po siołach i szukali starców-niebożąt. Tak ci znalazł się jeden gazda stuletni przeszło i jął się prosić syneczka swego, aby go nie wydał w ręce siepaków. Jura schował ojca w piwnicy, ktoś jednak powiedział panu komisarowi, że ukrył batka pod ziemią. Komisar przysłał tedy do Jury pisanie, żeby się stawił przed jego oblicze. Win¹⁾ poszedł i słuchał.

¹⁾ Win=on.

— Gdzie batko jest? — krzyknął komisar.

Jura na to powiada:

— Pomknął w świat z wiatrami i nie wiem, gdzie się tuła.

— Bywaj mi! bywaj! — huknął srogi pan, kazał mu iść do domu i wrócić tak, aby ani nie szedł, ani nie jechał.

Win pospieszył do chaty, a batko zaraz:

— Co tam się stało?

Jura wzdychał, kręcił się, w włosy skrobał, ale pary z ust nie puszczał.

— *Szo tam jest?* — nalegał stary.

— Oj, bieda, bieda, batko Jakemie!...

— Co za bieda?

Syn zmartwiony powiada:

— Kazali mi pan komisar wrócić tak, abym ani szedł, ani nie jechał.

Tedy batko:

— Co tchu przyprowadź barana!

A gdy Jura przyprowadził barana, wsadził go na niego i ręce zatarł z radości.

— Teper pomknij, syneczku, do komisara.

Win pomknął a tak, że mu się nogi po drodze włożyły i bosa zbierały wszystek kurz szary. Komisar zoczył go z okna i kiwnął głową:

— Prawda, tak jest, ani nie szedł, ani nie jechał!

Win pospieszył do chaty, a batko zaraz:

— Co tam stało się?

Jura sapał, trząsał się, łzy mu w oczy się ciśnieły, ale pary z ust nie puszczał.

— *Szo tam jest?* — błagał stary.

— Oj, bieda, bieda, batko Jakemie!..

— Co za bieda?

Syn, szlochając, wyjąkał:

— Kazał mi pan komisar, abym przyszedł ni goły, ni odziany.

Batko przyniósł co prędzej sak na ryby, rozciął go, uszył koszulinę-soroczkę i szarawary, a gdy skończył robotę, ubrał w nową odzież Jurę.

— Teper pomknij, syneczku, do komisara.

Win pomknął, a chłód gasnącego lata zwiewał go po ciele, nakrytem oczami wiewierza. Muskały go zalotnie niezżęte jeszcze żyta i muskało słońce od głowy do stóp. On się w niem kąpał, jak w prucianej wodzie, aż wesele zalało mu żreńnice. Ale im bardziej do miasta się zbliżał, tem większe czuł lęki i bojaźnie.

Komisar dziwił się i kiwał głową.

— Prawda jest, stawieś się ni goły, ni odziany!

I chciał się dowiedzieć, kto mu tak dobrze poradził. Jura odparł, że pytał własnego rozumu.

Pan komisar nie wierzył i odprawił go do domu.

Win pośpieszył do chaty, a batko zaraz:

— Co tam stało się?

Jura wrzasnął, aż mu siniec zbiegł na twarz, ale pary z ust nie puszczał.

— *Szo tam jest?* — zaklinał stary.

— Oj, bieda, bieda, batku Jakimie!

— Co za bieda?..

Syn zrozpaczony wyszeptał:

— Kazał mi pan komisar stawieć się jutro z przyjacielem i nieprzyjacielem.

Tedy batko:

— Jutro na świtanu zabierzesz z sobą psa i żonkę.

Pomknął Jura i nie cniło mu się po drodze, bo miał z sobą swoją Warwarę i swego Bilkina. Mruczały sosny, mruczały rzeki, Pan Jezus patrzył z krzyża, a on nic. Zgarnął tylko kresanie w garść i rzekł:

— Panie Jezusie słodziutki, pomiluj mnie i batka!... A batko dumał w domu, smucił się i sam gwarzył:

— Ja teper ubity!

A tymczasem pan komisar kazał Jurze bić Bilkina. Win wziął palicę i uderzył psa. Zwierzę zaskomlało, buchnęła z niego posoka i sącząc krew po ziemi, uciekł od Jury precz. Na to pan komisar do chłopca:

— Wołaj teper psa!

Chłop gwizdnął raz, drugi, krzyknął: «hiśta, Biklin, hiśta!» i psisko przyczołgało się do nóg Jury, zaczęło się łaścić, skomleć i lizać ręce jego. Komisar na to:

— Oto twój przyjaciel! Zbij teraz żonę swoją!..

Win wziął palicę i uderzył żonę. Warwara się spłakała i wsiadła ze złości na Jurę:

— Bodajby szczeł stary Jakim! Trzymasz go w piwnicy, — on ci to wszystko radzi...

Komisarz z politowaniem powiedział:

— Jest twój batko! Pies milczał i tarzał się u nóg twych, a człowiek, własna żona, wymówiła.

Win pośpieszył do chaty, a za nim pobiegli trop w trop komisarskie parobki. I wyciągnęli batkę z piwnicy i ubili go pałkami. Ale jak ubili Jakima, tak już nie mordowali starych ludzi, tylko każdy swobodnie żył, dopóki nie pomarł. Bo oni byli rozumni, aż hej, a młodzi musieli iść do nich po mądrość...

Dmytro Petraszczuk spojrzał rzewnie przed siebie i zamilkł.

* * *

Gdzie spojrzeć naokół, majestat piękna! *Wo mann's packt, — ist interessant*, jak powiedział Goethe. Połoniny na Jaworniku, Syneczce, śliczne, napełnione huculską atmosferą Pokucia i huculską przyrodą, olbrzymio malowniczą, dziką, ale dzikością, która nie straszy, lecz upaja. Góra piętrzy się na górze, las na lesie, a wszystko owinięte chmurą. Dziwne to bory! Szumią w nich sosny, świerki, buki, szumią sobie bez końca, a Prut hałaśliwy, rozpieniony na głazach, zabiera im głos i topi w sobie. To też wśród nocnej ciszy wydo-

bywają się z jego fal jęki lasów huculskich, jak zakłęte w korycie rzecznej topielice, idą po powietrzu i łączą się w chór z nowymi płaczami smereków. Niema kresu ta muzyka, odzywająca się czasem szalonym łkaniem, czasem wyciem brutalnym. Koło Gorganów jest trochę limby... Wiedziałem na dolinie kilka tych drzew samotnych, bardzo poważnych i rzewnych, jak wiecznie rozłzawiona mityczna Niobe... Gazdy ją lubią i nazywają kedrą. Czy nie przypomina się cedrowa harfa Wenedów? Na niej grała dusza Lilli męczeńskie rozpacz, na limbie wygrywa wiatr dolę huculskiego ludu. Strząsa potem limba swe puszyste kiście, strząsa tak, jakby kazała się kajać i wołać za psalmistą: *audivi domine, et clamavi*... Nad poranami przez wodę szkarpami Bachrowca i Żonki, dwu drobnych dopływów Prutu, ciągnie się krajobraz dziewiczy, zupełnie pierwotny. Na grubej, symetrycznie ułożonej warstwie łupku, tworzącej pionową ścianę Bachrowca, spoczywa piaskowiec zczerniały, pokryty porostami i rudymi mchami. Po nich zwieszają się liany, pnąc się ku górze, do sosen. Tu i owdzie stoi olcha w towarzystwie rzadkich krzewów orzechów laskowych. Zatrzepoce się coś, załomoce na gałęzi, zasyczy... Stary głuź lub dzika kura zabłądziły przypadkiem z wyższych regionów, z wierzchów na dół i pragną wydobyć się z matni. Nad wąziutką kotlinką Bachrowca i Żonki wznosi się duży szczyt Poharcie,

zdała ciemno-granatowy. Wygląda, jak Dowboszowy zbójnik-pasterz, poganiający srebrno-białe dopływy Prutowe, podobne do owieczek w prędkim locie. Zdała wśród szelestu liści niesie wiatr melodyę monotonną, melodyę żałobników. To pewno malutki Iwan Niemczuk dmie w fujarę pieśń o kozaku na wronym koniu. Fujara ukochana huculska «frała», i on — to jedna zaklęta w tych górach dusza.

Jest jeszcze jeden widok, którego zapomnieć nie można: widok słynnego mostu nad Prutem w nocy. Podobno to jeden jedyny w Europie tak zbudowany, arcydzieło sztuki inżynierskiej, godny pomnik tej naszej... Szwajcaryi. Rozpięcie łukowe nad wodą olbrzymio wielkie i wysokie, na niem pozioma trasa kolejowa, za niem podpierające kończyny mostu szeroko sklepione arkady w formie ogromnych bram. Gdy go księżycowe obleje światło, wywabiając srebrzyste odbicie z Prutu, kąpie się cały w aureoli blasków, a fala mu zawodzi. Inaczej pod ciemnem, zasępionem niebem! Wygląda wtenczas, jak tajemnicza ruina zamczyska, podmyta rzeką, lub gorzej jeszcze, jak wstęp do mistycznych podziemi, dających nieśmiertelność piekła... Poharcie na najbliższym tle mostu, straszna, czarna plama, — to miejsce tortur Ugolina, Prut wieczystym Styksem. Można się przeżegnać i powiedzieć za Dantem: *lasciate ogni speranza!*...

* * *

Zbliżam się na szczyt Poharcia... Zdała już widzę sterczące pionowo słupy budującej się gloryety. Huculi przerzynają belki, prostują gwoździe.

— *Pomahaj Boże!*

Na rozrzuconych w nieładzie tarcicach siedzi siwy mężczyzna w butach, w filcowej czapce, z nasuniętym na czoło daszkiem i wydaje rozkazy.

— Pewnie majster ciesielski, pomyślałem. Gloryeta już na ukończeniu? — zagadnąłem, aby przecie coś powiedzieć.

— A już, — odparł.

— Nie nuży pana chodzenie pod górę tysiąc trzysta metrów?...

— Wchodzę i schodzę dwa razy dziennie mimo ośmdziesięciu pięciu lat.

Ostąpiłem i wzruszyłem ramionami: to chyba bajki! Przedstawiłem się.

— Jestem Karol Obst, pensyonowany zarządca lasów cesarskich, — brzmiała odpowiedź.

Więc to ten! Wiedziałem, że on pierwszy właściwie zajął się podniesieniem i ucywilizowaniem tych stron huculskich, że dzięki jemu przeprowadzono drogę w serpentynach na Poharcie i drugą, wygodniejszą, wiodącą przez wspaniałe rozdoły wokół skrzyżowania się Bachrowca z Żonką. On też uprzystępniał groty czyli tunele naturalne, był duszą inicjatywy, był często wszystkim. Dawniej przebył wszczeg i wzdłuż Karpaty, znał każde uroczysko, każdy prawie kącik, był świadkiem osta-

tnich egzekucyi zbójników beskidowych, a teraz jest może gasnącą już, bodaj czy nie jedyną żywą tradycją Pokucia.

— Ośmdziesiąt pięć lat i taki chód, taka krzepkość!

* * *

Od dwu tygodni bawił Semen Bojczuk w Jaremczu, nad brzegiem szafirowego Prutu. Jeść trzeba było, więc Semen zabierał bydło Hucułom i gnał je na nocną paszę. W zamian za to dostawał kuleszę, ziemniaki i razowiec. Na świtanu schodził do Bachrowca, kąpał głowę w zimnym nurcie, suszył ją na wstającym słońcu, poczem klękał u szkarpy potoku, by zmówić pacierz. Szeptaly z nim hymn poranny nadbrzeżne wikliny i sosny i szeptało ptactwo wszystko. Semen zresztą nie robił nic: chodził wśród zagonów pszenicznych i patrzył, jak się na nich wiatr kładzie lub przepada na skrajach lasów. Wyływały wtenczas z poza smereków i buków żal, melancholia, wydobyte z blaszanej huculskiej «truby». Drzewa pławiły się całe w muzyce smutku, aż żywiczne puszczały soki, jakby łyzy goryczy. Czego grał Semen tak strasznie? Przecież i ból za silny nie jęczy, bo kamienieje. Ot Semen lubił takie pieśni i takie nuty — i nic więcej. A gdy mu grania na «trubie» dosyć było, miał inne w sercu i piersi, od którego źrenice aż jasnością zachodziły. Zre-

szta nie mogło być inaczej. Urodził się w Bortnikach, koło Tłumacza. Chodził sobie cały dzionek Boży i tarzał się w kurzu w koszulinie tak, że mu słonko ciało zwędziło. Śmiał się do sianokosu, śmiał się do jarzębin i różowiejących na drzewie jabłek — papieżnic i pocziwych rusnaków. Tak jakoś czas zbiegł, jak sen, jak pieśń w cerkiewce. Dziewięcioletniego Semen osierociła matkę, zdając go na opiekę stryja Łukiena Szczuraka i stryjenki Łukieniowej. Stara Bojczukowa pamiętała patryarchalnie o parobku Wasylu i dziewczce Olenie, zostawiając im spory kawał pola. Na trzynastomorgowej spuściźnie Semen rozsiadła się, jak na swojej chudobie, Szurakowa, — ot, macosza karmicielka... Semen — ptaszę miał skrzydła podcięte. Na domiar złego Łukienowa chwyciła się... czarów. Raz rankiem na śniadanie dosypała dziecku do mleka zielska czartowskiego i było po wszystkim!... Semenek uczył duszność i pragnienie ucieczki za rzeki, za góry. Zbrzydły mu naraz bortnickie jabłka-papieżnice, zbrzydły koralowe jarzębiny i zbrzydli pocziwi rusnacy. A Pan Jezus wabił go na drogę białą szatą i przyrzekł iść przed nim. Uciekł też Semen od Łukienowej, gdy się słonko przez zróżowione mroki przekradło. Pan Jezusik wskazywał mu ścieżyny, tak, że nigdzie nie zbłądził, a doznawał w wędrowce dużego honoru, bo żyta kłaniając się Panu Bogu i jemu się kłaniały. A gdy Semen był głodny, kołatał Pan

Jezusik do obejścia rusnaków i mówił: «nakarmcie Semen sierotę»; a gdy Semen był spragniony, stawał Pan Jezusik nad strumieniem i mówił: «napój Semen sierotę». Tak Bojczuk nie miał biedy, choć go stryjenka czartowskim zielem z domu wypędziła, by zgarnąć chudobę chłopięcia. Ach! to zielsko! Miało ono taką właściwość, że Semenek nigdzie nie mógł miejsca zagrać, musiał się tulać od sioła do sioła, a wszędzie niedobrze mu było. I widział dzieci, hołubione przez matki, braci, otaczanych miłością siostr, bydłęta w swoich oborach, a jego lichy pędziło z kąta w kąt. Ach! to zielsko! W ten sposób przeszedł wszerek i wzdłuż całe Pokucie, od Czeremosza do Prutu i Dniestru, przeszedł raz, drugi, trzeci, tak, że go znał każdy Hucul, każdy smerek i każdy potok górski. Pan Jezusik słodziutki wynagrodził mu krzywdę, wyrażoną przez Łukieniową. Oto nauczył go piosnek rusnackich bez liku i pozwolił mu piosnki tworzyć. Siadał Semen na pniu drzewa w lesie, a szmer sosen niósł obrazy, niósł słowa. Chłopię szeptało zawzięcie wargami, szeptało sobie tak, że trawom nawet nie przeszkadzało. Nagle zabiegały mu oczy od radości, wstawał szybko i już głośno, nabożnie wymawiał: *«sława Isusu Chrystu!»*. Z nową piosnką na ustach podązał Semen do sioła i śpiewał rusnakom pieśni, a oni go zwali Semenem-śpiewakiem. I wszystkoby już dobrze było, gdyby go nie zarzekła czarodziejskim zie-

lem Łukieniową, gdyby go nie pędziło z miejsca na miejsce, — jak przydrożny proch! Do Bortnik wracał jednakże Semen, wracał co roku, na dzień, dwa. Zamawiał wówczas mszę za duszę matenki w cerkwi i osobną służbę Bożą na cmentarzu. Po służbie i mszy vypleniał Semen fioletowe bodyaki z mogiły i szedł znowu na włóczęgę, a Łukieniowa na chudobie rządziła. I dlatego muzyka Semen na «trubie» smutna była, bo jakże mógł być wesółym taki biedak? Dla wygnańca jest jedyna dola: łza, bo uśmiech w domu zagrzebał.

Przyszedł do mnie Semen-śpiewak i na życzliwe naleganie los swój i przeszłość opowiedział. Słuchałem uważnie i patrzałem na chłopca. Miał głowę bardzo brzydką, nieregularną, otoczoną gęstym pękiem hebanowych, poetycznie na ramiona spadających włosów. Na oliwkowej, silnie śniadej twarzy odstawały po murzyńsku ułożone usta i w górę wysadzony nos; para ślicznych piwnych oczu płakała rzewnością i melancholią. Bojczuk nosił zgrzebną koszulę, odsłaniającą na piersiach amulet, przepasaną cienkim rzemieniem, zgrzebne szarawary, nogi nieobute. Rondo jego słomianego, połamanego w fantastyczne formy kapelusza otaczała korona pręcików mleczu, artystycznie połączonych. Skończył swoje dzieje i westchnął:

— *Ja nikoly ne mozu buty na misy, tilko meży lud'my muszu, bo mene zaleła takem molo-kom stryjna...*

Prosiłem, aby coś z swoich piosnek przepowiedział. Zamyślił się chwilę i rzekł:

— *Ja wam zaraz powеду.*

1.

»Pochyliłw się dub do duba,
Jawir zełeneńkiy,
Oj, tam leżył pohybaje,
Żownier mōłodeńkiy«.

«Przechylił się dąb do dęba,
Jawor zieleniutki,
Przy nich leży bez tchu, życia
Wojownik młodziutki«.

2.

»Jak win leżył pohybaje,
Tiazeńko wzdychaje,
Win to sobi w Pana Boha
Ratunku żedaje«.

»Chociaż leży bez tchu, życia,
Ciężko jeszcze wzdycha,
Pana Boga o zbawienie
Biedaczysko prosi«.

3.

»I nadijszły wiwczarykij
Z biłymi wiwciami,
Zapłakały nad żownierom,
Dribnymi śliozamy«.

»Ha! nadeszli wtem pasterze
Z śnieżnemi owcami,
Zapłakali nad wojakiem
Drobnemi łezkami«.

4.

»Oj, ne płaczte, wiwczaryky,
Dajcie w misto znaty,
Naj przyjde pan kapitan,
Mene pochowaty«.

»Ej, nie płacście, pastuszkowie,
Dajcie znać do miasta,
Niech przyjedzie pan kapitan,
Aby mnie pogrzebać«.

5.

»No, przyjchaw pan kapitan
Z hołoju szabłou
Taj zapłakaw nad żownirom,
Taj nad hołowou«.

»No, przyjechał pan kapitan
Z obnażoną szablą,
Taj łyzi ronił nad wojakiem
Taj nad jego głową«.

6.

»Oj, ne płaczte, pan kapitan,
Widwalit mohyłu,
Dajcie momu rodu znaty,
Szo ja w wojsku hynu«.

»Oj, nie płacście, kapitanie,
Rozkopcie moglię,
A rodzinie szlijcie wieści,
Że w wojsku zginąłem«.

7.

»Teper pryszow jeho rodycz,
Najstarsza sestryczka,
Obertaje jeho łyczko,
Naprotyw soneczka«.

»Teraz przyszła z gniazda jego
Najstarsza siostrzyca,
Obróciła liczko brata
W złote słońca blaski«.

8.

»Oj, tut leżył, oj, tut propaw,
Lube dytia moje,
Ne usłuchaw otcia, matir,
Piszło życie twoje«.

»Oj, tu leży, oj, tu zmarniał,
Lube dziecię moje,
Nie słuchałeś ojca, matki,
Zgasło życie twoje«.

9.

»Oj, wmer żownir, umer żownir,
Taj mu zadzwonyły,
Prysłał cisar dwa żowniery,
Taj mu wystrzyły«.

»Umarł żołnierz, umarł żołnierz,
Taj mu zadzwonili.
Przysłał cesarz dwu kamratów,
Taj mu wystrzelili«.

Po piosnce o wojaku nastąpiły inne rzewniesz-
sze; pieśniarz ich ułożył dużo, dużo...

Skończył, powstał i szepnął:

— Bądźcie zdrowi!

Poszedł, a za nim powłókł się smutek.

* * *

Co chwila musiał Dmytro Petraszczuk otwierać
«worota» długie, cienkie belki, wsunięte w żywo-

plot, ogradzający gospodarstwa. Rudo-żółty koń Iwana Fryniuka z Dory, Leśka, stąpał powoli, ale równomiernie. Przed nami leżały smutne huculskie szczyty: Bercza, Posicz, Jabłonka, całe owinięte w chmurę. Za Bachrowcem skradał się ku lasom przysiołek Elem, samotny, senny, przepełniony pastwiskami. Na polach leżało blade słońce i przelewało promienie po obfitej rosie. Rozwłóczony naokół sianokos przepajał powietrze ziołą, odświeżającą wonią. Trawy wstawały do rannego światła, otrząsały się z wilgoci i kładły na jasności ogromnej przestrzeni. Otwarł się bezbrzeżnie wielki bór buków, połamany, rozrzucony, kopiec na kopcu. Cisza w nim była i zamyślenie biednej, w cierpieniach tonącej melancholii. Na szkarpach stoków rozpościerały się zgniłe trupy buków i sośnin, powalonych wiatrem na gliniasty tok. U krańców lasów paliły się stosy drzew dla odpędzenia dzików od ornych zagonów. Leśka postępowała po najwęższych, oślizgłych ścieżynach i przykrych wykrotach z mistrzowską wprawą. Wdarliśmy się nareszcie na połoniny Gorganów. Góra ginęła w chmurach i oparach, kłębiących się z czubów smereczanych. Szklaną pustkę ożywiały przeciągłe owcze beki, ryk przesycionych pełną paszą krów. Połonina falowała chimerycznie, jak pruciane nurty. Widok urozmaicały dwie drewniane kletki, niziutko ponad ziemią wzniesione, niedaleko siebie. To huculskie koleby, schronisko na noc i przed deszczem.

Ich dach, z mizernych spojony tarcic, spadał na murawę; zamiast ścian narzucone były na siebie niesforenie sosnowe kory, przepuszczające wiatr i żar słoneczny. Całe wnętrze opaliło się od czadu polan na heban. Marne te łupiny bez drzwi podtrzymywały u wierzchu skrzyżowane z różnych stron słupy, brodzące u podstaw w brzydkich łopuchach. W kolebie stał zgięty w połowę pasterz Wasyl Lesiuk, właściciel siedmiu owiec i jednej krowy. Gotował właśnie kuleszę¹⁾ w garnku blaszanym, zwieszonym nad ogniem, na krótkim kijku «kiloku». Chłop liczył lat 34, nosił zwykłą huculską odzież, bardzo na słońcu spaloną i deszczach zsiekaną. Twarz miał apatyczną, bladą, silnie ocienioną szerokim rzyym wąsem. Fetor szedł od niego, bo zgrzebną koszulę nasmarował owczym masłem, aby się go robactwo nie czepiało. Od trzynastu przeszło lat wyganiał z brzaskami wiosennymi bydło huculskie na połoninę. Maj szedł na góry i po drodze wabił trawę z ziemi, a zieleni z drzew i Wasyl szedł na nie, pędząc przed sobą gęste stadka. W chacie zostawiał ojca starucha i siwą macochę, z sobą zabierał żonę Annę i braci Jurka i Hrycia. Na połoninie siaduje do późnej jesieni, aż żółcizna spadnie na bożą roślinność, naniesiona od Czarnohory. Najświętsza Panienska Różańcowa gna mu stadka z powrotem na dolinę

¹⁾ Odwar kukurydzy.

i oplata czarną wełnę owieczek srebrnymi nitkami babiego lata, że wyglądają, jak żałobnice. Chłop chwalił Boga Ojca i wszystkich świętych, bo nigdy zmartwienia nie miał. Urodził się w Jamnie, na jamniańskich graniach wyrósł, na huculskim chlebie odżywił się, a zresztą go nic nie obchodziło. Raz tylko zmącili mu spokój wezwaniem do rezerwy zapasowej. «Abrychtowali» go i puścili, — Bóg przeznaczył rusnaka do wolności. A potem poszedł Wasyl w ożenek, bo Hucuł powinien mieć babę, jak Beskid ma Jawornik, a Prut swoją Żonkę. Wasyla trapiła jedna tylko zhora, jeden tuman siadał mu na duszy. A nuż która z powierzonych Wasylowi owiec, zachowaj słodziutki Jezusie, na marne przepadnie... To też złożył w cerkiewce uroczysty ślub, że w poniedziałki sam suchy razowiec jeść będzie i popijać wodą, aby złe jakie nie opadło bydłatek pocziwych. A kiedy Pan Jezus zesze już dopust i bydlatko zdechnie, ściąga z niego skórę i grzebie ciało na połoninie. Zbiegają się na pogrzeb owieczki, obwąchują mogiłę i płaczą bolesnem: mee — mee... Wasyl ma pod swoją komendą 200 owiec, należących do 28 gospodarzy. On z nimi żyje, śpi, on je czyści, on chroni od nieprzyjaciół. Trzy razy dziennie, na świtanie, w południe i przed wieczorem, naganiają Hryć i Jurko bydlatka do doju. Wówczas Wasyl siada z połowicą swoją Lesiuczką pod niziutkim, spartym na czterech drążkach daszkiem, a skopce

przytrzymują kolanami. Stadko czeka tuż obok w karnych czwórkach. Para wlatuje pod daszek, Lesiukowie chwytają za dojki i scedzają bieluskie mleko. Czasem przeleci pod daszkiem «pusta», bo owca przed porodem nie daje mleka. Dój skończony, cała gromada ustawia się w szeregi pod bacznem spojrzeniem Hrycia i Jurka. Hiśta! hiśta! owce! — rozlegają się głosy; pstra, przeważnie czarna masa porusza się na paszę, na plenną trawę. Wasyl dźwiga dwa skopce po dwanaście litrów do koleby, filtruje mleko przez kawał zblichowanej guni do cebrzyka, dosypuje do płynu kawałek «glegu», serka z jagnięcego lub cielęcego żołądka. Pod wpływem przymieszki ciecz krzepnie prędko, przybiera barwę sino-marmurową, podobną do gazonowego wapna. Od każdej owcy musi dać Wasyl właścicielowi po powrocie z połoniny dwanaście litrów mleka lub odpowiednią ilość sera (bunzu). Co ponadto, to jego i dwadzieścia centów za trudy od sztuki. Czterdzieści papierków gotowizny ma Wasyl na jesień, to nie żarty!... Zresztą nic go na świecie nie obchodzi! Przyjdzie mroka na Gorgany i wiatr wyje przez szczeliny, nabiera sobie gałęzi, grzeje się z Hryćkiem, Jurkiem i Anną nad ogniskiem i patrzy, jak owce ryją się w ziemię, żeby ich deszczysko nie zasiekło. Co mu po ludziach, co mu po świecie! Wróci z połoniny, to Prut tak samo mruczy, jak mruczał, w cerkwi tak samo śpiewają, jak śpiewali. Na ziemi nic się nie zmie-

nia: Prut jest wieczny i bieda ludzka jest wieczna. Co zresztą Wasyla obchodzi! Natura dała mu szczęście — bo nieświadomość i obojętność. Zagrał na fujarce, Jurko zabrał się do plecienia z kory sosniny kosza na grzyby, Hryć leżał na toku, Wasyl stał przy bydłatkach. Błogosławieni wszyscy!...

* * *

Dowboszczyna, ojczyzna słynnych zbójników!... Gdzież jej ślady? Ostatnich bandytów tępił nielitościwie cesarski mandataryusz, Herdliczka. Miał on siedzibę w Uścierykach, miejscowości, położonej na rozkrzyżowaniu się białego z czarnym Czeremoszem. Słynne były jego «zimne katusze». Gazdów wrzucano na noc do lochów, lodem obłożonych, poczem skostniałych, głodnych, z zamierającym w piersiach tchem, prowadzono nad ranem do śledztwa. Na Herdliczkę polowali ustawicznie zbójniki. Los rzucił im w ramiona kata. Herdliczka wyprzedził raz swój oddział i w gęstym lesie nad Prutem napotkał Huculów-zbójników. Otoczono go, i przygotowania czyniono do egzekucyi. Cesarski mandataryusz prosił o chwilę na modlitwę, a potem o drugą dla zdjęcia odzieży. Zgodzono się, a tymczasem nadjechali strzelcy rządowi i w pień wycięli opryszków. Jednym z ostatnich przywódców był Szoła. Schwytano go i powieszono w 1830 r. Bandy rekrutowały się prze-

ważnie z dezterterów przed dwudziestoletnią naówczas służbą wojskową. Tradycja ludowa, z czasów Dowboszczyny pochodząca, otaczała zbójników wciąż wielkich rycerzy. Cała Jamna była zbójcekiem gniazdem, dzisiejsi Huculi gniazda tego potomkami. Zbójnik łupił na drogach, zabierał towary i pieniądze, rozdzielał je między gazdów, prawie nigdy nie zabijał. Huculszczyna uważała go za swego dobrodzieja i karzące ramię sprawiedliwości. Gorąca krew dawnych beskidowych Janosików jeszcze się niekiedy dziś odezwie i szuka ujścia w krwawych czynach. Dla przykładu charakterystyczna historia Stefana Kapitańczuka.

* * *

W Jamnie, wsi, sąsiadującej z Jaremczem, wielki popłoch... Ktoś puścił wieść, że Stefan Kapitańczuk wróci niebawem do swojego siola. Wieść poszła z góry na górę, z jaru, do jaru, z chaty huculskiej do chaty.

— *Stefan przyjde teper!*

Gdym odbywał gościńcem jamniańskim konną wycieczkę na Chomiak, wysuwali się nieśmiało z szynków i przydrożnych gostyni Żydzi nastrojeni. Z ich źrenic wyglądało przygnębienie, trwoga jutra, oczekiwanie czegoś, co się ma zwalić na nich smagającym huraganem.

— Przepraszam pana... Czy to prawda, że Ka-

pitańczyk *frei?*... Tak mówią wszędzie, tak nawet powiadał pan wachmistrz od żandarmów...

— Bądźcie spokojni, to bajki!...

— Nu i my tak myślimy...

Rozpogadzało się czoło interlokutora, uśmiech zadowolenia skradał mu się w kąty ust, błogie uczucie ulgi zginało ciało do bardzo usługowego pokłonu. A tymczasem szły za mną głosy Hucul-szczyzny, gawędzącej i rano i wieczór o przybyciu Stefana. Na Jamnie, na Bachrowcu, na przysiołku Elem i tam na Dorze, powtarzał się sakramentalny wyraz:

Kapitańczyk, Kapitańczyk!...

Cała Dowboszczyzna poruszyła się, rozchrzyła, jakby wionął na nią buntowniczy duch «wielkiego rycerza» Ofeksy, jakby stanął na szarych piaskowcowych skałach nadpruciańskich i z dużej smukłej truby zawołał do zbójnickiego.

Popielatym wygodnym traktem rządowym zdążyłem ku Mikuliczynowi. Fala pruciańska, rozbita o głązy, tłukła się dzikim tonem w powietrzu. Hen! za Kollerowskim krzyżem na «kamieniu Dobosza», za Kratterowskim pomnikiem, wznosi się biały, niski domek kryty gontem o dwu przysadkowatych okienkach i szerokiej furcie wjazdowej... Przy niej na tablicy napis: «Wyszynk propinacyi Rubina i Gryffla...» Wszędzie ci królowie propinacyjni Rubin i Gryffel!... W pierwszej izbie lada sklepowa zakratowana białymi łaťami aż do

pułapu. Wygląda to, jak więzienie lub kurnik dla seciny drobiu. Na boku duża ława koło sosnowego stołu i pieca, obłożonego wbrew huculskim zwyczajom porządną blachą. Tuż schludny pokoić, rodzaj alkierzyka, a za nim obszerna, niebieskim farbikiem zaciągnięta izba. Okienko, zwrócone ku trasie kolejowej, zdobią doniczki, przeważnie fuksya. Na szafie szabasowe mosiężne lichtarze, na łózkach zielone kapy, na stole różowy obrus. Siedzi przy nim Dawid Spiegiel, dzierżawca propinacyi z «twilemem», nałożonym na czoło, z paskami, siedem razy okręconymi na dłoni, i kiwa się:

— Adonai elojchajni!...

Krząkam,... odwraca się...

Ma może lat pięćdziesiąt. Biedna, choć czysta, bekiesza zwiesza się z jego chudych, kościstych, mizerackich ramion i piersi. Głowa wyschła, spiczasta, ustrojona w jarmułkę, z pod której para rozwiewa się pejsów. Żółcizna i zmarszczki zorały jego nad wyraz smutną, wynędzniałą twarz, otoczoną rozczochraną, nieporządnie utrzymaną, szpakowatą bródką. Oczy jego biegają niespokojnie, jakby ciągle widział przed sobą nie tak dawno rozegraną tragedję lub się bał czegoś nieokreślonego, wiszącego w powietrzu.

— Dzień dobry! to pan Dawid Spiegiel?

— Ja, nu, czem mogę służyć?...

— Niczem, tak sobie wpadłem, napić się piwa.

— Proszę siadać!... Ruchel, a Flasche Bier! Zjawia się Ruchel i stawia flaszkę.

— Przepraszam pana, czy to prawda, że Kapitańczyk wróci?

— Ależ do czego! bajki wierutne! Pójdzie do Kulparkowa ¹⁾. Tak lekarze orzekli.

— *Geloubey Gott!* Chwała Bogu! — rozlega się głębokie westchnienie. I jakby z wdzięczności ściąga jarmułkę, nachyla głowę i pokazuje mi coś palcem. Pośród rzadkich, zlepionych włosów widzę dół czy dziurę na kilka dobrych centymetrów. To zagojony ślad po uderzeniu Kapitańczyka.

— Ot, do tego tu okna zapukał (pokazał na okienko, skierowane ku kolei) ciemną nocą i rzekł:

— *Pane propinator, otvorit meni, ja chocz wam widdaty dowh...* Nu i otworzyłem mu. To on mi rozłupał czaszkę, ja padłem i zalałem się krwią, a on tymczasem zamordował moją żonę Chaję i jeszcze dwu Żydków tu obok w izbie ciężko ranił... Nu, oniby go puścili za to frei?!

Rzucił przed siebie długie, bardzo żałosne i naprawdę cierpiące spojrzenie:

— Panie, ja od tego czasu ciągle choruję na głowę i tak mnie piecze...

— A mieliście z sobą jakie rachunki?

— Był mi winien 92 reńskich za pobrane trunki

¹⁾ Zakład dla umysłowo chorych pod Lwowem.

i jadło. Z tego zaledwie pięć pożyczyłem mu gotówkę. Czy on tylko nie wróci?...

— Chory jest, pójdzie do Kulparkowa...

— Jaki un chory! — zachnął się — kiedy uciekł, gdy już pomordował, jak ja się podźwignął ze ziemi... Myślał, że to kto inny, boby mię ubił. Myszygene nie ucieka.

Nie złorzeczył, nie wymyślał, tylko z pokorą poprawił taśes, nachylił się nad modlitewnikiem i zamierzał szeptać pacierze.

— A co za jedna ta kobieta?

— Ruchel? to moja druga żona.

Nie tracił czasu! Powiódł drugą w związki małżeńskie, bo dobry Żyd nie powinien być bez polowicy. Tak mu zakon, tak interes każe.

Naprzeciw karczmy, na sporem w formie wału wzniesieniu, ogrodzonym żywopłotem, rozciąga się nierówno falujący pod górę zagon. Z dołu go prawie nie widać. Po przedarciu się przez płot rozciąga się może dwu, może trzymorgowe pole, opadające w wypukłych, chimerycznych załomach ku rządowemu traktowi. Rosną na niem różne warzywa, trochę zboża — a reszta pastwisko. Zupełnie na uboczu sterczy malutka chatka, a obok niej druga obszerna, bardzo porządnie budowana z pewnym huculskim zbytkiem i komfortem. Wokół niej mały, w słońcu ogrzewany sad i kilkanaście ulów, sterczących samotnie, sennie, jak miniatura chińskich pagód.

To właściwe ognisko Huculszczyny w tych stronach. Siedzą tu od wieków rozmnożone niesłuchanie Niemczuki, Ostasiuki, Petraszczuki, Iwasiuki, spokrewnieni z sobą na wszystkie strony, niby stara zaściankowa szlachta litewska i gospodarują, jak ich ojcowie.

— Pomahaj Boże!

Sierpy, kłonicie i grabie zawisły na chwilę w powietrzu. Sielankowy obraz *à la Watteau* roztaczał się z całą przepiękną cyzelaturą przyrody i czarem naturalności. Zapach sianokosu znarkotyzował spiekłą, spodziewającą się burzy atmosferę; zdala i zbliżka załatywały chrzęsty sierpów i smereczane wonie.

Przedemną stała matka Stefana Kapitańczuka, Marusia i zbierała pośpiesznie z powodu chmur, idących od Czarnohory, rozwleczone siano na kopę pod oborę (rodzaj stodoły otwartej); pomagały jej dwie córki: Ołena i Anna, śliczne, rosłe, zdrowe, jak jaremczańskie sosny, dziewczyny. Obok Ołeny grabił jej narzeczony Wasyl Niemczuk, nalany, tłusty, młodzieniec o dość bezmyślnym wyrazie żreń. Najstarsza Jewdocha, wydana za brata Wasyla, Iwana, odpoczywała pod chatą, zmęczona spowiedzią w cerkwi jamniańskiej. W szalenowej czerwonej chuście, kokieterijnie na plecach spadającej, z płowo-białym zaczesaniem na czole, z łagodnym wyrazem ust i oczu, z słodyczą, rozlaną na twarzy, wyglądała, jak model swojskiej, roz-

marzonej, tonącej w bólu Madonny. Najbardziej jednak w tym doborze zajmująca matka, 52-letnia kobieta, ze zmietoszoną już twarzą, ale nadzwyczaj energicznymi, urywanymi i ostrymi ruchami. I matka i córki, chociaż przy robocie, ubrane odświętnie w czerwone zapaski od przodu i tyłu i w czyściutkie zgrzebne soroczki. Niebo sypało żar, — czerwieniło się, pokrywało zdradliwym rudo-fioletowym obłokiem. Grzmot pomrukiwał w oddali i zbliżał się, niby po prutowej fali. Kobietom paliła się w rękach robota, więc usiadłem na boku i uprzytomniłem sobie w tych ramach i otoczeniu, co o Kapitańczuku jednoznacznie od najbliższych jego sąsiadów i krewniaków słyszałem.

Stefan był junak nad junaki, lubił wypitkę i wybitkę. Nosił się z huculską, ale po pańsku. Miał koszule delikatne i buty z cholewami, aż hej! i ładną dziobańkę u boku. Palił, bo palił tylko «taliańskie», i pił wino od Szmiła Blocha z Jamny, a nigdy horyłkę lub piwo. A że mu na pieniądzech nie zbywało, więc z fantazją maszerował do pańskiej restauracji Skrzyńskiego w Jaremczu i dopiero dokazywał na umór! Lubiono go we wsi, bo z nim pili wszyscy. Jak on tylko wszedł czy do Spiegła czy do Blocha, roіło się zaraz, jak na sejmiku. Huculszczyna jamniańska używała, wódka, niby woda, łała się korytem. Czasem odszpunto-

wano 15 beczek piwa na dobę, a całe sioło piło, rzuciwszy zajęcie koło zagród.

Ale Stefan zarabiał, to był «wielki majster».

Kamieniarz z niego był taki zawołany, że czy przy kolei czy inną pracę w mig załatwia, tak, że aż się wszyscy dziwowali. I to nie tylko zwykłe i proste rzeczy wysuwały się z pod jego dłuta, szły i piękne, ozdobne, pełne natchnienia. Skąd mu przyszła ta zręczność, nikt nie wie, ot, tak sama od siebie i od Boga. Jak wziął ciosać, to mu skrzyło się w oczach i piorunem wszystko było. Zarabiał też do 5 zł. dziennie, a czasem i więcej. W steinbruchu Haskiela Tallera wykonał roboty za trzy stówki. Do fabryki w Beczkowie, na Węgrzech, dostawiał roboty. Do doniek ani do młodych nie zachodził: obojętne mu były. Tkwił w duszy jego samorodny artysta, pełen natchnienia dzikiego, gdy chwycił za dłuto. Od dzbana wina szedł do pracy, nikomu drogi nie zastępując. Gdy jednak zaszumiło mu w głowie, rozwydrzał się, folgował, aż miło. Raz pobił ciężko w karczmie Semen Bojczuka, wałęsającego się na Pokuciu całem śpiwaka huculskiego, bo nie dał mu napaść na Stefana Niemczuka, jamniańskiego wójta. Za ten i inne wybryki spotkała go karząca ręka sprawiedliwości. Aż oto zbliżyła się właściwa, krwawa, straszna tragedia.

Opowiadał mi ją Leś Niemczuk, brat wójta Stefana.

Stefan pozostawił 48-letnią wdowę, Marusię, i majątek, wynoszący około 10.000 zł. Marusia stała się zaraz heroiną. Młody, pełen życia Stefan zbliżył się do niej i obiecał małżeństwo. W duszy układał sobie, że jego majsterstwo i jej fortuna muszą się złożyć na wielki kiedyś majątek. A prztem roilo mu się w głowie od ambicyi artystycznej, od planów, jakie wykona, mając grosz w pogotowiu.

— «*Bo to був великий майстер*», — westchnął Leś. A Marusia lubiła birbantować, lubiła hulać, swywolić, pełną garścią rzucać na prawo i na lewo... On z jednej strony, ona z drugiej i tak razem stracili do 4000 zł. Stefan, artysta, zaniebdywał się, zalewał, dłuto puszczał z dłoni, a Marusia patrzała kątami, aby, zachowaj Boże, nie umizgał się do młodych dziewczek! Pieniądze i dostatek zabiły Kapitańczuka: rozhukana jego natura pragnęła używania do szału.

Nasłał mu zaś całą biedę jeden kamieniarz z Beczkowa, który, nie mając zasobów na wykonanie pewnego przedsiębiorstwa do fabryki, musiał go Stefanowi odstąpić, rzucił jednak z zemsty nań czary. I od tej chwili był Stefan markotny, zawzięty, wszystko mu się psuło, wino, a nawet już alkohol szedł od niego zdaleka. Jak mu kto powiedział:

— *Sława Isusu Chrystu!* — to się nie odezwał. Lice miał dzikie, złowrogie.

— *«Synec mu buw popid oczy».*

Aj, ten majster z Beczkowa!

Stało się! Stefan zamordował żonę Spiegła, a trzech Żydów prawie utracił.

Leś znowu westchnął:

— *«A to buw welykyj majster!»*

Przypomniałem sobie to wszystko na widok tej biednej, spracowanej matki i dorodnych dziewcząt.

Deszcz zaczął lać i zapędził nas do chaty. Wszędzie schludno, niemal wykwintnie, jak na huculski przybytek. Dużo obrazów świętych wisi na ścianie w pokoju Stefana, a pod nimi zegarek kieszonkowy i ścienny.

— Kto śpi na łóżku Stefana? — pytam Ołeny.

— A Wasyl! — odpiera matka.

Stosunek narzeczeństwa nie krępuje ich wcale.

Ostrożnie, półsłówkami dowiaduję się, czy wiedzą, co się z Stefanem dzieje.

— *«Ne znaju!»* — odrzekła Marusia obojętnie, jakby chodziło o złamany na górach smerek.

Ta obojętność podrażniła mnie i rozdrażniła bardzo.

— A nic was to nie obchodzi?

— *«A szczo?»* mało mi służy nie wyschły, małym się namęczyła? a teraz muszę sama gazdować. Ot, pracuję, jak koń, a nikogo niema do pomocy.

Oceńiła rzecz ze stanowiska wartości ekonomicznej...

Poinformowałem ich, że lekarze uznali syna za chorego umysłowo.

— *«Naj bude!»* — pokiwała znowu apatycznie głową. Jedno jeszcze zadałem pytanie.

— Dawał wam Stefan co kiedy pieniędzy?

— Nigdy! — poszło wszystko z kamratami!

Zacisnęła wargi, jakby już nie chciała nic mówić. Ja też to zrozumiałem i w cichości duszy rozważałem, czy to bezczuciowość pierwotnego człowieka, czyli ból już przegryziony, wżarty w krew i w kości. Nie wiedziałem, jak sądzić.

Ale to w każdym razie nie lepsza, nie gorsza tragedia od tylu innych. A na jej tle bogatemu spotyka się ze znanym zbanalizowanym przysłowiem: *«Cherchez la femme»*¹⁾.

* * *

Pan Karol Obst opowiadał następujące podanie o Dowboszu według gawęd starych bazarzy.

Był w Nadwornie zamek drewniany, pierwotnie na górze Horodyszce, — później murowany w Pniowie. Pan kasztelan trzymał liczną służbę, pacholików, piechotę i wspaniałe cugi. Barwy kasztelańskie nosił też Hucuł Ołeksza Kabaluk, dowódca zamkowej infanterii, dlatego Dowboszem lub

¹⁾ Sądownie orzeczono, że Kapitańczuk dopuścił się czynu w przystępie przemijającego szału, skutkiem czego po chwilowej obserwacji puszczono go na wolność.

Doboszem zwany. W Ołeksie grała krew junacka, żywa, rwąca, jak Prutowa fala; odezwała się w nim raz za silnie i do jakiegoś złego popchnęła czynu. Unikając pańskiej karzącej ręki, zbiegł na górę Malawę, pod Delatynem. Jesień opadła już stoki i wybrała z nich zieleń. Pustka leżała naokół, wszedź i wzdłuż nie było rusnackiej chałupy. Głód wypędził resztki sił z Ołeksowego ciała... Wtem spostrzegł wesoło buchające ogniska i czad od nich, pełzający po ziemi. Pośpieszył... Tuż przy roznieconych ogniskach leżała garść Kozaków, wiozących sól z Delatyna na Ukrainę.

— *Waryte kaszu?* — zagadnął Ołeksę, patrząc chciwie na objęte płomieniem kociołki.

— *Tak, a ne dla wsich!*... — brzmiała odpowiedź.

Rozgniewany Dowbosz chwycił jedną ręką kociołek, drugą kozacką strzelbę i powtórzył ironicznie:

— *Oj prawda, ne dla wsich!*

Był to pierwszy rabunek przyszłego watażki i gazdowskiego bożka. Jego tłem dzika nadpruciańska góra, tonąca w zamierzchłych lasach, kozacza drużyna, wioząca sól z salin delatyńskich na Ukrainę i gorejąca od obozowych ognisk łuna... Z Malawy szedł Ołeksę przez Dorę, Jaremcze, ku Węgrom. Osamotnienie i smutek wlokły się za nim, a przed nim leciał szum lasów i pogwar Prutu. Gdzie się podział? W Jamnie stało kilku

chłopów przy oborach. Pchali siano pod daszek wysokimi żerdziami, ubijali boki i jak rusnacy, milczeli. Zoczył ich Ołeksę i rzekł:

— Hej! mołojcy, chodźcie za mną, każdy będzie miał bitych¹⁾ garncami.

Huculi rzucili żerdzie i nuż garnąć się około przybysza. Zebrała się wnet czerniawa gęsta, jak opar deszczowy, ciągnący z wierchów lasowych. Radowało się serce Ołeksy, że nagle został watażką i że, jak wolny orzeł, pędzi po górach, króluje i nie czuje na sobie kasztelańskiego oka. Tak zawłókł się na obławę do Mikuliczyna i dziękował Panu Jezusowi za widoczne łaski i cudowną opiekę. Pozdrawiali go Huculi po drogach, jak batka swego, a on im tylko mówił:

— Koniec waszej biedzie, koniec biedzie waszych żon i dzieci! Hucuł się żegnał krzyżem, co tchu biegł do domu i wrzeszczał:

— Koniec biedzie!...

I szedł rusnak do cerkwi i owce gnał na paszę i drzewo rąbał w oborze, szepcząc:

— Koniec biedzie!...

Malutko patrzeć, a Chrystus zejdzie na ziemię, rozwieje śnieżny płaszcz i siać będzie bitymi, niby żytem na polu.

Ołeksę gnał i gnał i ciągle Jezusika chwalił.

Raz mu się jednak markotno zrobiło, bo wi-

¹⁾ Talarów.

dział przed sobą olbrzymią skałę piaskowca, tak wysoką, że, gdyby pięćdziesięciu rusnaków na sobie stanęło, jeszczeby nie dosięgło jej czuba. Ołeksa rozważał, jakim on marnem jest stworzeniem wobec olbrzyma i jęknął z tęsknoty żalownie, że mu u nóg źródło wytrysło, niby gorzka łzawica. Potem jął się modlić i prosić nieba o siłę, o nieśmiertelną, niezwalczoną moc. Zjawił się też Pan Jezus ze słodyczą w żrenicach, z dłonią, wyciągniętą do rozkazów.

— Podważ, Ołeksia, od spodu tę skałę i zanieś, gdzie każe!

Watażka patrzył, ale oczy mu się ćmiły od wielkiej i świętej jasności. Wyciągnął ramię, podstawił dłoń i zabrał skałę.

— Hospody! — szeptał drżącymi wargami.

Tak szedł i szedł, a olbrzymi kamień rzucał mroki i słońce zakrywał swymi rozmiarami. Jenon na przedzie migotał blask złocisty, jakby od monstrancy i światłość taka biła, że nurzały się w niej ptaszęta i śpiewały potem hymny, niby chór aniołów. Aż tam niedaleko, gdzie Prut z progów dużych spada, stanął Pan Jezus i znowu palcem wskazał. Rzucił w tem miejscu Ołeksia skałę — i tak powstała Dowboszowa chata, słynna zbójcka kryjówka.

Kabaluk był ojcem Huculszczyny: nędzarzy otaczał opieką, zrabowane pieniądze pełnemi rozdzielał garściami. Napadał głównie na kupców or-

miańskich i żydowskich, podążających ku węgierskiej granicy. Z czasem postać zuchwałego watażki opromieniono świętym nimbem postać Bożego, uchodziła ona za opiekuńczą rękę niebios, spoczywającą na opuszczonej, za górami zapadłej doli gazdowskiej. Wielki rycerz! wielki rycerz! szeptali z czcią rusnacy. Otaczało go bezgraniczne uwielbienie i czar cudowności. Pan Jezus dał mu taką bohaterską moc, że się go żadne na świecie kule nie miały i żadne zło mu nie szkodziło. Rzucił się też na całe pułki królewskie, szedł w grad ogniowy i zawsze zwyciężał.

I żyłby Kabaluk seciny lat, przetrwałby niejedną smerek i niejedną limbę na Pokuciu i miliony prutowych fał. Ale oto weszła mu w drogę kobieta i ściągnęła marny koniec. Ołeksia, urodziwy junak, miał w Kosmaczu, w Kossowskim, kochanicę, żonę gazdy Stefana Dźwinki. Gaździna za nim przepadała i męża i dzieci zaniedbywała, całą duszą lecąc ku swemu Janosikowi. Nie dość było krewkiemu Dowboszowi jednego romansu, postarał się o drugi w Hoszowie, koło Bolechowa. Kosmacka młodyca postanowiła się zemścić za zdradę, za straconą swoją cnotę, a w dodatku obawiała się rabunku komory...

Pewnego razu przyszedł pod wieczór watażka do Kosmacza, kazał spocząć swoim kamratom, a sam odwiedził Dźwincuczkę. Zmęczony usiadł na ławie i prosił swoją kochanicę, aby go po gło-

wie iskała. Posiłał się tedy kuleszą i razowcem, ona zaś rozczesywała palcami gąszcz kabalukowych czarniuteńkich włosów. Wdzięczyła się kobiecina zalotnie, jak nigdy, nadstawiała usta i nagle zapytała:

— Co to jest, Ołeksia, że was ani ubić ani zastrzelić nie można!...

— Można! zdradził się watażka, byle wyrwać moje dwa srebrne włosy i dać je na kulę!...

Ona to uczyniła i iskała go jeszcze godzinę lub dwie, a włosy zapchała między zęby... Gdy już księżyc dobrze na niebie świecił, zerwał się Dowbosz, huknął na kamratów i pociągnął do Sebaty na Węgrzech, zapowiadając blizki powrót. Dźwinczuczka zaś poleciła mężowi kupić kulę, obwiązać ją srebrnymi włosami i zanieść do popa, aby nad nią odprawił dwanaście służb Bożych w cerkwi. Stefan z radością spełnił, co mu nakazano. Nabił puszkę zwykłym i święconym nabojem i zostawił ją na strysku.

Nadpłynęła noc miesięczna, tajemnicza, nasiana gwiazdami. Kosmackie psy ujadły, odpowiedziało im echo huculskich «trub» i rogów».

Do drzwi Dźwinczuczki pukano, kołatano energicznie.

— Otwórzcie! otwórzcie! — wołał Ołeksia.

— *Ne otworu!* — brzmiał stanowczo głos kobiecy.

— Ja drzwi wybiję! — wrzasnął Dowbosz.

Kochanica odpowiedziała z przekorą:

— *U mene dwery tysowiji, a zamki stalowiji!*

Ciszę powietrzną przeszył olbrzymi huk. Stefan celnie w serce trafił.

— *Harazd my plunuw!* Dobrześ napiu! — wrzasnął watażka i brodząc we krwi, dowlókł się do swoich. Konając, prosił zbójników, aby go wzięli na toporki i zanieśli na Czarnohorę.

»Oj, wy chłopci młodzi,
Berit mene na toporci
I nesit na Czornohoru«.

Na Czarnohorze mają, według podania ludowej pieśni, leżeć zwłoki «wielkiego rycerza». W rzeczywistości pochowano go prawdopodobnie nad brzegiem Prutu, w Jamnie, tam, gdzie dziś chałupa Jurczychy Chodowaniec. Ród watażki dotrwał jeszcze do dziś dnia w tem siole.

* * *

Tyle tradycja, snująca zresztą różne warianty i różne powieści.

Znakomity znawca Huculszczyny, Juliusz Turczyński, autor «Tarasa z Worochty» i «Strasznej drużyny», ogłosił w «Upominku dla Elizy Orzeszkowej» dokument, znaleziony u pra-prawnuka słynnego beskidowego zbójnika, w Kosmaczu. Dokumentem tym zwolnił księżę Józef Jabłonowski, wojewoda nowogrodzki, dnia 20-go października

1745 r. swego poddanego, Stefana Dźwinkę od «wszelkich danin, podatków, czynszów i innych jakichkolwiek powinności, tak dworskich, jako i gromadzkich» na całe życie za zgładzenie «herszta opryszków», Ołeksy Dowbosza. O przestachu, grozie, jakie siał Kabaluk na Pokuciu, świadczą epitety, połączone z nazwiskiem jego w owym przywileju. Oto Ołeksę jest «hersztem wszystkich nieprawości i zbrodni, smokiem, wychowanym w za-pruckich górach, pożerającym życie i substancję obywateli pokuckich»... Czynem swoim «uspokoił Dźwinka ustawiczną bojaźń pokuckiego kraju i po-żądane bezpieczeństwo przywrócił». Z zakończenia dokumentu dowiadujemy się wreszcie, że na Dowbosza wyprawiało się wojsko koronne i Potockich w liczbie dwu i pół tysiąca ludzi, nie mogło jednak pokonać niezwalzonego watażki!... Zbójceka zatem działalność Ołeksy przypada na początek panowania Augusta III, na chwilę ogólnego rozstroju, uwiecznionego lapidarnem przysłowiem: «Za króla Sasa, jedz, pij i popuszczaj pasa». Z aktów dawnych miasta Stanisławowa, przeniesionych już częściowo do zakładu narodowego im. Ossolińskich we Lwowie, zaczerpnął J. Turczyński kilka szczegółów, rzucających trochę światła na pochodzenie Kabaluka. Ojciec Dowbosza, biedny Rusin, w Peczyniżynie, koło Kołomyi, miał dwu synów: Ołeksę i Iwana. Ołeksie sprzykrzyło się w domu, udał się przeto w góry i w r. 1738 stanął na

czyle zbójcekiej drużyny. Huculszczyzna uważała go za swego dobrodzieja, a nawet Żydzi naprowadzali go na trop skrzyń, przepełnionych złotem; żona księdza unickiego z Sopołowa była skarbnikiem bandy. Śmierć Ołeksy zabarwiła fantazya ludowa romansem i rywalizacją między dwiema kochanicami. W rzeczywistości była to dość prozaiczna historia: Stefan Dźwinka pokłócił się z teściową o wiano swojej żony. Mściwa świekra podburzyła Dowbosza zmyślonem doniesieniem, że Dźwinka czatuje na jego życie. Watażka postanowił uprzedzić cios. W chwili, gdy się dobijał do chaty, dosięgła go Stefanowa kula. Ciało jego zabrano na wóz i jak skostniałe zwłoki Cyda, obwożono po siołach, aby naocznie przekonać Huculszczyznę, że kara Boża spadła na straszne go mołojca ¹⁾).

¹⁾ Świeżo wyszło znakomite dzieło Włodzimierza Szuchiewiczza p. n. »Huculszczyzna«, — prawdziwa kopalnia wiadomości etnograficznych, obyczajowych i t. d.

NAD JEZIOREM TRAUN

Na kilku podłużnych galarach, wiozących wazonkę z Ebensee na Dunaj, aż po morze Czarne, płynęliśmy do spadku rzeki Traun. Woda była dziwnie łagodną i dziwnie spokojną. Położyło się na niej zbudzone ze snu światło ranne, zalane różową jutrznią. Słońce ześliznęło się po górskich szafirach i wpadło w jasną głębię. Jezioro wstało czyste, uśmiechnięte, rozradowane. Po jego powierzchni pięła się wolno mleczna mgła. Tylko posępny Traunstein sterczał niedostępny, żałobny. Rozbijały się o jego głązy gromy i pożary piorunów, — on drwił jednak z gromów i piorunów. Ale że go przyroda nie oszczędzała, że pierś miał pooraną tysiącznem cierpieniem, że był opuszczony, jak juhas na poloninie, zdziczał i szerzył naokół postrach. Czasem wiatr wył, — a zdawało się, że Traunstein wyje, czasem fale jęczały, a zdawało się, że Traunstein szumi...

Na esplanadzie gmundeńskiej ocknęło się życie, — rojne, sezonowe życie.

Galary zbliżały się do sztucznych służ, — re-

gulatorów wodnych. Z mostu spadło mnóstwo barwnego kwiecia.

Szczęśliwej drogi! Do widzenia!

Młyny, tartaki, fabryki walców! Furczą koła, zgrzytają piły, lecą wióry... Jezioro wlewa się w wąską, niezmiernie głęboką rzekę, martwą, bezduszną. Porusza się, jak gęsta, galaretowata ciecz, jak młoda żywica. Zielona jest, szpinakowata, jednostajna. Służa za służą! Łódź pędzi z góry wodnej na rozpiętej roztoczy, ocierając się miejscami o ściany podkopu. Chłód piwniczny wieje, bryzgi rozbitej fali przelatują nad głowami.

Cisza i trochę wytchnienia.

Zginęło Gmunden, został jedynie Traunstein z sąsiednim skalnym wirchem, wyobrażającym w profilu twarz ludzką. To głowa doskonała «śpiącej Greczynki» — jakby rozżalanej, w czary mitu zaklętej Niobe. Leży nieruchomo na kamiennych mchach, z oczami rozchylonymi ku błękitom, z ustami Fidjasza, spragnionymi rosy słonecznej, z namaszczeniem partenoińskiej Ateny. Czy jezioro z jej łez wytrysło, czy Traunstein przez nią zdziczał, przez tę osieroconą Niobę, bolejącą nad straconym szczęściem?...

Oddaliśmy się, ułuda nas ściga. Wrzynamy się w ciasny jar, porośły lianami i wierzbą. Szwajcarskie sztuczne ganki i progi wystają, jak zebra wielkoluda. Na krawędziach u szczytu jaru powiewają białe chustki.

— *Mahlzeit! Mahlzeit!*

Z galarów grzmi gromkie *Mahlzeit* wśród królewskiego, romantycznego otoczenia! Z roztoczy fal wynurza się fantastyczny zrab kamieni, pokrytych spleśniałymi mchami. Na nim krzyż złoty i biały Pan Jezus. Inri... Jezus Nazareński, król żydowski... A wilgi ćwierkają, zioła pachną, smereki strzelają w górę. Doprawdy ptaki niebieskie nie sieją, ani orzą, ani zbierają do gumien, a Ojciec-Twórca żywi je... Czuwa też nad niebezpieczną otchłanią, amulet dla podróżnych. Ręce zsiniałe wyciągają się z krzyża do błogosławieństwa:

Błogosławieni, którzy płaczą, albowiem będą pocieszeni...

Błogosławieni, którzy cierpią dla sprawiedliwości, albowiem ich jest królestwo niebieskie...

Błogosławieni miłośni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią...

Uchylają się kapelusze...

Na zieloną rozpadlinę, na ciche powietrze, na świat Boży pada głos basowy:

»Kto się w opiekę poda Panu swemu,

A całym sercem szczerze ufa Jemu,

Śmieie rzec może: mam obrońcę Boga,

Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga«.

Marcin Saładyga kierował prawą dłonią sterem, drugą sparł się w bok, patrzył przed siebie, a na jego szeroką, wygoloną twarz mazurską spływał

smutek z szczerých siwych źrenic. Co jego życie? Woził po topieli Traunu sól, jechał i wracał i znowu jechał i tak mijało wszystko, jak śmiech, jak ból, — jak trauneńska fala. Los go zwłóczył za zarobkiem między flisaki i rzucił na rzeczną bezdeń. Szła tylko za nim zdrowaśka, Ojczy nasz i pieśń sama jedna...

— To wy Polak? — spytałem zdziwiony.

Potakiwał głową i ciężko westchnął.

Wydobył z dziupli mosiężną wojskową trąbkę. Puścił ster, wyprężył się, wyprostował, rozchylił wargi i ujął szyjkę. Wnet mu się pierś rozdeła, powieki zapadły do połowy źrenic. Jęknął zrazu instrument, poczem zabrzmiał tonem marsza.

O pieśni! nasza pieśni nadziei!

— Ano widzicie panie!

Złatujemy po olbrzymiej równi pochyłej, — po rozbitej na pianę roztoczy. Saładyga już nie gra, — tylko czujnie stoi na tyle galaru. Ster chwieje się w jego posiniałej i żylastej dłoni, — jak pręt wierzby. Jedno niezręczne posunięcie, wszyscy zginą. Spadamy na dół wśród ryku wodospadu Traunu, rozbijającego się o czerepy kamieni.

Chwila, — minęło.

Marcin obtarł pot z czoła i skrzyżował ramiona na piersi.

Niemcy po swojemu zachwycali się wodospadem.

— *Das ist ein kolossales Vieh!*...

Wysiedliśmy.

Wyciągnąłem rękę do Marcina na pożegnanie.

— Z Panem Jezusem!... — rzekł.

Zatrzymał mię wołaniem. Uchwycił energicznie moją rękę i wcisnął w nią kawał nadpalonej świecy.

— A jak wróćcie tam, między naszych, postawcie w kościele na intencyę.

Łza mu się zaszklila w oczach.

— Aby Saładyga mógł na starość oglądać, jak nasze żyta rosną i nasze siana pachną...

Wskoczył prędko na galar.

Na Dunaj, na Dunaj!

* * *

Mknęła czerwona łódź «Anna» ku Traunsteinowi. Stary rybak Maks puszczał niedbale wiosła w toń jeziorną. Przed nim siedziała w żałobnym stroju kobieta. Duży wieniec z czeremchy, azalij i nieśmiertelników opadał z jej kolan.

Woda dopiero co uspokoiła się. Przed chwilą jeszcze pięły się fale w górę po sobie, ryczały i z wściekłą pasją miały się o brzegi. Został na nich jeden ton, — stalowo-brudnego mętu. Wycie bieгло po przestworzu, jak potępieńcze wołania. Traunstein plunął raz, drugi ognistą strugą pioruna i zmilkł.

Od zachodu spłynął pogodny blask. Słońce zaśmiało się do ziemi, ziemia do słońca i wody.

«Anna» minęła tajemniczy zamek Ortha.

Kobieta skamieniałym wzrokiem zawisała nad Traunsteinem.

Łódź podsunęła się pod ścianę góry. Maks wydobył z kieszeni odciosany kołek i wepchnął go w dziuplę kamienną. Potem podniósł ostrożnie wieniec i zawiesił go na kołku. Fala podplukała zieleni i wciągnęła w siebie woń kwiatów. Kobieta uklękła na dnie łodzi, podniosła dłonie i złożyła je do pacierza.

«Pozwól nam Panie zobaczyć się u Twych stóp, abyśmy mogli wespół z wszystkimi świętymi ubóstwiać Cię!»

«Boże! odpuszczenia dawco, racz przyjąć do wiecznego błogosławieństwa syna mego, przez krew wylaną i śmierć podjętą syna Twego, Zbawiciela naszego».

Maks zaś nucił równocześnie:

«Grosser Gott, wir loben Dich!
Herr wir preisen deine Stärke;
Vor dir neigt die Erde sich,
Und bewundert Deine Werke».

Po ogromnem jeziorze biegły drżące łkania — biegł nabożny śpiew Maksa. Rybak przycisnął garścią czapkę do piersi i patrzył w niebo.

Znowu płynęli po roztoczy.

— Pani! — to już dziś czwarta rocznica, — rzekł Maks. — Oj, ten czas, ten czas!...

— Czwarta...

— Eh! Pani, darł się biedaczysko na wierzch i marnie skończył... Nie on pierwszy. Ano dwadzieścia lat, to się człek o nic nie pyta i zdaje mu się, że świat nogami przesadzi. Tymczasem nogi się łamie, — a świat zostaje. I on został na dnie. Traun przedzej złoto, niż ciało wyda. Oto!...

Północny wiatr zmarszczył silnie powierzchnię i wzburzył fale.

Maks rażniej, silniej przebierał wiosłami.

— Od Traunsteinu wyje, wyje. Pani, będzie bieda.

Kobieta patrzała uporczywie w wodę i milczała.

Mknęli ku brzegowi.

* * *

Maks puścił wiosła z dłoni i pykał z krótkiej, porcelanowej fajeczki.

— A jak to ludzie za szczęściem gonią — a znaleźć go nie umieją. Szczęście nie w zbytkach, nie... Mam, panie, chałupinę nad jeziorem — aż hej! Woda mi mruczy i mruczy ciągle: «pluch...» pluch...» Przyjdzie słońce i zaleje fale, — to się promienistość złocista sączy do izby, sączy po mem łóżku, po stole, po Bożej Matce i okwieconej fuksyi. A ja sobie fruwać po otchłani, — jak wolny ptak,

jak łabędź z skrzydłem rozpostartem. Panie... Padnie szaruga — a niech padnie! Kręcę wówczas wędkę, czytam pismo święte i co mi kto zrobi?... Bo ewangelia, Panie, to ucieleśnione słowo Pana Jezusa, — a więc rozum życia i wiedza życia... Prawda Panie? Kasia zaś moja towarzyszy mi od lat czterdziestu — a jakże czterdziestu i słodko nam we dwoje. Panie, jaką ona warzy kaszę, jakie gotuje ziemniaki i węgierski gulasz!... Po jej rybie i kapuście palce lizać, Panie. I grosz jest, dzięki Bogu, uciulany i czystość jest i błogosławieństwo nieba. Panie, czego mi potrzeba?

Zamyślił się chwilę.

— Szczęście jest, tylko nie za człowiekiem, ale w nim samym, — a jakże. Człowiek — mizerak ma rękę krótką, więc nie dostanie do nieba, — ino do ziemi. Trzeba umieć chodzić i w tem cała sztuka...

Mądry zadowoli się tem, co ma, a nie pożąda niemożliwości.

Im mniej się posiada, — tem mniej się troszczy. Ubogi strzeże własnej biedy.

Wiara jest powietrzem nad jeziorem, — brak wiary powietrzem nad bagniskiem. Oddech jednego uzdrowia, — drugiego zabija.

Może nie, Panie? O, ja bogacz, duży bogacz! Traunstein mój i jezioro moje i wszystko powietrze i ptactwo i rybitwy i słońce! Ja pan i monarchom nie zazdroszczę królewskości...

— Nie macie, Maksie, żadnej troski?

— Oj mam, serdeczny panie, mam.

Łza mu zawisła na rzęsie.

— Oj mam... Boję się śmierci Kasi przed sobą. To widmo moje, prześladowanie moje. Panie Jezusie, nie dopuść tego, niech ona mi zawrze oczy na odpoczywanie wieczne! Idę codziennie do kościółka i błagam: «Matko Boża, Ojciec niebieski, Synu ukrzyżowany i święci anielscy, powołajcie mnie prędzej!...» I jestem, Panie, pewny, że stanę pierwszy na sądzie, tak, Panie...

Księżycowe, jasne, pełne srebrzystych drgnień odbicie, wlokło się po wodzie. Rozlała się po niej światłość niezmierna i niezmierna tajemniczość. Fale pluskały wesoło, kąpiąc się w czystych, rozpylonych blaskach powietrza. Błękitna, z pajęczyn gwiazd rozsnuta mgła krążyła nad roztoczą. Powierzchnia jeziora zbłękitniała także i zbłękitniał świat cały. Noc miesięczna szła w szacie, utkanej z pereł, dyamentów, owitej białą różą i białą lilią. Mistyczne, rzewne szumy unosiły się nad Traunem i zbiegły się z pluskiem fali w akord rozmarzenia. Sznur śnieżnych łabędzi posuwał się seledynowym szlakiem wodnym... Tu i ówdzie zamigotała latarka na łodzi. Po przestworzu rozbrzmiewał głos trąbki i odbijał się roztrąconem o granity Traunsteinu echem... Nagle z cieplej, wodnej głębi wstały opary o ludzkich kształtach i kobiecych powolnych, rozkosznych ruchach. Płyną, płyną nad falą rozru-

cone niedbale włosy, okrywające cudną, alabastrową twarz. Usta otwierają się do pocałunku, piersi wznoszą się rytmicznie, — ramiona kładą się na powietrzu... Böcklinowskie rusałki i topielice!... Szum wody zamienia się na śpiew. — Zjawisko zapada w nurt i śpiew milknie...

— Panie, o widzi pan tam... — zagadnął Maks.

Wskazał na kwadratowy, sędziwy zamek Ortha, wzniesiony jak wyspa odludna na jeziorze.

— Była niegdyś księżna, na zamczysku, oj, cud księżna. Rozmiłowała się w pospolitym rycerzu, chudopachołku. I wypłakała za nim żrenice i wypłakała za nim duszę i wypłakała za nim serce. A strzegła jej zamkowa milicya — setka ludzi. Tak ona w nocy wykradała się do baszty nad samą roztoczą i światło nastawiała ku oknu. I trzymała to światło pół godziny i drugie pół i trzecie pół... Cała była w bieli umartwiona, podobna do posągów w kościele, — jakże... Wzroku nie mogła oderwać od jednego punktu, tylko stała i stała, zupełnie martwo. Jechał rybak z połowu, to się i żegnał krzyżem świętym i odmawiał pacierze. Lud ją zwał białą księżniczką, a jakże... Wtem straszna światłość rozlewała się po wodzie. Hen z daleka, z daleka płynął w jasnej zbroi rycerz ku zamczysku... Płynął sobie jak łabędź swobodnie, bez wysiłku. Drogę wskazywał mu księżyc i płomień w ręku księżniczki i słowik, co jej kwilił na pocieszenie i ukojenie, a jakże. Uwiło pta-

szę umyślnie koło okna gniazdo i nuciło tra-la, tra-la... A jak już rycerz dosięgnął muru, piął się po drabinie sznurowej do ubóstwianej księżniczki. Ale go raz schwytali dworscy trabanci, przywiązali mu kamień do szyi i wrzucili w głębie. Tej samej nocy poszła go szukać na dno księżniczka, a jakże. I tak się połączyli, Panie... Odtąd tam woda rwie, jak nieszczęście...

Maks skończył opowieść.

— Jak tu ładnie, jak tu bosko!... Czego mi potrzeba, serdeczny Panie...

CZŁOWIEK DO WSZYSTKIEGO

CZŁOWIEK DO WSZYSTKIEGO

Jan Szczurowski kształcił się na malarza. Dla manifestowania przed światem zawodu swego nosił długie, rozwichrzone włosy, czarny fontaż i nieodstępną skrzynkę na farby. Wieczorami uczęszczał do artystycznej kawiarni, pił dużo, palił dużo, mówił mało. Ale gdy raczył usta otworzyć, padały tajemnicze dla profanów słowa: gips, knociarz, machnąłem pół metra...

Nagle znikł z widnokręgu... Gdzie? Dlaczego? Spory kawał czasu upłynął, po zaginionym ani śladu...

Aż tu pisma doniosły, że Jana Szczurowskiego mianowano pomocniczym nauczycielem rysunków w szkole średniej.

Profesor Szczurowski zmienił się zupełnie. Głowę jego zdobił wspaniały cylinder, rozwichrzone włosy przybrały kształty ładnie trefionej fryzury, fontaż i skrzynka należały do przeszłości. Słowem, Jan Szczurowski mógł uchodzić za wzór modnisia, który ruchy fizyczne cyrklem wymierzył.

Debiut w czwartej klasie rozpoczął nowy pedagog dość oryginalnie. Oto oświadczył chłopcom:

— Moi drodzy! Rysunki nie są martwą, wyłącznie do papieru przywiązaną rzeczą. Każdy z nas winien mieć rysunek w życiowej estetyce, w chodzie, w minie, w ujęciu widelca... Rozumiecie?

— Rozumiemy!...

Spojrzał na pierwszą kartkę dziennika klasowego, na alfabetyczny spis uczniów.

— Żardecki! — Jak słowa moje pojmować należy?

Żardecki nerwowo przesunął nogę ku sąsiadowi Wolińskiemu.

— Dobre jedzenie musi być narysowane...

Homeryczny śmiech zapanował w sali.

— Moi drodzy! Wychowanie nie pozwala śmiać się z drugiego, macie skutki sufłowania... Proszę bardzo o przestrzeganie form. Niech Żardecki siada! Zaraz kwestyę wytlómaczę!... Ludzie zwyczajnie nie posiadają sztuki kłaniania się... Przed kolegą uchyla się kapelusza dwadzieścia centymetrów nad głową, przyczem linia od czoła do kapelusza ma iść skośnie. Witając starszego i szanownego człowieka zdejmuje się nakrycie głowy aż do poziomu wyprężonej prawicy, — wobec kobiety zaś spuszcza się dłoń z kapeluszem ku nodze... Graficznie powstaje w pierwszym

wypadku linia pochylona, w drugim pozioma, w trzecim pionowa. Narysuję wam...

Szczurowski zawsze umiał plastycznie objaśniać swe słowa.

Gdy mu raz w pierwszej klasie chłopaki nad miarę swywołyli, stanął na środku izby w groźnej postawie, zmarszczył brwi, poczem milcząco ujął w prawą rękę od spodu tablicę wraz z sztafem i podniósł ją w górę.

— Widzieliście? — zagadnął — każdego zuchwalca zgniotę w garści.

Szczurowski jednał sobie wszędzie szacunek i podziw. Czynnym był zawsze; wiecznie chodził z dużą teką, kilku niezmiernie długimi linijkami i szkicenbuchem, który poważnie wystawał z kieszeni szarego ulstera. Na ulicy kłaniał się z różną uniżonością, — stosownie do pozycji i godności znajomego. Gdy go zatrzymywano, kiwał dystygowanie głową.

— Przepraszam, czas to pieniądz, Anglia tem wysoko stanęła...

Jan Szczurowski zaglądał niechętnie do sali konferencyjnej. Pogardzał filisteryą pedagogów, ich maniactwem i zacieśnianiem się w specyalnościach. Ach, profesor — to aparat z notesem, kaprał do musztry i nic więcej... Jeżeli Szczurowski zeszedł z olimpijskich wyżyn między pospolitych śmiertelników, stawał się uosobieniem pobłażliwości i przebaczenia. Wówczas ci śmiertelnicy dowiady-

wali się, że Szczurowski jest jednym z najtęższych cyklistów na świecie, że ma rower »Phoenix« i lawn-tennisowe ubranie od Mandla z Wiednia. Księżę Croy prosił go o wzięcie udziału w arystokratycznym popisie, ale on nie chciał z siebie zrobić wystawowego przedmiotu. Przepiórki, kuropatwy i inne ptactwo strzela o najgrubszy zakład w locie, zmrużywszy powieki. Nie potrzebuje wzroku, bo sympatyczne, z duszy idące promienie, kierują kulą do celu...

— Nazywam to oazopsychą, — panie kolego, — od francuskiego wyrazu na ptaka i greckiej psyche.

Pogadanka kończyła się zaproszeniem filistra do pracowni.

— Niech pan kolega nie przeraża się. Ze względu na światło mam warsztat wysoko, osobno jednak mieszkam w dwóch wspaniałych pokojach. My artyści skazani jesteśmy na koczowanie.

Profesorska powaga wdrapywała się tylnymi krętami schodami na trzecie piętro wśród zaklęć, sapań i odpoczynków. Nareszcie przystawała, oglądała wizytówki na drzwiach i desperacko mruczała pod nosem. Zły numer widocznie!... Potem odbywała wędrowkę na strych. Rzeczywiście były tam pół szklone drzwi z białym orłem u góry i z napisem »Szczęść Boże«.

— Kto tam? — wołano z środka.

— Swój! Dzień dobry panu koledze!...

Gość-geograf krzychał: ależ to istny Czimbo-rasso lub Gaurissankar! Historyk wdychał: piramida Cheopsa!... Geometra i matematyk mruczeli: stożek o średnicy tysiąca metrów. Filolog skandował: *tantus labor erat...*

Szczurowski zrywał się z połamanej sofki.

— Przebaczenia! nie drzemałem, bo czas to pieniądz... Przeglądałem album historycznych kostiumów do monumentalnego obrazu. Cóż robić, nieporządek, — ale ja w pracowni gościem. Mam dwa wspaniałe urządzone pokoje... Muszę, kobiety...

Kolega oglądał ze zdumieniem dużą, nędźnie pomalowaną izbę, wydłużoną w ciemną alkwę, zastawioną łóżkiem.

— Służę objaśnieniem!... — nadskakiwał Szczurowski. — Oto krajobraz w plenerze na zamówienie. Na prawo widok z mej wsi rodzinnej Krytej nad Krasną. Pycha! Dawali za niego pięćset reńskich, — alem nie głupi sprzedać... Uważa pan ile powietrza, ile słońca! A bydło pasące się przy leśnym wyrębie! Krowy możnaby doić! Dalej modernistyczne płótno »wizya szatania«, zakupione za tysiąc rubli. Podziwiają Vigelanda, Klingera... Sztuka! Pfi! W narożniku ledwie podmalowany hucul, wyławiający drzewo z zastawy nad Prutem. Obecnie siedzę nad Chrystusem dla kościoła w Skalmierzu.

Popularność Jana Szczurowskiego wzrastała

w profesorskiem gronie. Młodzież czytała z przejęciem podziękowania dla niego różnych towarzysztw, za uświetnienie wieczoru żywymi obrazami, recenzenci nazywali je punktem kulminacyjnym programu... Uznając zasługi swe wobec społeczeństwa, — prosił Szczurowski o trzecztygodniowy urlop na karnawał. Dyrektor okazał dziwny brak form i światowego wychowania.

— Kwalifikuje się pan do dymisyi!...

— Do dymisyi! wielka rzecz!... — pomyślał Szczurowski. — Nasi ludzie w czepku są już radcami, a w łysinie są brutalami...

Niebawem wyjechał Szczurowski do Krytej na pogrzeb ojca. Po upływie terminu urlopu — nadszedł do zakładu list.

»Zmienne koleje losu wtrąciły mię chwilowo w nauczycielski zawód, w *milieu* kontrastujące z barwą moich przekonań i *savoir vivre'u*. Z śmiercią ojca spadły na barki moje ważne obowiązki społeczne w imię hasła: »z polską szlachtą polski lud«. Obejmuję obszerne dziedzictwo, za posadę dziękuję. Proszę pozostawione przezemnie linijki i reiszeig sprzedać, a cenę uzyskaną ofiarować na cele ludowej szkoły. Zapewniam pana, panie dyrektorze, jak i grono nauczycielskie, — że wszystkich równą obdarzam życzliwością«.

W duszy Jana Szczurowskiego zrodziła się niezwykła myśl.

Siedział po pogrzebie ojca przed domkiem

wśród dębów, świerków, leszczyn, ostrężnic. Mnóstwo warzyw i dzikiego kwiecica rosło naokoło, ptactwo ³wiergotało, polne konie przeskakiwały z grzędy na grzędę.

Puścił wzrok po łąkach i aż serce w nim za-
biło.

Przecież patrzył tyle lat na Krytą i nic nie widział.

Teraz wstała przed nim wieś, otrząśnięta z porannych oparów i rosy, w majowej szacie uroczysta, bardzo piękna. Ślizgało się po niej ciepłe słońce, lejąc żary na górskie stoki, na brunatne chałupy, na łąny zboża i na hałasującą pomiędzy pręciami wierzb rzekę. Ogromnie bujna zieloność sączyła się z traw. Błogość wraz z ukojeniem płynęły z nieba i z ziemi przez powietrze na pszenne kłosa, na fale wodne i senne doliny.

— Bajecznie kolorowa! — westchnął Szczurowski.

Co za dziwy! co za dziwy! Za wawozem idzie wawóz, za wadołem wadół, nieginąca wstęga uroczysk i tajemnych szumów. Sunie stary góral Pinkas w popielatych galantach i wypowiada namaszczone pozdrowienie: »A daj wam panie Boże doczekać tyle років, ile jest fal w Krasnej i ustrzedz się przed krzywdami społeczeństwa«... Życie Szczurowskiego było słowem, — teraz stanie się czynem... Chałubiński odkopał Zakopane, on odkryje Krytą...

Pobiegł do izby z »dzień dobry« dla matki. Szczurowska leżała w fotelu i zatykała usta chustką. Dusił ją przewlekła astma i osłabiała wada serca. Syn krótko i węzłowato oświadczył, że wybiera się z garścią miejscowego ludu do Warszawy urządzić żywe obrazy.

— Za co? — skrzywiła się staruszka — za naszą nędzę?

— To już moja rzecz! Mam wspaniałą ideę!

Dzienniki stołeczne powitały Szczurowskiego z zapalem. Jedno z pism ilustrowanych zamieściło portret Chałubińskiego z Krytej i uczestników wybieczki. Sympatyczny odkrywca otrzymywał mnóstwo zaproszeń, widziano go i podziwiano na ulicy, w loży teatralnej — wszędzie. Do domu nad Krasną wracał bohater dnia.

— Widzi mamusia, przyjmowano mię jak króla, tam inna rasa...

— Synku, — odparła apatycznie Szczurowska — marnujesz czas.

— Ot mama kobieta, za miesiąc pokaże się...

Skutkiem gorączkowej czynności, nie miał czasu nawet dla księdza, z którym zwykle długie prowadził rozprawy.

— Czas, to pieniądz! Anglia dobrodzieju, Anglia!

Osoba duchowna wstrząsała ramionami, stukając palcem w czoło.

— Za miesiąc się pokaże!

Przystanął przed piętrowym, murowanym budynkiem obok karczmy, oglądał go ze wszystkich stron i kombinował.

Dom zawierał piętnaście izb, w których od biedy pomieścić się mogło kilkanaście osób. Trzeba z niego będzie Niemca właściciela wyrugować z narodowych pobudek... Szczurowski opukiwał ściany, oglądał drzwi, okna, łóżka... Po szczegółowej lustracji pustego »hotelu« puścił się szosą przed chałupę, na której widniał cesarski orzeł i pocztowa skrzynka. Jedyna latarnia wiejska koło budynku pocztowego była potłuczona i pusta. W ciągu dalszej wędrówki spostrzegł Szczurowski że w Krytej jeży się droga od wybojów i wykrotów, że brak jest mięsa i bławatnego sklepiku. Zmartwiły go te i inne spostrzeżenia, — nie wyziębły w nim jednak wcale animusz. Owszem, uważał całą Krytę za swą własność moralną, — za tajemniczą wyspę przyszłości. Przeskoczył wąskie korytko górskiego potoka, dostał się na góralski zagon, wziął kiść kłosów w dłoń, pogłaskał je i orzekł, że pełne mają ziarna. Następnie zagarnął Krasną na sporej przestrzeni i poodmierzał wzdłuż jej brzegów miejsca do kąpieli. W końcu postanowił bezinteresownie ofiarować obraz, zamówiony do Skalmierza, kryciańskiemu kościółkowi.

Mimo tych wybitnych czynów, gryzł myśli Szczurowskiego robak wątplenia. Odkrywca i moralny właściciel Krytej powinien zająć przecież

pevien urząd, piastować wyższe dostojęństwo... Tak, Kryta potrzebowała nagle straży ogniowej... Wprawdzie kurne chałupy porozrzucane były po górskich stokach, w odosobnieniu od siebie, ale wieś musi się kiedyś wybudować na dole...

Szczurowski sprzedał cichaczem dwa wieprzaki i sam po dokonaniu transakcyi kwiczał w oborze, aby matkę w błąd wprowadzić. Niebawem z Krytej odszedł do krawca-specjalisty rysunek kostiumu dla naczelnika straży wraz z prośbą o pośpiech i załączenie wszelkich do dygnitarstwa przywiązanych odznak. Czas czekania spędził Szczurowski na przygotowaniach do zamienienia Krytej w pierwszorzędną klimatykę. I tak domek nieboszczyka ojca nazwał »Warszawianką«, dziurę w mostku nad Krasną własnym naprawił kosztem, papierem zalepił przydróżną latarnię. Trudy wynagrodziła mu rychła przesyłka z miasta.

Mundur był wspaniały, malowniczy. Ciemno-brązowy kabat zdobił srebrny kołnierz i szereg srebrnych guzików, — pokrytych białymi orłami. Czarne z wyprasowaniami szarawary przecinały po bokach szkarłatne lampasy... Szczurowski rozkoszował się białymi rękawiczkami, sutymi epoletami, małą sygnałową trąbką i niklowanym pałaszem. Serce zabiło w nim żywo na widok lśniącego, aluminiowego kasku ze złocistą gwiazdą na froncie.

Przymierzył garnitur.

Wydało mu się, że jest Lohengrinem, jasnym

rycerzem Graala... Już płynął do Elsy, która wcześniej czy później zjawi się w Krytej z syreniej Warszawy, czy z mlekiem i miodem płynącej Ukrainy, czy ze zbożowego spichrza, Podola, czy skądkolwiek.

Pełen marzeń i fantazyi przedstawiał ojcom Krytej na posiedzeniu Rady gminnej projekta uszczęśliwienia wsi.

Chłopy poniemieli na widok uniformu..

Wójt, Paweł Gawron, oświadczył, że Szczurowski czuwać będzie nad bezpieczeństwem Krytej.

Niedowierzająco kiwał głową Szelgut, najroślejszy mieszkaniec Krytej, z bielmem na oku i zbójczą twarzą, wtórował mu niemo nestor, z pałakowatemi nogami Pinkas i mądry Chmiel, orator urzędowy na kryciańskich weselach. Młodszy zaś, Jasiek Samiec i Kowalik i Chłystuń i Paliwoda przebąkiwali monotonna pod nosem: piasek, piasek!... Szczurowskiego zabolął do żywego ów piasek, więc zerwał się z ławy i zagrzmiął:

— Żaden piasek! Wy radni z Krytej słyszeliście kiedy o Boecklinie? Nie! Widzicie, nazywano go waryatem, a jednak on był wielkim człowiekiem! — Wy jesteście ludzie mądrzy, — a nie chcecie iść z postępem... Czemże wasze stodoły, czem chałupy i statki? Jedna iskra zmiecie je, słyszycie, zmiecie. Dziś dostrzegłem dzieże i pierzyny na poręczach przed oknami pana burmistrza. Wyobraźcie sobie przy takim materyale ogień...

W nocy widziałem we śnie płonącą chałupę Szelguta. Szelgut założył ręce, Szelgucina płakała i klepała pacierze, a tu lichy żarło deskę po desce. Wtem biegnę z sikawką, puszcza węża do Krasnej i pompuję... Zagroda ocalała przynajmniej w połowie. Sikawki nam potrzeba!...

Chmielowi nie podobała się argumentacja.

— Pan Bóg najlepiej strzeże!...

Pinkas zaś dodał:

— Dziewięćdziesiąt років włóczę się po świętej ziemi a nie widziałem u nas nijakiego pożaru.

— Ale będzie, bo wszędzie są!... — wołał Szczurowski. — Zresztą Kryta się wstawi i odznaczy...

Ambitny wójt, Paweł Gawron, rzekł:

— Juści, miasteczka mają fajermanów, a my więcej, jak miasteczko, pięć tysięcy dusz. Kasę gminną stać na wydatek.

Zaczem mądry Chmiel i nestor Pinkas i rośli Szelgut zgodzili się na zdanie wójtowe.

— Może i tak dobrze, byle maszyna na świetle nie wylegiwała się. Boć stare przysłowie prawi: »nie wyzywaj wilka z lasu«.

Na pamiętnym posiedzeniu rady w Krytej uchwalono kupić sikawkę, rekwizyta i dziesięć mundurów dla ludzi.

Niezadługo, przed przybyciem transportu mundurów, rekwizytów i sikawki, podały dzienniki wia-

domość, że Kryta zagrożona była olbrzymim pożarem, którego uniknięto dzięki znakomitej straży, zorganizowanej przez Szczurowskiego.

Moralny właściciel Krytej był dumny z dzieła dokonanego, siedział w »Warszawiance« i nasłuchiwał...

Drzewa szumiały, jak zwykle, trawy zlewały się w nieskończoną płaszczyznę zieleni, Krasna toczyła nurty po kamiennych wyrwach, wygrywając na nich wiecznie jednostajną melodyę. Od zachodu przyleciał przybysz — wiatr, pohulał po polu i ginął za kresami borów.

Pewnego sierpniowego popołudnia zadudniło na szosie.

Szczurowski popędził w dół.

Rzemiennym dyszlem jechał znakomity powieściopisarz i publicysta Władysław Szreniawa. W białej kitajce, z rozczochraną brodą, rozwichrzonym włosom, z twarzą nerwową, z oczami zasłoniętymi parą czarnych szkieł, — przypominał leśnego, rozumnego satyra.

— Witam pana redaktora, witam u progu Krytej...

Redaktor błysnął żrenicami.

— Poskutkowały żywe obrazy, przyjedzie nas więcej...

Szczurowski zaprosił Szreniawę do »Warszawianki« dla pokrzepienia się po drodze długiej

i nużącej. Redaktor wypił nalewkę, rozglądnął się po izbie i zwrócił się ku wyjściu.

— Bardzo uprzejmie proszę, — nalegał Szczurowski — o wpisanie nazwiska w arkusz pamiętkowy.

Zaledwie Szreniawa opuścił »Warszawiankę«, zauważyła żałośnie Szczurowska:

— Synku, przecież pan redaktor mógł wziąć u nas mieszkanie, ośm izb stoi pustką.

Eh, kobiece zachcianki i kobiece pragnienia! Jakżeż mógł coś podobnego uczynić? Dyplomacya! dyplomacya! Po co ma spaść na niego zarzut egoizmu i spekulacyi?

Rozdrażniony uwagą matki numerował karty dużych w angielskie płótno oprawnych foliałów. Jedną z ksiąg przeznaczył do wpisywania pamiętkowego nazwisk, drugą do prowadzenia listy gości, ich charakteru, stałego miejsca zamieszkania, trzecią wreszcie do notowania ilości zabaw i innych nadzwyczajnych wydarzeń.

Wreszcie mniemał Szczurowski, że należałoby uczcić redaktora w sposób trwały, niecodzienny. Zawiesił zatem na smukłej żerdzi białoczerwoną chorągiew, zatknął ją koło kościółka na wysokim pagórku, który równocześnie ochrzcił mianem »Gloryety Władysława Szreniawy«. Wprawdzie gloryety jeszcze nie było, ale stanąć miała za rok, za dwa, za trzy...

Do Krytej zjechało około trzydziestu osób

ze sfer artystycznych i literackich. Przybył znany dziennikarz Połęcki, dyrektor teatru Zawierski, arcynarodowy malarz Zan-Homajer, kompozytor Turowski, poeta Skalisz, powieściopisarka Sokolicz-Nieporęcka z mężem.

Po upływie lat kilku stanęło w Krytej sześć wil w stylu zakopiańskim, — zbudowanych pod kierunkiem Szczurowskiego.

Zaledwie koło pierwszej rozpoczął robotę, zjawilo się od starostwa wezwanie, aby się wylegitymował koncesyą... W starostwie załatwił się prędko i czarne na białem otrzymał, że wolno mu raz na zawsze wykonywać »przedsiębiorstwa w drzewie«...

Na karcie wizytowej Szczurowskiego widniał szereg tytułów, a więc: »artysta-malarz, b. profesor rysunków, autoryzowany budowniczy dla sztuki stosowanej«, w narożniku zaś znajdowała się miejscowość: klimatyka Kryta...

Dla uniknięcia straty czasu, kupił moralny właściciel wsi nad Krasną rower i na nim zwoływał gości na wycieczkę, na zabawy, na odczyty. Bez niego nic się nie działo, nikt nie stawiał ławki przed domkiem, nie wprawiał w okno szyby, nie sprawiał sabałki.

Z Wybickimi z pod Kalisza zerwał na krótki czas, bo ośmielili się samowolnie umieścić na żerdzi w ogródku swoim kolorową kulę. I taki żal czuł do starego Wybickiego, że gdy mu chciał

zwrócić pieniądze za pół fury wapna, nerwowo poruszył dłonią:

— Panie prezesie, bagatelka...

Szlachcic strzelił z palców.

— Bierz pan sobie wapno z powrotem, mosterdzieju...

— W takim razie...

Policzył połowę wydanej sumy.

Tak samo jako autoryzowany budowniczy nie gonił za zarobkiem. Szczurowska zamartwiała się i narzekała:

— Syneczku, mordujesz się dla drugih. Nie mogę kupić pół butelczyny koniacku...

— Matka chce odrazu zbić majątek! Na razie pracuję tanio, ale potem... Niech tylko kupię hotel...

Szczurowski nabywał od kilku lat, ze względów narodowych »hotel«. Chodziło mu nie tylko o przedsiębiorstwo, ale o rozszerzenie swoich życiowych poglądów i angielskiego systemu. Wszyscy pensyoniści siadać będą z uderzeniem pierwszej do stołu, on zrobi niski dyg, zajmie miejsce prezydalne, pierwszą porcję odłoży na swój talerz, — następne osobiście rozdzieli gościom. Wieczorem poleje się herbata strumieniami... Dopokąd łyżka zostanie w próżnej filiżance — świeżą służący będzie przynosił. Ach, Albion! Albion! Wywłócił z walizy przetarty worek wojłokowy, wypchał go sianem i przytwardził do ściany. Stał przed nim

frontem, prawą nogę nieco w tył cofnął, zmarszczył czoło, pochylił się i pod kątem ostrym przeciął rękę, zaciśniętą w kułak. Nagle posypały się w tempie raz-dwa-trzy — częste szturchańce w stronę wywatowanego wojłoka, aż ściana głucho jęczała. Przy tak ważnym zatrudnieniu zastał go dziennikarz Połęcki.

— Przepraszam, wznowiam wspomnienia angielskie. Nauka kunsztu bokserskiego.

— Dawno pan był w Anglii?

— *Tempi passati!* Wraciałem z Londynu na yachcie-łupinie w towarzystwie dwóch oficerów marynarki. Przez całą drogę do Ostendy sam stero瓦łem. *Business!* Czy mogę zrobić pewną uwagę, o to po dżentelmeńsku.

— Bardzo proszę.

— Pan szedł wczoraj po prawej ręce panny Ziętkiewicz, a kobiety zważają na formę. Pani Sokolicz-Nieporęckiej pytał się pan, czy często upada... z roweru. Upada... uważa pan... Przebaczenia, królu, Bóg mię stworzył jednak Anglikiem i ceremoniantem...

— Furda, panie Janie! — uśmiechnął się dobrodusznie Połęcki. — Przynoszę nowiny. Olchiewicz pożyczka książek za pieniądze, fotografuje... ma jakieś skryte plany...

Szczurowski zgrzytnął zębami.

— Skrachował na literaturze, to mnie włazi w kapustę. A zresztą świat szeroki. Panie Połęcki,

pan uczciwy człowiek, niech mi pan da słowo na pewną tajemnicę.

— Daję panu dziesięć.

— Zbrzydły mi mieszczańskie panny. Chcę się ożenić z dziewczyną z Krytej. Niech pan uważa, szalony rozgłos!... Byłbym tym trzecim... Jak się panu zdaje?...

— Pycha! Panie Janie, zatrząsie się cała piastowska dziedzina.

Myśl o weselu przyćmił jednak Olchiewicz. Staął przed nim jak demon zniszczenia, posępny, przenikliwy, badawczy. On chyba zawinił, że »hotel« rywalizuje z willą »Sępem« w sposób szorstki i gwałtowny. Przyszło już do starć, kłótni, tysiąca podejrzeń.

Szczurowski był markotny, zgnębiony. Ściągnął ze ściany trąbkę i wydobywał z niej strażackie sygnały. Odłożył szyjkę od ust i ciężko westchnął. Nie, sto razy nie, nie pokonają go! On pogodzi »hotel« z »Sępem« i zgniecie matactwa Olchiewicza.

Wsiadł na rower.

Po wsi rozbrzmiewała wiadomość:

— Jutro olbrzymia uroczystość! Ćwiczenia straży ogniowej z sikawką o piątej, wieczorem odczyt Połęckiego w willi »Sęp«, a potem efektowna niespodzianka...

W »hotelu« krzyknięto chórem:

— Tu także sala!... Tak daleko do nich, jak do nas...

— Łaskawe panie! — błagał Szczurowski — nie utrudniajcie położenia... Prelegent ma mówić z balkoninu, a balkoniku w »hotelu« niema...

Wpadł do Połęckiego.

— Redaktorze, jasny królewiczu ratuj! Wszyscy domagają się pańskiego odczytu. Temat dowolny!...

Połęcki się skrzywił.

— Jeśli być musi...

Nastąpiły podziękowania, uściski dłoni.

— Panie, gotuję żywe obrazy, ale sza... Do widzenia...

Niedziela...

Koło zakrętu Krasnej zgromadziła się rada gminna z wójtem Pawłem Gawronem na czele. Przybył ogromny Szelgut, dalej Pinkas z pałakowatymi nogami, mądry Chmiel, Jasiek Samiec, Kowalik, Chłystuń i Paliwoda. Willa »Sęp« i »hotel« stały się w komplecie.

Z oddali słychać było dźwięk marsza, nierówno na trąbce wygrywanego.

— Idą! Idą!

Dwie chude, wynędzniałe, w wiejski chomont ubrane szkapy, ciągnęły leniwie sikawkę i przyczepiony do niej dwukołowy, węzem owinięty wózek. Bezpośrednio za taborem, postępował Jan

Szczurowski na czele całej kryciańskiej straży pożarnej, złożonej z dziesięciu ludzi. Szedł z godnością, dumnie po oficersku. Przed radą gminną rozległa się komenda: w lewo patrz! Szelgut, Pinkas i Chmiel uśmiechnęli się radośnie.

Ćwiczenia strategiczne zajęły dobre pół godziny i wypadły nad wyraz świetnie. Po ich ukończeniu umieszczono sikawkę »Neptun« nad Krasną, przeprowadzono przez jej koryto gumowego węża i skierowano go ku opustoszałej, rozlatującej się szopie.

Pompowano, pompowano, woda nie dosięgła jednak niskiego poszycia dachu.

Szczurowski biegał, wydawał rozkazy, zapinał rozchodzące się ustawicznie rękawiczki.

Wtem wydarzyło się nieoczekiwane zajście.

Część węża pękła i z żywiołową siłą wyrzuciła z siebie wodę na gromadę admiratorów manewrów.

— Jezus, Marya! Nasze suknie! Nasze kapelusze!

Naczelnik kryciańskiej straży pożarnej stał bohatercko na najbardziej zagrożonym stanowisku, nie lękając się hydromaty.

— Podnieść do góry! Podnieść do góry! Be czkę piwa wieczorem!

Mimo nieszczęśliwego wypadku przybył »hotel« do »Sępa«. Willa była obwieszona festonami, wśród

których błyszcząły japońskie lampy. Atmosfera panowała uroczysta, cisza krążyła w powietrzu i na ziemi, oblanej księżycowym światłem.

Wszyscy zajęli miejsca niedaleko klombu dzikich kwiatów i oczy wzniesli ku górze.

Połęcki spart się o poręcz balkonika. Z tej wyniosłości, obramowanej czubami dwóch świerków, rozbrzmiewały poglądy o najnowszym zwrocie w poezji europejskiej.

— Złotousty! przesłicznie! rozmarzające!

Połęcki kiwnął na zakończenie głową:

— Koło kościółka, w wyrębie leśnym czeka nas niespodzianka, — zauważył.

Wśród pogrzybiałych świerków gorzało ognisko, naniecone z pęków suchych gałęzi. Szedł od niego czad i krwawy refleks na zamroczoną zieleni leśną, na ciemne powietrze i biały cmentarzyk przytulony do kościółka.

»Hotel« z »Sępem« płynęły w jednej arce przy mierza.

Tego samego wieczoru dowiedziano się, że Niemcy »hotel« kupili, i że Olchiewicz będzie sta-
wiał willę dla przyjaciela swego, rejenta.

Szczurowski wpadł do domu, jak bomba, spa-
kował walizę i oświadczył matce, że jedzie do Wied-
nia szukać posady, bodaj w kantorze bankowym.
Po drodze do stacyi dumiał nad niewdzięcznością
społeczeństwa, nad jego brakiem zamiłowania do

systematycznej pracy i odczucia praw drugich. Moralny właściciel Krytej obejrzał się poza siebie i westchnął.

— Ciężkie czasy!... Lepszy między obcymi kamień, niż między naszymi ciasto!...

Wózek zajechał przed dworzec kolejowy.



103194

SPIS RZECZY.

	Str.
Sufler	1
Ostatnia	35
W jarzmie	49
Rybaczka	105
Na rozstaniu	133
Semen Bojczuk	195
Między Huculami	219
Nad jeziorem Traun	273
Człowiek do wszystkiego	287

TEGOŻ AUTORA.

(Pod pseudonimem Włodzimierza Koszyca).



W Szynelu, powieść, Petersburg, nakł. księgarni K. Grendyszyńskiego.

U Wód, szkic powieściowy, Petersburg, nakł. księgarni K. Grendyszyńskiego.

Rzeczy naukowe, wydane oddzielnie.

Na wygnaniu, szkic historyczny, Kraków 1890.

Halszka z Ostroga w historyi i dramacie, Kraków 1891, nakł. Red. »Świata«.

Sprawa żydowska na Sejmie Wielkim, Kraków 1891, nakł. Towarzystwa »Przymierze Braci«.

Koniec Morstina, studyum historyczne, Kraków 1894. nakł. Red. »Świata«.

Na Stos, studyum z dziejów cywilizacji w Polsce, Petersburg 1901, nakł. księgarni Grendyszyńskiego.

